



**UUK**

WILLIAM E. BARRET

# CZARNOKSIĘŻNIK



# SPIS TREŚCI

SPIS TREŚCI. . . . .	2
----------------------	---

## I OBRAZ

1	ROZDZIAŁ PIERWSZY . . . . .	5
2	ROZDZIAŁ DRUGI . . . . .	24
3	ROZDZIAŁ TRZECI. . . . .	32
4	ROZDZIAŁ CZWARTY . . . . .	40
5	ROZDZIAŁ PIĄTY . . . . .	47
6	ROZDZIAŁ SZÓSTY . . . . .	56

## II MISTERIA

7	ROZDZIAŁ PIERWSZY . . . . .	66
8	ROZDZIAŁ DRUGI . . . . .	76
9	ROZDZIAŁ TRZECI. . . . .	86
10	ROZDZIAŁ CZWARTY . . . . .	98
11	ROZDZIAŁ PIĄTY . . . . .	108
12	ROZDZIAŁ SZÓSTY . . . . .	120

## III RZECZYWISTOŚĆ

13	ROZDZIAŁ PIERWSZY . . . . .	128
14	ROZDZIAŁ DRUGI . . . . .	138

*Louis i Matylda,  
James i Anna,  
Vincent i Charline,  
Albert i Juanita,  
Edward i Sonia*

*— zechcą przyjąć  
tę książkę*

**CZEŚĆ I**

**OBRAZ**

## ROZDZIAŁ PIERWSZY

W gruncie rzeczy nie było powodu, dla którego nie mógłbym zostać malarzem godnym uwagi, kimś, kto łatwo robi karierę na fali publicznego zainteresowania sztuką i twórcami sztuki. Miałem lat dwadzieścia dziewięć i po owocnym pobycie w Europie wiedziałem, do czego służą pędzle, farby i płótno. To, że nie brałem udziału w wyścigu do chwały i sowitych nagród, wynikało z charakteru moich prac czy może z mojego usposobienia. Ja nie malowałem abstrakcji ani kwintesencji nicości, krajobrazów ani portretów; malowałem głowy i twarze. Malowałem takie twarze, jakie widuje się u wejść do starych katedr, bądź poniżej ambon w katedrach, i to przeważnie twarze męskie. Malarz z taką obsesją nie staje się słynny, tylko wciąż jest skępowany, opętany.

Szkicowałem z pamięci, kiedy zadzwonił telefon. Szkicowałem głowę sprzedawcy warzyw, mającego stoisko na ulicy niedaleko mojej pracowni, głowę i twarz człowieka z jakiejś innej epoki, innego kraju, skąd właściwie — było mi obojętne. Telefon dzwonił i dzwonił, aż w końcu podniosłem niechętnie słuchawkę.

— Kirk? — usłyszałem głos Ludwiga Lorensona. — Czy możesz wpaść do mnie na górę? Za pół godziny. Muszę ci coś pokazać. Nie tylko tobie zresztą.

— Wpadnę. Naturalnie — odpowiedziałem.

Ludwig Lorenson zawsze zbijał mnie z tropu, sprawiał, że odpowiadałem i reagowałem niezręcznie. Ludwig Lorenson jest handlarzem abstrakcji. Ten fakt nie od razu mieści się ludziom w głowach, ponieważ Galeria Lorensona to nie zamek na lodzie: to instytucja o konkretnej wartości, okazały budynek zaprojektowany jako skład, azył i salon wystawowy rzeczy wymiernych i namacalnych.

Wobec ożywionego ruchu na jezdniach dojazd taksówką do Galerii zabrał mi pół godziny. Wchodząc tam, o mało się nie zderzyłem z rabinem Gersonem Marlerem, który właśnie wychodził bardzo rozgniewany. Patrzył na mnie ale chyba mnie nie widział. Jego twarz poorana zmarszczkami wyglądała jak gipsowa maska; odszedł szybko, nieomal w podrygach. Znałem go od kilku lat. Chociaż normalnie wydawał się dobrodusznie spokojny, jak przystało na uczonego, był bardzo niecierpliwy i porywczy. Ale jego wybuchowość nie wynikała ze złości,

on po prostu, miał zacięcie dramatyczne. Bez tego nie byłby sobą. Widywałem go już nieraz rozgniewanego, nigdy jednak w takim ślepym gniewie.

Ludwig Lorenson również mnie zastanowił. Byłem obecny pewnego jesienne-go dnia na aukcji, kiedy oferował najwyższą cenę, jaką zapłacono za obraz w Stanach Zjednoczonych, tak niedbale, jakby zamawiał obiad w restauracji. Dzisiaj widocznie coś podniecało go czy niepokoiło; głos jego przez telefon brzmiał do-syć dziwnie.

A przecież w Galerii, wewnątrz skromnym i pogodnym, nie zauważyłem żad-nych oznak nerwowego nastroju. Robert, podstarzały kolorowy windziarz, jak zwykle powitał mnie uśmiechem. Dla gości i klientów Ludwiga Lorensona otwar-te były trzy piętra galerii, dla wybranych znajomych Ludwiga — cztery. Rozmo-wy z Robertem w windzie z konieczności ograniczały się do minimum, stanowiąc serial zawsze z dalszym ciągiem na następnym piętrze.

— Jak się sprawuje ten nowy szofer, Robercie? — zapytałem.

— Niedobrze, panie Donner. — Robert potrząsnął głową. — Leniuch z niego. Zakurzone, że coś straszego, te moje Cadillaki co dzień rano.

— No tak, ciągle to słyszę. Niepoważny stosunek do pracy w tych naszych czasach. Będziesz musiał go odprawić.

— Myślę nad tym. Trudno mi się zdecydować.

Rozmawialiśmy w tym duchu już od kilku lat, bynajmniej nie żartobliwie, bez żadnych kpinek. Taką legendę stworzył sobie Robert i nauczył mnie należycie się do niej dostosowywać. Miał uszkodzony stos pacierzowy, co uniemożliwiało mu wykonywanie pracy cięższej niż naciskanie guzików w windzie, ale nadawał tej swojej funkcji godność i znaczenie. Wiedział, jak przyjmować ludzi przycho-dzących do Galerii Lorensona; tych możliwych, tych prawie-możliwych i tych zwa-riowanych. Tylko przy gościach, którzy jechali na czwarte piętro, odprężał się. Słyszałem więc mnóstwo o kłopotach, jakie ma z jachtami, Cadillakami i sku-powaniem akcji na Wall Street, przy czym te anegdoty opowiadał zdumiewająco składnie i chwilami je zaprawiał ironią. Ale o jego rzeczywistych trudnościach w życiu, o zmartwieniach, jakie na pewno miał, i o jego cierpieniu nie wiedzia-łem nic. Kurz na Cadillaku jest zabawny, a zmartwienia zabawne nie są. Częścią jego mądrości było pojmowanie owej prawdy.

Należałem do nielicznych chyba, którzy znali nazwisko Roberta: Maxwell. Kiedy powiedział mi, jak się nazywa, namalowałem z pamięci jego portret za kierownicą starego samochodu marki Maxwell. To był prezent na Gwiazdkę dla niego, ale sam sobie zrobiłem tym prezent. Bo odtąd włączył mnie do grupki swoich pasażerów specjalnych.

Drzwi windy otworzyły się w gabinecie Ludwiga, florenckiej komnacie z ciemną boazerią, z mnóstwem książek i tylko jednym obrazem. Obraz ten pędzla Antonella da Messina, wizerunek przystojnego hulaki, stanowił tu jednak symbol zbytku i wręcz ekstrawagancji. Ludwig czekał na mnie, o dziwo, ani nie pracując

przy biurku, ani nie zajmując się spokojnie lekturą. Kiedy wszedłem, przerwał spacer po pokoju.

— Ach, Kirk — powiedział. — To ładnie, że zjawiłeś się tak szybko. I dobrze, że przed tamtymi. Spotkałeś rabina Marlera?

— Tak. On mnie nie widział.

— Był zdenerwowany. Chodź! Muszę ci pokazać coś niezwykłego.

Otworzył drzwi z prawej strony i ruszył pierwszy przez długi korytarz krokiem szybkim, ale doprawdy nie lekkim. Aż dziw brał, że ten lotny umysł, wybredny duch, kryje się w tak niezgrabnym cielsku, którym obciążyla go natura. Weszliśmy do tak dobrze mi znanego dużego, klasztornie surowego pokoju, gdzie wystawiał pewne obrazy dla starannie dobranych ludzi. Zapalił światło i odwrócił się, żeby zobaczyć moją reakcję. Przez chwilę uświadamiałem sobie jego obecność, a potem o nim zapomniałem.

W pomysłowym oświetleniu wydawało się, że ten duży obraz wisi w powietrzu, istnieje jak gdyby w pustce bez żadnych przedmiotów martwych, bez żadnego życia wokoło. To było stare jakieś płótno z pionowymi smugami, podobnymi do spłowiałej sadzy przy bocznych krawędziach. Został oczyszczony, ale dosyć dawno. Na farbie zobaczyłem pajęczyny spękań i trochę kłaczek w miejscach nałożenia jej grubiej, żeby osiągnąć cień. Środkowa część była trochę zniszczona, lekko przymglona brudem i kurzem wżartym już po owym czyszczeniu. Obraz jednak uniknął długiego wystawiania na blask słoneczny czy też na szkodliwy dym świec wotywnych, więc zachował się świetnie. Wszystko to stwierdziłem od razu i, że tak powiem, odfajkowałem. Stałem w tym właściwie nie istniejącym pokoju i patrzyłem na dziedziniec pałacu Poncjusza Piłata sprzed dwóch prawie tysiącleci.

Chrystus był już ubiczowany i wystawiony na widok publiczny. Piłat już umył ręce i rzymscy żołnierze prowadzili Jezusa przed obarczeniem Go krzyżem, na którym miał umrzeć. Musieli jednak zmierzyć się z motłochem na dziedzińcu. Mężczyźni, kobiety i dzieci, bogaci i biedni, zastępowali im drogę, wyjąc i manifestując swoją nienawiść do oszołomionego człowieka pod eskortą rzymskiego żołdactwa. Wrzeszczeli, pluli, rzucali kamieniami, a Rzymianie usiłowali ich odpychać. Postać na pierwszym planie, okazały, wspaniale umięśniony żołnierz napierał przysłaniającym mu lewe ramię puklerzem.

Jezus Chrystus w białej zakrwawionej szacie stał na nogach szeroko rozstawionych, prostując się z wyraźnym trudem. Okrutnie Go zbito i ślady biczowania pozostały widoczne. Krew plamiła Mu włosy, spływała po czole, usta miał skaleczone, ramiona garbił trochę, jak gdyby usiłował uchronić obolałe plecy od zetknięcia z szatą. Patrzył na ludzi i nie mogłem odczytać wyrazu Jego twarzy. Wydawał się zamroczony, ale oczy miał żywe. Nie było w nich lęku ani nienawiści, ani zdumienia, może było pytanie.



Odetchnąłem głęboko uświadamiając sobie, że to jest tylko obraz, którego przemożną realność podkreśla w dużym stopniu znakomita ekspozycja.

— Świetne — powiedziałem. — Zadziwiająca zdobycz. Kto to namalował?

Głos Ludwiga zabrzmiał w mrokach lekko zachrypnięty, wezbrany zniecierpliwieniem:

— Jakiś malarz. Nieważny. Był nikim. Nigdy o nim nie słyszałeś.

— Niemożliwe. Taki malarz nie mógł być nikim. Wykluczone.

Patrzyłem teraz na obraz moimi drugimi oczami i już nie widząc ludzkiego dramatu człowieka osaczanego, badałem, jak dokonał się cud złudzenia na płótnie. To był obraz bezsprzecznie niemiecki, ale przypominał dzieła Tintoretta czy też w swoim realizmie, w sposobie portretowania — dzieła Caravaggia.

Któż inny, jeśli nie Tintoretto śmiałyby umieścić efektownie na pierwszym planie taką pomniejszą postać dramatu, jak ten napierający Rzymianin? Podobne przecież zuchwalstwo przejawiał w swoim wielkim „Wniebowzięciu”, wysuwając na pierwszy plan przepyszną o bujnych kształtach kobietę na schodkach, podczas gdy postać Maryi Panny ulatująca w niebo jest maleńka.

— Nie dostrzegasz tu szczegółów — powiedział Ludwig.

Czy nie dostrzegałem? Gniewny tłum tworzył półkole w dolnej części z lewej strony, zrównoważonej łukiem ciemnej strzępiastej chmury, niskim wzgórzem i balkonem Piłata w górnej części z prawej, a samotna postać Chrystusa stanowiła środek tej przekątnej, chociaż pozornie tak nie było. Postacie w tłumie skracaly pierwszy plan swym zagęszczeniem, natomiast balkon i wzgórze z obu stron powyżej tej postaci środkowej nadawały perspektywę chmurom i wywoływały wrażenie głębi. To było przedpołudnie po nocy deszczowej, wśród skruszonych płyt dziedzińca lśniły kałuże. Światło, padając na obraz słabo spoza moich pleców, dosyć wyraźnie ukazywało motłoch, ale największy blask oświetlał tę część, gdzie Chrystus stał blady na tle marmurowego filaru pod balkonem i ściany z nierównych kamieni.

— Patrz na tych ludzi! — powiedział Ludwig.

Trudno ogarnąć wszystko we wspaniałym obrazie jednym spojrzeniem, trudno też zobaczyć wszystko w ciągu pierwszych paru minut. Po obejrzeniu całości przystępuje się do rozpatrywania szczegółów zależnie od usposobienia i od zainteresowań. Ja jeszcze nie byłem gotów zająć się akurat motłochem, ale zacząłem mu się przyglądać, skoro Ludwig zwrócił mi na to uwagę.

Ludzie podjudzeni do furii potępienia i nienawiści. Widziałem w nich życie i napięcie. Wrzeszczeli przekleństwa, słuwali, wymachiwali pięściami i sięgali po kamienie tam, gdzie bruk pękał pod kopytami koni. Malarze Renesansu malowali swoich współczesnych i umieszczali ich w Ziemi Świętej, w Egipcie, w Grecji starożytnej — wszędzie, dokąd tylko przenosili się wyobraźnią. To, że ten obraz namalował Niemiec, mogłem poznać po postaciach. Artyści z tamtej szkoły, przynajmniej ci lepsi, byli portrecistami. Toteż malowane przez nich tłumy

czy grupy, ilekroć oglądamy je uważnie, rozpadają się na poszczególne jednostki. Zwróciłem uwagę na ten motłoch teraz, w istocie mniej liczny, niż zrazu się wydawało.

Natychmiast zobaczyłem siebie.

Znajdowałem się w trzecim rzędzie ludzi odpychanych przez Rzymianina z puklerzem. Odszedłem o krok od ustępujących dwóch pierwszych rzędów, żeby pochylić się i podnieść coś do rzucenia. Już zaciskałem palce na odłupanym kawałku płyty, który mieścił mi się w dłoni. I chyba mamrotałem obelżywie.

To nie było tylko podobieństwo: to był portret. Goliłem się od dość dawna, żeby już znać własną twarz doskonale, a ta twarz na obrazie nie starsza, i nie młodszą, była właśnie taka, jaką znałem. Wyrazu jej nie mógłbym nazwać swojskim, bo normalnie nie jestem skłonny do nienawiści ani przemocy i pościgów z ludzką sforą, ale to była twarz moja i musiałem uznać fakt, że napiętnował ją niegodziwy zamysł. Przelotnie poczułem dziwne, niepokojące pragnienie: sięgnąć, chwycić, zniszczyć. Odwróciłem się do Ludwiga.

— Widzę to — powiedziałem. — Wezwałeś mnie tutaj, żeby zobaczyć ten obraz czy siebie samego?

Ludwig odpowiedział w napięciu, ale już nie zniecierpliwiony, teraz, kiedy przestał nakazywać sobie cierpliwość.

— Na jedno wychodzi. Obiecuję ci niespodzianki. Na tym płótnie jest coś więcej niż tylko farba i werniks.

Znów patrzyłem na obraz. Wydawał mi się zniekształcony, pozbawiony równowagi i perspektywy. Widziałem przede wszystkim tę pochylającą się ukradkiem, tchórzliwie postać z moją twarzą. Trochę dalej, w prawo, jakieś dziecko też sięgało po odłamek bruku, o ileż zgrabniej niż ja, o ileż swobodniejsze w swoim zamierzeniu i ruchu, raczej instynktownym niż podle okrutnym. Patrząc na tę scenę, nie mogłem nie utożsamiać się z mężczyzną, który miał moją twarz, i nieomal czułem do tego dziecka urazę, bo ono naśladowaniem mnie podkreślało dziecinną głupotę reakcji dorosłego. Już odważniejsi ode mnie byli ci, którzy wrzeszczeli i machali pięściami.

— Niemożliwe — powiedziałem. — Ten obraz nie jest prymitywnym pastiszem, namalowanym przez fałszerza. Nie sądzę, żeby go namalował któryś z malarzy współczesnych po to, by wpasować tu mój portret dla żartu. A jednak to jestem ja! Bezsprzecznie.

— Ten obraz jest rzeczywiście stary. Z siedemnastego wieku. Malarz, powtarzam, był nikim. Niejaki Rohlmann: Bonifacy Rohlmann. I nie ma w tym ani cienia żartu, zapewniam cię.

Ludwig powiedział to bardzo poważnie, wpatrzony w obraz z wielkim skupieniem. Zawsze miał cerę raczej bladą — nawet wtedy, gdy, rzadko zresztą, przebywał w blasku słońca, dziś jednak to była bladość woskowa, co w przypadku ludzi tęgich i o pełnych twarzach jest dosyć zastanawiające.

— Reinkarnacja? — zaryzykowałem niepewnie. — Ja w reinkarnację nie wierzę, ale...

— Nie, nie — Ludwig przerwał mi i prawie bełkotliwie dokończył za mnie: — Gdybyśmy żyli więcej niż jeden raz i to w różnych stuleciach i tak z pewnością nie mielibyśmy takich samych twarzy. Wykluczone. Zmieniają się czasy, zmieniają się twarze, obyczaje, środowisko, związki krwi. Przykładem są wspaniałe dawne portrety. Nie, to wcale nie jest rozwiązanie.

Cichy dzwonek zasygnalizował, że następny gość wjeżdża windą na czwarte piętro. Ludwig przeprosił mnie i wyszedł niewątpliwie z ulgą, że nie musi prowadzić dalej tych niecodziennych i dosyć już zawrotnych rozważań. Ja z wysiłkiem woli spojrzałem na obraz znowu po prostu jak na obraz, nie zatrzymując wzroku na postaciach. Zainteresowały mnie szczegóły. Balkon Poncjusza Piłata był pusty. Malarz mniejszej miary umieściłby tam patrzącego Piłata, uczyniłby z niego symbol. Ten malarz jednak wiedział swoje. Piłata mogło tam nie być. Pusty balkon miał dostateczną symboliczną wymowę.

Z korytarza doleciały głosy i drzwi się otworzyły. Ludwig wprowadził Neila Carltona. Przywitaliśmy się bezceremonialnie, swobodni wobec siebie, jak zwykle bywają ludzie, którzy często się widują. Neil jest duchownym, ale odkąd został redaktorem naczelnym jednego z przodujących czasopism protestanckich, występuje jako „wielebny” tylko na terenie ściśle oficjalnym. Dosyć wysoki, dystyngowany, ma przystrzyżone ciemnorude wąsy, gęste siwe brwi i łagodne oczy; raczej bystry obserwator niż wojujący krzyżowiec. Znamca raczej literatury i muzyki niż malarstwa, chociaż często spotykam go w różnych galeriach, gdzie przejawia upodobanie do malarzy nowoczesnych.

— Ten obraz musi być naprawdę nadzwyczajny, zważywszy natarczywość twojego zaproszenia, Ludwig — powiedział. — Aha! Widzę już, co to. Jedno z twoich odkryć! Renesans!

Wyjął z futerału okulary, włożył je starannie i pochylił się z lekka do przodu.

— Cudowne! Zdumiewająca realność. Zupełnie jakby się było przy tym. Skąd ty...?

Urwał raptownie i pochylił się jeszcze trochę. Zdjął okulary i podszedł do obrazu na odległość paru stóp. Przez pełną minutę stał nieruchomo, po czym odwrócił się wyraźnie wstrząśnięty.

— Szkoda, że nie uprzedziłeś mnie, Ludwig — powiedział. — To straszne ujrzeć siebie ni stąd, ni zowąd w takiej scenie i w takiej roli! Potrzebne jest przygotowanie.

Zajął jeden z foteli ustawionych półkolem dosyć daleko od obrazu, sprawiając wrażenie człowieka załamanego. Znałem jego niezachwianą równowagę w rozmaitych okolicznościach, więc ta nagła zmiana nastroju bardzo mnie przerażała. Najwidoczniej zobaczył na obrazie samego siebie, tak jak ja przedtem, i to stało

się dla niego przeżyciem głębszym niż dla mnie. Był duchownym w chwili tego odkrycia, nie redaktorem ani koneserem patrzącym obiektywnie na dzieło sztuki.

— Przykro mi, Neil — powiedział Ludwig.

Powoli przesunąłem wzrok po twarzach motłochu, ale w żadnym z tych ludzi, ich rysach, wyrazie twarzy czy postawie nie mogłem znaleźć podobieństwa do Neila Carllona. On jednak widział tam siebie. To właśnie wtedy pojąłem, aczkolwiek mgliście, że stoimy wobec czegoś, w czym kryje się groza.

Niczym sygnaturka przed Sanctus w dawnej mszy, zaanonsował następnego gościa, wjeżdżającego windą na czwarte piętro, srebrzysty dźwięk dzwonka. Była to znowu zapowiedź niezwykłego wydarzenia. Dziwne przeżycie miało być udziałem owego gościa, jeszcze nieświadomego. Ja byłem świadom i dla mnie ten moment oczekiwania nie miał nic z bierności: przeniknął mnie dreszcz. Zerknąłem na moich towarzyszy. Neil Carlton, poblądły, nie odrywał wzroku od obrazu. Nie przyszło mu do głowy, że nie tylko on widzi tam siebie. Ludwig wahał się. Z wypisaną na twarzy niechęcią do powtórzenia eksperymentu patrzył na drzwi przez długą chwilę. W końcu wzruszył ramionami gwałtownie, prawie tak, jakby wzdrygnął się nagle przebudzony. Ruszył na korytarz pospiesznie, żeby nadrobić czas wahania.

Ojciec Joseph Graney wszedł wesoło, opowiadając Ludwigowi jakąś anegdotkę w związku z korkiem na jezdni, który opóźnił jego przybycie. Sama tonacja tego opowiadania świadczyła o dobrym humorze, chociaż słów zrazu nie mogłem rozróżnić z daleka. Był średniego wzrostu i pamiętałem go jeszcze szczupłego, ale teraz po pięćdziesiątce zaczynał tyć. Twarz miał okrągłą, oczy bystre i frędzle siwych włosów wokół łysiny na ciemieniu, ostatnio coraz większej. Wykładał na uniwersytecie jezuitów i cieszył się ugruntowaną pozycją w kołach artystycznych. Był autorem uroczego tomiku o malarzu Duccio i imponującego tomiska o Szkole Sieneńskiej.

Neil Carlton, kiedy witałem się z ojcem Graneyem, wstał z fotela. Już odzyskał równowagę i potoczyła się normalna pogawędka czterech ludzi, którzy mają wiele wspólnych zainteresowań i dlatego spotykają się dosyć często. Po kilku minutach ojciec Graney zakończył machnięciem ręki.

— Zupełnie jakbym przyszedł późno na cocktail-party — powiedział. — Wyście już pili tę niespodziankę Ludwiga, więc chyba należy mi się karny.

Wyszedł na środek pokoju, a ja usiłowałem wczuć się w niego, widzieć ten obraz jego oczami, i już zbierałem siły duchowe przed nieuniknionym momentem krytycznym.

Ojciec Graney zareagował podobnie jak ja. Najpierw zobaczył po prostu dzieło sztuki, zanim pofolgował sobie w rozpatrywaniu treści — ale wstępna faza jego reakcji trwała krócej. Zwrócił uwagę na postać Chrystusa. Twarz mu się ściągnęła, nieomal zadrgała, i to było hołdem dla artysty. Jako ksiądz i jako historyk sztuki ten jezuita znał dobrze — można by powiedzieć gruntownie — każdy szczegół

opowieści odtworzonej na obrazie, nie wydawał się jednak poruszony widokiem tej postaci człowieka oszołomionego, zbitego, z wysiłkiem trzymającego się prosto wśród nienawiści, wrogości i zniewag. Splótł ręce z tyłu i zobaczyłem, jak porusza palcami, rozluźnia je, a potem zaciska. Zaczął oglądać motłoch bez poglęgnięcia, jakiego ja potrzebowałem, patrzył przez chwilę na Rzymianina, a potem nagle pochylił się, omal nie rzucił się do przodu, kiedy zobaczył siebie.

To nie był on, oczywiście, dla niczyich oczu oprócz jego własnych. Zanim wszedł do pokoju, szukałem jego twarzy na tym obrazie i byłem pewny, że jej nie znajdę, ale też tak samo byłem pewny, że znajdzie ją on.

Panowała jakaś nienaturalna cisza. Potem ojciec Graney gniewnie, przeciągle chrząknął. Odwrócił się od obrazu i przeszedł na drugi koniec pokoju, jak gdyby chciał tym samym dać sobie czas na wzięcie się w karby. Wracając do nas, powiedział ochryple:

— Nie mogę uwierzyć, Ludwig, ani w to, że uważasz za rzecz zabawną czy bodaj akceptujesz złośliwość konserwatora, który w ten obraz wmalował mój portret, ani w to, że zaprosiłeś mnie tutaj, żebym zobaczył takiego siebie w obecności przyjaciół.

Ludwig słuchał strapiiony. Kropelki potu lśniły na jego szerokiej twarzy. Często zdarzało mu się pocić obficie w najbardziej nieodpowiednich chwilach, co stanowiło dla niego jeszcze jedną udrękę. Istotnie była to właściwość bezlitośnie paradoksalna w przypadku kogoś tak subtelnego, o umysłowości tak niepospolitej. Poruszył prawą ręką odruchowo, zbyt słabo jednak, by mogło to być wyrażeniem protestu.

— Ten obraz wcale nie jest odnowiony — rzekł cicho. — Autentyczny, z siedemnastego wieku.

Ojciec Graney przez chwilę patrzył na niego wojowniczo — nie potrafił ochłnąć z gniewu natychmiast. Potem szczególnym ruchem odwrócił się, prawie podbiegł w stronę obrazu. Sam obraz zatrzymał go w pół kroku. Nie został odnowiony, oczywiście, i on wiedział o tym. Wiedział bez wątpienia już wtedy, gdy spojrział na ten obraz po raz pierwszy, ale umysł wyćwiczony w logicznym myśleniu odpowiada logiką na świadectwo zmysłów, logiką, choćby zmysły nawet ją odrzucały. Nie było żadnego innego rozsądnego wyjaśnienia faktu, że ojciec Graney znalazł się wśród wrzeszczącego tłumu na obrazie, niż to, które podsunął mu umysł. A owo rozsądne wyjaśnienie rozwiało się.

— Przepraszam, Ludwig — powiedział drętwo — masz rację. Wyciągnąłem wniosek zbyt pochopnie. Ale to podobieństwo... Więcej niż podobieństwo! To jest przerażające — dukał te słowa jak automat, jak robot.

Neil Carlton szybkim krokiem podszedł do niego.

— Chce ojciec przez to powiedzieć, że tutaj i ojca portret jest także? — zapytał z niedowierzaniem. — Gdzie? Ja go nie widzę.

Już wkładał okulary. Ojciec Graney przyjrzał mu się bacznie, jak gdyby podejrzewał, że on po prostu udaje, bo czyż można nie widzieć rzeczy oczywistych.

— Co to znaczy „także”?

Obaj wyteżali wzrok, wpatrując się w obraz, i ja też zacząłem znów badać motłoch w miarę możliwości z ich punktu widzenia, przy czym starannie omijałem tego padalca z moją twarzą. Było trzech Rzymian. Żołnierz na dalszym skraju tłumu po lewej stronie stał akurat w miejscu, gdzie przebiegała długa smuga sadzy i znaczyła się pajęczynka spękań na farbie. Wszystkie postacie na tym odcinku przysnuwał cień, ale rozróżniłem wśród nich kilka kobiet, jedną z dzieckiem w objęciach. Twarze trzech kobiet i pięciu mężczyzn na odcinku środkowym zachowały swoją wyrazistość i mógłbym je rozpoznać, gdybym je znał. Ten rzymski żołnierz, chociaż wyraźnie miał trudności z zatrzymaniem tłumu, był zamazany, raczej bez twarzy pod hełmem. Fala ludzi już zepchnęła go z pozycji. Na pierwszym planie widziałem twarze godne uwagi, postacie krzepkie, ale ustępujące pod silnym naporem innego młodego żołnierza. Cały Rzym i całą potęgę Rzymu symbolizowała ta wyodrębniona postać. Stał z piersią wypiętą za puklerzem, z którego uczynił sobie taran, i jego lewe przedramię wyprężone przy boku było wspaniałym studium mięśni. W zgiętej uniesionej prawej ręce dzierżył krótki miecz, nie tyle dla zadania ciosu, co dla równowagi. Twarz miał tępą, brutalną, niewzruszoną. Dostał rozkaz do wykonania i napotkał na przeszkodę. Właśnie usuwał tę przeszkodę, nie zastanawiając się ani nie przejmując.

— To jestem ja, ten wysoki łotr w karmazynowej szacie. Przecież mnie widzicie.

Głos Neila Carltona doleciał jak z zaświatów, tak bardzo byłem pochłonięty tym, na co patrzyłem. Ojciec Graney odpowiedział dopiero po długiej chwili:

— Ja nie widzę żadnego podobieństwa. Żadnego.

— Ja też nie mogę znaleźć nikogo, kto choć trochę przypominałby ojca.

— Nie możesz, pastorze? Więc popatrz na tę podłą kreaturę, która spluwa na Pana naszego i Zbawiciela!

W głosie ojca Graneya zabrzmiała nuta głębokiego wzburzenia i rozumiałem je, ponieważ sam nie mogłem uniknąć utożsamienia się z tą nędzną kreaturą, która była bezsprzecznie mną. Patrząc za wycelowanym palcem ojca Graneya, przyznałem mu prawo do jeszcze większej odrazy niż moja — jemu, człowiekowi pragnącemu wykluczyć z tego swoje kapłaństwo, co było niemożliwe, oczywiście. Wskazana przez niego postać na końcu półkola, jakie tworzył tłum, zgarbiona, przyodziana ubogo i brudna, była rzeczywiście godna najwyższej pogardy. Kryjąc się za żołnierzem ten nędznik pluł na samotną postać Chrystusa.

— Spluwa — powtórzył ojciec Graney.

Nie wiem, dlaczego spluwanie miałoby być gorsze niż przeklinanie, krwiożerczość, sięganie po kamień, żeby ukamienować człowieka, albo wygrażanie pię-

ściami, a jednak jest gorsze, czy też tak się wydaje. Popatrzyłem z kolei na postać w karmazynowej szacie.

Neilowi Carltonowi — pomyślałem — trafiło się lepiej niż nam. Ten przynajmniej był wysoki, władczy i dostojny, zapewne faryzeusz. Twarz mu wykrzywiała nienawiść i najwidoczniej wrzeszczał obelgi, ale nie spluwał ani nie pochylał się po kamień. Zaraz jednak zobaczyłem go oczami Neila i już wcale nie górował nad tamtymi. Przecież się poniżył, haniebnie poniżył, dołączając do gwałtownego, ciemnego motłochu, on ze swoją godnością, inteligencją, rozumem, przywódcą społeczności, wyjący jak zwierzę, żądny linczu.

— Ja też nie jestem z mojej podobizny dumny — powiedziałem.

Rozumiałem ich obu i znowu wszyscy raz po raz bezcelowo przyglądaliśmy się tym twarzom. Ludwig, opanowany teraz, przerwał nam spokojnie:

— Mamy chyba poważną sprawę do omówienia. Proponuję, żebyśmy wygodnie usiedli.

Nikt mu nie odpowiedział. Usadowiliśmy się w fotelach naprzeciwko obrazu, ale czy było nam wygodnie, nie powiem. Zostaliśmy upokorzeni widokiem samych siebie, a to przecież nigdy nie daje zadowolenia, jeśli się nie jest mistykiem. Z nas czterech tylko Neil był prawie swobodny. Ujrzał przed sobą problem intelektualny będący wyzwaniem dla niego i to mu przywróciło równowagę. Wyciągnął swe długie nogi, utkwiał wzrok w czubkach butów i podparł podbródek splecionymi dłońmi.

— Gdybym tak dobrze, Ludwig, nie znał ciebie — zaczął — powiedziałbym: ta poważna sprawa po prostu sprowadza się do tego, że parasz się hipnozą, jak ów człowiek, nie pamiętam nazwiska, który napisał „Bridie Murphy”. Czuję się tak, jakbym był świadkiem indyjskiej sztuczki z liną. Wiem, że doznałem złudzenia, a przecież mógłbym przysiąc, że naprawdę widziałem to.

Ludwig poprawiając się o ciężale w fotelu machnął ręką.

— Jeżeli to hipnoza, samym hipnotyzerem jest twórca obrazu — odrzekł z powagą. — Ja niewiele wiem o nim, poza tym, że nie miał szczęścia. To arcydzieło nieraz powodowało kłopoty, kiedy je wystawiano, i nieraz próbowano je zniszczyć. Ocalili je ludzie, którzy tego obrazu nie rozumieli, ale którzy szanowali sztukę, książki i wszelką wiedzę. Jeżeli my, tutaj w tym pokoju, nie możemy tego zrozumieć, nikt nie może.

— Takie sprawy jak ta są sprawami szatana — powiedział ojciec Graney.

— Lub Boga.

Głos Ludwiga zabrzmiał wyzywająco, więc ojciec Graney podniósł głowę, żeby spojrzeć na niego.

— Boga?!

— Jeżeli to wychodzi na dobre, jeżeli ten obraz przemawia do lepszej strony naszej natury, to nie jest zło.

— Upraszczasz. Tylko bezpośredni skutek może wydaje się dobry, tak nas oślepiając, że nie widzimy zasadniczego zła. Podobnie jak w wielu innych przypadkach.

— Zastanówcie się! — Ludwig, który chciał, żebyśmy w czasie tej rozmowy siedzieli wygodnie, zerwał się na równe nogi, niespokojny i w dodatku pozbawiony autorytetu przez to niezgrabne swoje cielsko. — Stanęliśmy wobec jednego z najstraszniejszych momentów historii świata. Dlaczego ten moment jest straszny?

Chyba każdy z nas miał na to indywidualną odpowiedź, ale czekaliśmy, żeby Ludwig sam sobie odpowiedział. On nie był teraz sobą. Zazwyczaj łagodny, uprzejmy, pewny swego dobrego gustu i wiedzy, którą nabył, oraz instynktów, które w sobie rozwinął w miarę nabywania wiedzy, teraz nie miał na czym się oprzeć. Zazwyczaj potrafił powiedzieć dużo, mówiąc niewiele, i nigdy nie przemawiał na stojąco, teraz stał z twarzą spoconą, dziwnie poruszony, znękany i deklamował nieomal:

— Na taką scenę jak ta oto natrafiłem w malarstwie już przedtem. Tylu malarzy malowało „Ecce Homo”, że nawet bym ich nie zliczył. Chrystus ubiczowany i Piłat pokazuje Go ludowi. Ta scena tu przed nami nie jest tworem niczyjej wyobraźni. Jest prawdą. Musieli wyprowadzić Go przez ten dziedziniec, kiedy już Piłat umył ręce. I tłum jeszcze musiał być tam. Tłum w gniewie nieprędko się rozchodzi. Ten artysta widział to tak, jak było. Prawda faktu bije z tego obrazu. Przyznacie mi chyba rację.

— Wywód zupełnie logiczny — powiedział Ojciec Graney.

Neil Carlton lekko przytakując rzekł:

— Z natury rzeczy istnieją uzupełnienia do Pisma Świętego, że tak powiem, mosty ze szczegółów, które możemy uznać za wydarzenia łączące. Tym z pewnością jest ta scena tutaj.

Żał im Ludwiga — pomyślałem — i trochę im wstyd za niego, bo on gra dzisiaj jakąś nie swoją rolę, i to gra kiepsko. Starają się pomóc mu. Ale zarazem pełni rezerwy przeciwstawiają mu się nieuchwytnie. Ja nie powiedziałem ani słowa. Uważam, że nie należy pomagać ludziom w takich okolicznościach: bez pomocy dadzą sobie radę lepiej. Oczekiwałem przesilenia. Ludwig jeszcze nie powiedział, co go dręczy; to, o czym mówił dotychczas, przecież nie mogło dotyczyć go osobiście.

— Otóż — ciągnął — tu czy tam, w tym czasie czy w innym ludzie wrzeszczeli i bluźnili. Mówili: „Jego krew spadnie na nas i na dzieci nasze!” i za to mój naród cierpi od dwóch tysięcy lat. Te słowa doprowadziły do wielkich rozlewów krwi. Ale wypowiadali je nie tylko Żydzi. Wy nie jesteście Żydami, a przecież znaleźliście się tam. Widzicie tam siebie.

Neil Carlton zgiął nogi w kolanach i siedział teraz wyprostowany.



— Zawsze było doktryną chrześcijańską — powiedział — to, że Chrystus umarł za wszystkich. Że my wszyscy mamy z Jego śmiercią coś wspólnego i ponosimy winę.

Ludwig milcząc patrzył na niego sceptycznie, ze znużeniem. Ojciec Graney drgnął. Podniósł rękę, pogładził się po głowie aż do karku.

— My nauczamy i nauczaliśmy zawsze — rzekł ochryple — że każdy człowiek, który kiedykolwiek zgrzeszył, odegrał rolę w ukrzyżowaniu: to nasze grzechy gwoździami przybijały Zbawiciela do krzyża. Wystawiamy krucyfiks, żeby o tym przypominać ludzkości.

— Bardzo pobożne stwierdzenie — rzekł Ludwig — tylko, że to jeszcze nie jest całość tej doktryny. Nas, Żydów, nazwano „mordercami Chrystusa” i tam, gdzie byliśmy nieliczni, a was było dużo, zamykano w gettach. Nabożeństwa w Wielki Piątek wciąż odświeżają tę dawną nienawiść.

— Żydzi na ogół, czy to w piśmie, czy w mowie, nie zawsze okazują gorliwość, żeby stosować maści gojące i bandaże na rany — powiedział ojciec Graney łagodnie.

Wpatrywał się w obraz. Z pewnością nie usłyszał od Ludwiga nic nowego. Badał przecież i roztrząsał to właśnie zagadnienie winy niezliczone razy w czasie swoich długich studiów jezuickich, w czasie pełnienia zawodu pedagoga. A jednak nie odwołał się do arsenału argumentów, jakimi niewątpliwie dysponował, żeby odpowiedzieć na zarzut o „całości doktryny”. Może osobiście współczuł Ludwigowi, będąc jego przyjacielem od wielu lat, albo może w jego słowach wykrył jakąś smutną rację, albo też znalazł się sam w obliczu wielkiej abstrakcji skonkretyzowanej na tym płótnie przed nim. Nie wiedziałem.

Ludwig usiadł ciężko. Wypowiedział się nie po swojemu i miał tego dość.

— Ja nie rozumiem tego obrazu — przyznał — nie wiem, pod jakim wpływem został namalowany, ale wiem, że odtwarza niezbitą prawdę. Oddaje sprawiedliwość.

Neil Carlton wymamrotał coś. Nie dosłyszałem, co. Wstał raptownie i wyszedł z pokoju. Zwróciłem na to uwagę, ale myślałem, jeśli w ogóle o tym myślałem, że idzie do toalety. Włączyłem się w ciszę kontemplacji tamtych dwóch, taką ciszę, która bardziej całkowicie niż każda inna usuwa ze świadomości otaczający nas świat.

Zupełnie jak gdybyśmy we trzech siedzieli na niskim wschodnim murze tego dziedzińca, nieco poza kłębiącym się tłumem i blade przedpołudniowe słońce świeciło nam w plecy. Tak widzieliśmy obraz i tak padało tam światło. To był chłodny dzień w Jerozolimie, wiatr wiał z północnego zachodu, gdzie czarne chmury nawarstwiały się łukiem tak pełnym groźby jak motłoch stłoczony poniżej. Ten wiatr marszczył wodę w kałużach pozostałych po nocnym deszczu i znowu przyszedł mi na myśl Tintoretto. Jakże on potrafił zmusić wodę, żeby płynęła

na płótnie! Wiatr widać było, kiedy się spojrzano uważniej, również w odzieży tych ludzi. Targał ją, niezbyt silny, ale wyraźnie chłodny i wilgotny.

Jezus odczuwał to stojąc sam pośrodku dziedzińca. Moje pierwsze wrażenie uległo zmianie. On uchylał się nie od dotknięcia szaty — lecz od powiewu wiatru drażniącego pokaleczone plecy, podwójnie ziębiącego skórę rozpaloną od straszliwej chłosty.

Postać Chrystusa dominowała, kiedy oglądało się obraz w całości. Nie był imponującej budowy. Wyglądał Jak zwykły człowiek, który przebywa często na świeżym powietrzu, nie słaby i nie chudy, ale też nie tak umięśniony jak ten gotów w każdej chwili do stosowania przemocy żołnierz rzymski.

Twarz miał poznaczoną strużkami krwi i zmiętą, co wyrażało stan oszołomienia po biczowaniu: nie jaśniał w chwale, ale mnie, patrzącego, urzekał. Tamte postacie, dramatycznie czynne, podczas gdy On stał biernie, były stosunkowo nieważne. Całym obrazem, *raison d'être* był On.

Chrystus niezwykły. Wrzeszczący ludzie nie odarli Go ani nie mieli odrzec ze szlachetności. Mogliby Go poniżyć tylko w wypadku, gdyby się do nich zniżył, a tak poniżali wyłącznie siebie. Teraz ja, jeden z tych poniżonych, a przecież poza ich kręgiem, nie pojmowałem wyrazu Jego oczu. Przedtem uznałem, że to wyraz pytający, ale już widziałem, że tak nie jest. I nie z nienawiścią czy urazą, czy wyzwaniem On patrzył na swoich samozwańczych wrogów: trafniej można by powiedzieć, że patrzył z żalem — oto my, którzy możemy dążyć do osiągnięcia wzniosłych wyżyn, upadliśmy nisko. Albo było to może współczucie, On wiedział, że gdzieś, kiedyś my będziemy stali tak bezradnie, jak On stoi, i widząc siebie będziemy musieli cierpieć na ten widok.

Zwykle nie miewam takich myśli. Wbrew woli ogarnęło mnie wzruszenie. A dawno już nie zaznałem wzruszeń — pozbyłem się tej słabości w ciągu ponurych tygodni, kiedy moja żona prowadziła obmierzłą procedurę rozwodu. Dumny byłem z tego, że na ogół potrafię zachowywać obojętność, jako obserwator czy komentator życia, zamiast podlegać wraz z innymi niedorzecznym emocjom. Ten obraz jednak stanowił najwyraźniej wyzwanie dla mojej pewności siebie — wyzwanie niezależne od wpojonych mi pojęć religijnych. Wyrosłem w rodzinie średnio pobożnej, chodzącej do kościoła raczej z nawyku niż z przekonania. Legendy religii, jej tradycje i folklor porywają wielu ludzi, ale mnie nigdy nie porywały. Odszedłem od tego wszystkiego ostatecznie na pierwszym roku wyższych studiów. A przecież ten obraz teraz wciągnął mnie nie tylko w starą legendę, ale i w ludzkie cierpienie, w historię mas, w klimat Jerozolimy sprzed dwudziestu stuleci. Wszystko to było wprost absurdalne!

Potrząsałem głową. Spróbowałem się zmusić do patrzenia na ten obraz okiem fachowca, a nie bezradnego ignoranta. Cóż, kiedy ten Chrystus nadal przyciągał mój wzrok. Nieszczęsny żołnierz, zepchnięty ze swojej pozycji przez motłoch, był szpicem klina, jak strzałka wskazywał tę cichą samotną postać. Rzymianin na

pierwszym planie naprężając się, żeby odeprzeć ludzi, utrzymywał równowagę podniesieniem ręki z mieczem i czubek tego miecza także był strzałką wskazującą Chrystusa. Wskazywały Go wiatr i chmury, i to światło! Malarz tutaj nie nadał Mu chwały ale On chwały nie potrzebował. Rozrzedzone światło zimnego, burzliwego poranka, prawie zbyt skąpe, żeby oświetlić całość, padało najhojniej na Niego. Skupiało się na Nim.

Niezachwiany realizm, gwałtowny kontrast światła i mroku, tyle twarzy pełnych wyrazu, tyle wykrzywionych nienawiścią, wszystko to przypominało wielkiego Caravaggio. Kiedyś Caravaggio był moim bożyszczem, tak jak Tintoretto. Niechętnie poddaję moje bożyszcza porównaniom, jeśli już to czynię w ogóle, ale ten malarz mógłby stanąć w ich rzędzie. Gdzieś i jakoś podpatrywał Włochów, był jednak Niemcem, co do tego nie myliłem się na pewno.

Taki obraz mógł namalować tylko wspianiały artysta, chociaż Ludwig powiedział, że to artysta nieznanany, po prostu nikt. Twórca oryginalnej koncepcji, nie zapożyczonej od żadnego z malarzy współczesnych, mistrz światłocienia, umiejący sobie poradzić z przestrzenią i perspektywą, portrecista o rzadkim talencie łączenia poszczególnych postaci w tłum bez zatracenia ich indywidualności. Czy możliwe, że do tych darów został mu dodany jeszcze taki dar, który go zniszczył: dar malowania tak, że ludzie wszystkich czasów mogą w jego obrazach znajdować swoje portrety i znajdując je, czuć się oskarżonymi?

Spojrzałem na tego tchórza pochylonego, żeby rzucić kamieniem bezimiennie, zza tłumu i nie przyjąć odpowiedzialności za to. Jego twarz była moją twarzą. Powróciła mi pamięć wszystkich posunięć ukradkowych, tchórzliwych, podłych, jakie kiedykolwiek zrobiłem. Nie mogłem wyprzeć się swego wizerunku. Nie opodał obszarpany, brudny nicpoń spluwał na tę cierpliwą postać cichą i pełną godności i miał twarz głupią, zdeprawowaną, obmierzłą chyba jeszcze bardziej; a przecież zdyscyplinowany, oddany duszpasterstwu inteligentny duchowny katolicki poznał w tej twarzy siebie i jak to podziałało na niego? Czy będzie mógł kiedyś o tym zapomnieć? Wysoki w pysznej szacie człowiek, hojnie obdarzony dobrami tego świata, chociaż powinien tych dóbr używać na to, by przewodzić ludziom, zniżył się do roli bezmyślnego poplecznika motłochu, a swe talenty krasomówcze, które powinny służyć szczytnym celom, obrócił na wściekłe, podsycane nienawiścią przeklinanie. Neil Carlton ujrzał siebie takim i kredowo błady osunął się w fotel. Myśmy nie byli podobni do naszych prototypów, ale jak bardzo byliśmy niepodobni?

Drzwi się otworzyły. Neil wracał i wyczułem, że nie jest sam, więc odwróciłem głowę. Chciałem wstać i powstrzymać go, już było jednak za późno. Ludwig podniósł się i też chciał zaprotestować. Neil przyprowadził Roberta, żeby Robert zobaczył ten obraz.

Windziarz uśmiechał się. Szedł powoli, ostrożnymi małymi kroczkami, bo inaczej nie mógł ze swoim kalekim kręgosłupem. Szedł ufny, a czekało go okrut-

ne przeżycie, którego nigdy nie miał zrozumieć. Neil powiedział mu coś, czego nie dosłyszałem, i wtedy stanął przed obrazem jak wryty. Zareagował szybko.

W ciągu kilku sekund zobaczył wszystkie szczegóły mające znaczenie dla niego: tę scenę, postać Jezusa Chrystusa i siebie. Zachłysnął się i jęknął ochryple. Przez krótką chwilę myślałem, że padnie na kolana, ale uprzytomnił sobie, gdzie jest i kim jest. Wolno odwrócił się do mnie. Zobaczyłem w jego oczach zgrozę i oburzenie.

— Panie Donner — powiedział. — Czemu pan mi zrobił taką rzecz? Ja bym nie wygrażał pięścią Panu Jezusowi!

Doznając wstrząsu, okazał więcej godności niż każdy z nas. Namalowałem jego portret, więc w swojej prostocie i bezpośredniości skojarzył mnie z tym, co zobaczył. Trudno było mi odpowiedzieć.

— Nie ja to zrobiłem, Robercie — wyjaśniłem. — Ten obraz został namalowany ponad trzysta lat temu.

Uwierzył, bo nie wątpił, że jestem mu życzliwy, ale straszny był dla mnie widok jego oszołomienia. Wyczuwałem w tym oszołomieniu bezradne błaganie o pomoc. Jakże jednak zdołałbym naświetlić mu fakt, który sam logicznie uznałem za fantazję i niemożliwość? Ludwig znowu wstał, a ojciec Graney odwrócił się w fotelu, obaj równie bezsilni jak ja. Pozostał tylko Neil, przyjmując pełną odpowiedzialność.

— Robercie — rzekł łagodnie. — Zobaczyłeś siebie na tym obrazie. Ciekaw byłem, czy zobaczysz. Jest w tym obrazie coś zadziwiającego, coś, czego my nie rozumiemy. Ja tam znalazłem siebie i ojciec Graney znalazł siebie, i pan Donner też, ale nie możemy znaleźć tam siebie nawzajem. Ciebie na tym obrazie nie widzę, w ogóle żadnych kolorowych. Czy któryś z was widzi?

Na pół odwrócił się do nas i zapewniliśmy z całym naciskiem, że nie widzimy. Każdą twarz na tym płótnie miałem już powieloną w pamięci i nawet ślady usuniętego brudu, nawet patyna nie usprawiedliwiały przypuszczenia, że wśród tych postaci jest jakiś Murzyn. Robert spoważniał, zmarszczył brwi.

— Ale ja jestem tam — powiedział — widzę siebie wyraźnie. Wygrażam pięścią Panu Jezusowi. Nigdy bym tego nie zrobił.

— Słyszałeś kiedy, jak Marian Andersen śpiewa „Czy byłeś tam, gdy Pana mego krzyżowano”? — zapytał Neil.

— Pewnie, że słyszałem. Mam tę płytę i często ją sobie nastawiam.

W oczach Roberta błysnęło zrozumienie. Neil przytaknął.

— Tak to jest — powiedział. — Wszyscyśmy tam byli. Każdy, kto grzeszy: podnosiliśmy bicze, wygrażaliśmy pięściami, klęliśmy i wbijaliśmy gwoździe. Wszyscyśmy tam byli razem: ty i ja, wszyscy.

Ujął Roberta za rękę i wyszedł z nim, nie przestając go pouczać swoim łagodnym, niskim głosem. Pojąłem wtedy, jakim Neil Carlton mógłby być duszpa-sterzem, gdyby został powołany do kierowania trzódką w swoim kościele, a nie

do oddziaływania na masy za pośrednictwem czasopism, pojąłem słabość tego człowieka i jego siłę. Kiedy wrócił, Ludwig jeszcze stał z rękami w kieszeniach.

— Nie spodobało mi się to, Neil — oświadczył — wcale mi się to nie spodobało. Trzeba było mnie przedtem zapytać.

— Wiem. Nie mogłem. Ty byś się nie zgodził. A ja musiałem to zbadać.

— Ciekawość intelektualna niegodna ciebie.

— Nie. Coś więcej niż ciekawość intelektualna, godna czy niegodna.

— Robert jest jedynym, jakiego znam, człowiekiem rzeczywiście zadowolonym. Wspaniałym człowiekiem — głos Ludwiga zadrżał. — Tyś zburzył jego zadowolenie.

Ojciec Graney ocknął się. On chyba najgłębiej z nas przeżywał wstrząs, wywołany takim ujrzeniem własnej podobizny. Nierozwiązalność zagadki, oczywiście, mogłaby go uspokoić. Ale jezuici uważają, że nie ma zagadek nie do rozwiązania, i nie sądzę, żeby lubili cuda.

— Prawda — powiedział ojciec Graney — nie jest wrogiem zadowolenia. Robert to człowiek pobożny. Nic mu nie będzie.

Ludwig nie odpowiedział, widziałem jednak dziwną powściągliwość na jego twarzy, uznanie nieuchronności, które bynajmniej nie oznacza zgody. W głębi duszy, być może, przypuszczał, że ci dwaj: pastor i ksiądz, z zasady jednoczą się przeciwko niemu. Oczywiście byłoby to przeczulenie, nie mające faktycznych podstaw. Wszyscy czterej żyliśmy w przyjaźni, a przyjaźń przecież zawierają ludzie, nie symbole czy wykładniki. Chociaż upokorzenie, którego doznaliśmy publicznie na widok tego obrazu, starło nam nerwy jak papierem ściernym i przeobrażało słowa w szpicruty, nadal pozostawaliśmy przyjaciółmi.

— Ludwig, dlaczego rabin Marler wyszedł? — zapytałem. — I dlaczego był taki rozgniewany?

Specjalnie zmieniłem temat. Ludwig, nawet nie zdając sobie sprawy, że myśli jego biegną już tym nowym torem, zaczął formułować odpowiedź. Przesunął ręką po czole.

— Rabin Marler zobaczył obraz i w ogóle nie chciał mnie słuchać. Od razu dopatrywał się antysemityzmu. Jeżeli znalazł na obrazie siebie, zataił to przede mną. Powiedział, że te twarze są przesadne, że ten malarz namalował propagandowo karykatury Żydów, żeby obarczyć ich odpowiedzialnością wbrew prawdzie historycznej. Jest to jego czuły punkt, ponieważ on uważa, że właśnie błędy i przesada w interpretacji historii są zaporą na drodze braterstwa. Bardzo się zdenerwował.

Pomyślałem, że jest coś interesującego w tym fakcie: rabin Marler nie tylko rozpoznał na obrazie siebie — jeżeli rozpoznał — ale też widział inne twarze motłochu w swoistym naświetleniu. Ja widziałem inaczej. Dla mnie to były twarze Niemców, tych z gminu i tych wysoko urodzonych. Zanim zdążyłem o tym powiedzieć, Neil Carlton zwrócił się do Ludwiga. Znow siedział ze swymi długimi nogami wyciągniętymi i z podbródkiem wtulonym w dłoń.

— Ludwig — zapytał — czy ty jesteś na tym obrazie?

— Ależ tak. Oczywiście. — Ludwig był wyraźnie zaskoczony tym rzeczowym pytaniem. Był też zakłopotany, teraz, kiedy wszyscy patrzyliśmy na niego.

— Ja to ten żołnierz, ten Rzymianin, muskularny bydlak, który odpycha ludzi.

Większej sensacji nie mógłby wywołać. Neilowi ręce opadły bezwładnie. Ojciec Graney wyprostował się w fotelu, pochylił się w przód i spojrzał z nieukrywającym zdumieniem. Ja chyba się nie poruszyłem, nie odrywając oczu od Ludwiga. To był paradoks nad paradoksami, że spośród nas czterech, właśnie Ludwig zobaczył siebie w postaci Rzymianina: takiego Rzymianina!

Spróbowałem w myśli dopasować jego dużą głowę i twarz o bladej cerze i łagodnych oczach do tego brutalnego torsu. Jakim cudem on to zobaczył? Przypomniały mi się diety, które stosował przez te wszystkie lata, odkąd go znałem, i krótkotrwałe desperackie kursy gimnastyki. Teraz patrzyłem na niechlujnie rozłożone zwaly tłuszczu, uparte, zawsze zwycięskie, choćby wszczynał najbardziej energiczne kampanie przeciwko nim. Dziwna magia była w tym obrazie, skoro pod jej wpływem utożsamiał się z zahartowanym, mającym doskonałą kondycję zawodowym żołnierzem!

— To jest dla mnie okropne — powiedział Ludwig. — Gdybym bronił Go, jeszcze bym mógł akceptować tę brutalność, chociaż też bym pytał: „Czy możliwe, że jestem taki?” Ja jednak Go nie bronię. Przemocą usuwam ludzi z drogi, żeby wyprowadzić Go i zabić. Przedtem może sam Go biczowałem.

Realność naszych własnych przeżyć znajdowała odbicie w każdym słowie Ludwiga, ponieważ on mówił o tym, co niewątpliwie odczuwał głęboko od pierwszej chwili, kiedy zobaczył ten obraz. Ludwig to przede wszystkim badacz, uczony, miłośnik rzeczy pięknych. Jego natura wzdryga się wobec wszelkich przejawów nieokresania, gwałtu, gruboskórności: i oto został zmuszony do tego, by kojarzyć swoje „ja” z czymś takim właśnie, by patrzeć bezradnie na siebie tak odrażającego.

— Ludwig, ty przynajmniej — powiedział ojciec Graney w zadumie — utożsamiasz się z postacią, która stosuje przemoc bez złośliwości i nienawiści. Jest żołnierzem, podlega rozkazom i czyni to, co w swoim przekonaniu czynić musi.

— Żeby być takim żołnierzem, trzeba najpierw stać się bydlęciem.

Neil Carlton westchnął.

— Kiedy zmieniamy ludzi w żołnierzy, to jest właśnie wzorzec. I odrobić tego się nie da.

Wszyscy znów patrzyliśmy na obraz, ale w pokoju panował już inny nastrój. Przeżyliśmy coś we czterech i nadal dzieliliśmy to przeżycie, które dla każdego z nas pojedynczo byłoby nie do przyjęcia, nie do uwierzenia. Żaden teraz nie stał, wszyscy siedzieliśmy zatopieni w myślach. Dopóki Neil nie zapytał Ludwiga, czy zobaczył na obrazie siebie, to pytanie wcale — wręcz niewiarygodne! — nie przyszło mi do głowy i, najwidoczniej, nie przyszło do głowy ojcu Graneyowi

ani samemu Neilowi. Nie wiadomo, dlaczego uważaliśmy Ludwiga za aranżera, jakiegoś mistrza ceremonii, który nas zaskakuje bardzo niemiłą, kłopotliwą grą złudzeń. Mieliśmy do niego, choćby tylko podświadomie, pretensję o wstyd, jaki wzbudziło w nas dramatyczne przypomnienie, że jesteśmy nędzni. Teraz zjednoczyliśmy się z nim, przeżywającym tak jak my swoją chwilę zgrozy.

Ludwig zgarbił się w fotelu.

— Gdyby każdy człowiek — rzekł ochryple — potrafił dostrzec siebie w tym momencie historii i zrozumiał, że za tę krew przelaną odpowiedzialność spada na jego dzieci, jakże inaczej potoczyłoby się wszystko! Jakże inne byłyby ideały szczęścia, cywilizacja, wszystko!

— Jeszcze nie jesteśmy do tego przygotowani — powiedział Neil.

— A gdyby bodaj niektórzy zobaczyli ten obraz? Ale nie! Nie jestem aż tak naiwny. Wiem, że tego obrazu nie można wystawić. Powtórzyłoby się znów to samo. Próbowano by spalić go, zniszczyć.

Milczeliśmy. Ludwig nie wytrzymał naszego milczenia. Odwrócił głowę i kolejno popatrzył na każdego z nas.

— Kiedyż wreszcie będzie można wystawić ten obraz? — zapytał. — Przecież czynimy postępy. Powiedzmy, za pięćdziesiąt lat? Czy za pięćdziesiąt lat można będzie pokazać to ludziom?

Patrząc mu w oczy milczeliśmy nadal. Nie znaleźliśmy odpowiedzi.

Wyszedłem z galerii z Neilem Carltonem. Przeszliśmy cztery bloki, nie mówiąc ani słowa.

— Masz jakiś pogląd na to nasze dzisiejsze doświadczenie? — zapytał w końcu Neil.

Już zdążyłem pogardliwie otrząsnąć się z myśli o czarach, cudach i Wielkim Niewytłumaczalnym. Ostatecznie byliśmy wśród ludzi i samochodów, i hałasów wielkiego miasta — w konkretnej rzeczywistości. Ruchliwa ulica nie jest tłem dla metafizyki, jeśli metafizyka w ogóle może mieć racjonalne tło.

— Odnieśliśmy się do tego dosyć poważnie — powiedziałem. — Ale w naszym okresie historii nie przeważają wpływy religii. Ten obraz prawdopodobnie można by pokazać bez wywoływania takich wstrząsów i dramatów, jakie myśmy dziś przeżyli. Dla wielu osób obecnie byłoby to zabawne. Widok siebie rzucającego kamieniem w Jezusa Chrystusa nie wstrząsnąłby wszystkimi tak bardzo, jak wstrząsnął nami. Ludzie przychodziliby popatrzeć żądni sensacji, ba, makabry i pod tym kątem rozpoznaliby się w postaciach na starym obrazie.

— Nie — powiedział Neil — nikt z niedowiarków nie doświadczyłby tego. Ja nie udaję, że obraz ten rozumiem, ale nie wątpię, że to jest możliwe tylko w takim nastroju, jaki myśmy dziś wytworzyli. Magia, czarna czy biała, wymaga powagi. Sakramentalności. Efekt tego obrazu odbija się w ludzkim umyśle, przecież żywym. W samym obrazie, który jest przedmiotem martwym, nic się nie zmienia, absolutnie nic.

— Odkładając na bok całą magię i fetysze, to obraz naprawdę wspaniały.

— Tak — potwierdził Neil. — I pozostanie nam w pamięci. Niektórym z nas będzie nasuwał myśli o sprawach ducha. I może dojdziemy do punktu, w którym zaczniemy rozważać pojęcie winy indywidualnej i zbiorowej. Czy też może trochę podumamy o wierze. Ostatecznie wiara jest również tajemnicza. . . bardziej tajemnicza niż hipnoza.

Spojrzałem na Neila.

— Pastor uważa, że to dzisiejsze złudzenie było rezultatem hipnozy?

— Nie. A ty?

— Nie.

Przeszliśmy od rogu do rogu ulicy znów milcząc.

— I w dodatku nie zamierzam bawić się w domysły — powiedziałem. — Wina i wiara to abstrakcje. Żadna z takich teorii nie będzie tak konkretna jak ten obraz, chociaż schludnie się je wykuje i obrobi. Ten obraz jest nie mniej konkretny niż my. Wpasowaliśmy się w tę scenę, bo podziałała na nas swoim realizmem, który mogliśmy przyjąć. Wszystko poza tym jest jak dymek na wietrze.

— Niezupełnie. To, co realne, zawsze musi mieć znaczenie. Ten obraz u Ludwiga był dla ciebie czymś więcej niż malowidło na płótnie i nadal jest dla ciebie czymś więcej.

— Przyznaję. Pan, pastorze, jednak dopatruje się w nim czegoś nadprzyrodzonego, czego ja nie chcę się dopatrzeć.

Neil roześmiał się cicho.

— Kirk — powiedział — my wszyscy tam u Ludwiga byliśmy takiego czy innego wyznania, wszyscy oprócz ciebie. Ty jesteś agnostykiem, może ateistą dumnym ze swojej niewiary. Wydaje mi się, chłopcze, że spośród nas właśnie ty masz największą szansę odkrycia, jakie znaczenie ma ten dzisiejszy ewenement, i że właśnie ty nam je wyjaśnisz. — Roześmiał się znowu. To nie był śmiech wesoły: to był śmiech, który trudno określić. — Może nawet otworzysz z klucza dwie najgłębsze ze wszystkich tajemnic: Dobro i Zło.

Zatrzymał przejeżdżającą taksówkę, po czym pomachał do mnie ręką i wsiadł. Stojąc na zatłoczonym chodniku, patrzyłem, jak odjeżdża. Lubiłem go i darzyłem podziwem, ale wiedziałem, że nie jestem odkrywcą znaczeń. Życie zawsze wymagało ode mnie akceptowania wielu rzeczy niezrozumiałych: zawiłych procesów, w wyniku których żywi ludzie wkraczają na martwy Księżyc, pomysłowo zaprojektowanych bomb, które mogą zburzyć całe miasta, oraz innych dziwów i pozorowanych cudów. Nie pojmowałem tych rzeczy, a przecież akceptowałem je i nie szukałem w nich żadnego znaczenia: po prostu są i koniec.



## ROZDZIAŁ DRUGI

W tydzień po tej historii u Ludwiga Lorensona złożyłem Neilowi Carltonowi wizytę późno po południu w jego domu. Dotychczas nasze stosunki towarzyskie nie obejmowały takich wizyt i nawet nie znałem jego żony. Bywają w przyjaźni dziwne linie uznawane bez sprzeciwu, ponieważ mają one swój sens. Pod względem finansowym nie dorastałem do poziomu Neila i jestem znacznie od niego młodszy. Towarzystwo, w jakim obracają się państwo Carlton, naturalnie musi być znacznie starsze niż ja i mieć zupełnie inne zainteresowania. Sztuka stanowi tylko jedną z licznych pasji Neila, toteż dla ludzi, których on spotyka w kręgach artystycznych, po prostu nie ma miejsca na innych torach jego życia.

Siedzieliśmy w bibliotece, pokoju z ciemnymi boazeriami, regimentem książek i kilkoma obrazami. Meble tam służą od wielu lat i już się przystosowały. Jeżeli w pierwszych latach coś mogło razić, z pewnością dawno razić przestało: wszystko teraz znajdowało się akurat tam, gdzie powinno, bez żadnych zgrzytów. Był to miły pokój, sprzyjający odprężeniu, przestronny i nie zagracony. Siedzieliśmy naprzeciw siebie po dwóch stronach kominka w wygodnych fotelach, w których człowiek może siedzieć, nie doznając wrażenia, że się zapada.

Neil miał na sobie sportową marynarkę jasnobrązową w delikatne paski i kasztanowaty wzorzysty krawat. Jego ubranie nigdy nie świadczy o tym, że jest duchownym, chociaż sam często o tym przypomina. Zbudowany krzepko, nie otyły, ma cerę śniadą nawet w zimie, głowę wyciosaną dosyć topornie, czoło tylko średnio wysokie, małe woreczki pod oczami żywymi i bystrymi, o dziwnym kolorze, chyba bliskim temu, który nazywamy kolorem piwnym. Włosy ciemne, prawie czarne, przeredziły mu się, ale jeszcze nie za bardzo. Ma krótkie, niedbale przystrzyżone brytyjskie wąsy. Podbródek ścięty i mocny. Ukończył chyba pięćdziesiąt parę lat.

— Prosiłem, żebyś wstąpił do mnie dziś po południu — powiedział — bo myślałem o tym obrazie. Nie mogłem nie myśleć. Ciekaw byłem, jak ty sobie z tym radzisz, ponieważ twoje rozważania z pewnością przybierają inną formę.

— Żadnej formy nie przybierają — odpowiedziałem. — Ja po prostu odszedłem od tego obrazu. Każdy z nas zobaczył na nim siebie. Rzecz oczywiście nie-

możliwa. I ponieważ nie dało się tego logicznie wytłumaczyć, uznałem, że nie warto łamać sobie nad tym głowy. Wcale już o tym nie myślę.

— Szczęściarz z ciebie! Jeżeli potrafisz tak reagować, doprawdy szczęściarz. Daruj mi jednak, że niezupełnie ci wierzę. N'importe! Myśmy ledwie musnęli powierzchnię, kiedy wracaliśmy od Ludwiga. Miałem nadzieję, że przez tych parę dni rozwinąłeś jakąś teorię.

— Zadowolę się tą teorią, ale tylko jako przedmiotem do przeprowadzenia sekcji.

— Ty byś mojej teorii nie zrozumiał. Na to trzeba mieć podstawę z wiary, a tobie wiary brak. Z wami niewierzącymi zawsze są trudności.

— Przysłuchujemy się grzecznie.

— To za mało. Więcej jest tego, czego nie widzicie, niż tego, co widzicie. Zresztą nieistotne teraz. Czy wiadomo ci cokolwiek o malarzu, który namalował ten obraz Ludwiga?

— O Bonifacym Rohlmannie? Nie, nic nie wiem. Zaglądałem do książek, a mam ich sporo. Nie znalazłem żadnej wzmianki.

Neil przytaknął.

— Ja też zadałem sobie pewną fatywę. W ciężkich sytuacjach zwracam się do specjalistów. Zadzwoiłem więc do znajomej bibliotekarki, bardzo sprawnej. Pokryłem koszt jej dwóch rozmów telefonicznych z Europą. W rezultacie dostarczyła mi tylko paru szczegółów i zaklina się, że więcej nie wyszperamy.

— To byłoby ciekawe.

— Dobrze. Ciekawość prowadzi do mądrości.

— I do innych rzeczy.

— Podobno. W każdym razie nasz przyjaciel Rohlmann urodził się w niemieckim miasteczku Friedheim, przypuszczalnie w roku tysiąc sześćset dziewiętnastym. Właśnie wybuchła wojna trzydziestoletnia. Wiosną roku tysiąc sześćset trzydziestego drugiego Friedheim zajął jakiś szwedzki generał o nieprawdopodobnym nazwisku Oxenstar, i to była brutalna okupacja. Jesienią tamtego roku miasteczko nawiedziła czarna ospa. Bonifacy Rohlmann miał wtedy lat chyba trzynaście. Nie były to czasy, żeby uczyć się malarstwa czy bodaj myśleć o sztuce.

— Niejeden talent się rozwinął — powiedziałem. — Ci wielcy mają w sobie coś, co wydobywa się samo. Może Rohlmann zaczął kwitnąć... prosperować... właśnie dzięki przeciwnościom.

— Może. Jego praca nie kwitła. Jego dzieła chyba zginęły w zamęcie tamtej wojny albo w rękach Kościoła.

— Dlaczego Kościoła?

Neil uśmiechnął się. Wstał powoli i wiedziałem, że to jeszcze nie wszystko, że czeka mnie jakaś niespodzianka.

— Kseresu, Kirk? — zapytał.

— Bardzo proszę.

On nigdy nie pił nic mocniejszego niż kseres i wątpiłem, czy kiedykolwiek częstuje czymś mocniejszym swoich gości. Wrócił z dwoma kieliszkami. Wzniosłem toast za jego zdrowie.

— Ale wracajmy do tematu — powiedziałem. — Co dalej? Dlaczego w rękach Kościoła?

Neil wypił trochę i starannie postawił kieliszek.

— Był to malarz, świetny malarz — rzekł powoli. — Tylko dwa jego obrazy figurują obecnie w spisach. Ten u Ludwiga nie jest wymieniany. Była jedna Madonna Rohlmanna w małym kościółku w Würzburgu, ale kościółek zburzyły bomby w czasie ostatniej wojny. I był obraz „Ukrzyżowanie” w muzeum w Dreźnie, gdzie też bardzo niewiele zostało po bombardowaniach. Poza tym nic. Rohlmann miał około czterdziestu lat, kiedy umarł. Dlaczego jego obrazy zniknęły, jego twórczość przepadła bez śladu?

— To wydaje się niemożliwe — powiedziałem. — Dlaczego? Artysta tak władający pędzlem na pewno stworzył imponującą liczbę dzieł większych i mniejszych.

— Nic. Nic go nie przeżyło. Czy znasz Trewir?

— Nie byłem tam. Ale wiem, gdzie to jest. Niedaleko granicy Luksemburga.

— Tak. Według wszelkiego prawdopodobieństwa najstarsze miasto w Niemczech, może najstarsze w Europie. Mają tam w katedrze szatę Chrystusa, czy przynajmniej szatę, mogącą ze wszechmiar za taką uchodzić. I jedyny z dwunastu apostołów, który został pochowany na północ od Alp, właśnie tam leży. Święty Mateusz. W złocistej kaplicy.

— Co to ma wspólnego z Rohlmannem i jego malarstwem?

— Chciałem ci przypomnieć, że Trewir jest ciekawym miasteczkiem. — Neil znów wypił trochę kseresu. Sponad kieliszka popatrzył na mnie. Minę miał uprzejmą i niewinną. — Rozumiesz, tam Bonifacy Rohlmann umarł. Spalony na stosie. Jako czarnoksiężnik!

Wyprostowałem się w fotelu. Neil zręcznie doprowadził do tego punktu kulminacyjnego naszej rozmowy, podając fakt dosyć zdumiewający. Za czasów Rohlmanna wiele osób, przeważnie kobiet, spalono na stosie i sporo też ścięto. Oskarżenia jednak o czary zdarzały się rzadko i nie wiadomo mi było o żadnych zamieszanych w sprawy czarów malarzach.

Neil mnie obserwował z ledwie dostrzegalnym uśmiechem na ustach.

— Tak przedstawia się ta historia — powiedział — i, być może, wytłumaczenie obrazu, na którym każdy z nas zobaczył siebie.

— Nielatwo jednak za wytłumaczenie tego obrazu uważać czary.

— Wiem. Jak powiedziałem, z wami niewierzącymi są trudności. Komuś, kto uważa, że świat jest tylko fizyczny, czysto materialny, podlegający zniszczeniu

i nie mający przeznaczenia ostatecznego... takiemu komuś nic w świecie duchowym nie przemówi do rozumu, nic w świecie duchowym nie nakaże wiary.

— A jeżeli świat duchowy w ogóle nie istnieje?

— Jeżeli nie istnieje, trzeba zignorować Jezusa Chrystusa i świadectwo naocznych świadków Jego cudów, zignorować wszystkich innych prominentów religii i ogromną literaturę o dziwnych, niewytłumaczalnych wydarzeniach, wydarzeniach niewytłumaczalnych w kategoriach fizycznych.

— I w każdym innych kategoriach.

Neil odchylił się w fotelu, podniósł wzrok na sufit, po czym po kilku sekundach znów spojrzął na mnie.

— Kirk — powiedział — Trewir to ciekawe miasto, wątpię jednak, czy tam są jakieś ślady Bonifacego Rohlmana. Chciałbym, żebyś pojechał do Friedheim, gdzie on się urodził. Zadanie zlecone. Na jeden miesiąc. Majątku nie zbijesz, ale ta propozycja powinna cię zainteresować.

— Dziękuję — powiedziałem. — Tylko, co mam tam robić?

— Obejrzeć misteria pasyjne, które wystawia się we Friedheim co dziesięć lat, tak samo jak w Oberammergau i dla teje samej przyczyny. Mieszkańcy Friedheim zobowiązali się do tego ślubowaniem, w zamian za uchronienie od zarazy. I słowa dotrzymali.

— Interesujące, jeżeli to prawda. Słyszałem o Oberammergau, oczywiście, ale o Friedheim nigdy.

— Mała miejscina. Małe misterium, przypuszczam. Nieważne zresztą. Miasteczko pechowe pod wieloma względami. Ważne jest to, że tam urodził się i dorastał Bonifacy Rohlmann.

— Nadal nie rozumiem, co ja mógłbym w tym miasteczku zrobić.

Neil Carlton wyprostował się lekko. Kieliszek z winem trzymał w lewej ręce. Spojrzął mi w oczy.

— Nie mam pewności, czy możesz zrobić cokolwiek. Może jednak wchłonąłbyś tam coś, co swego czasu wchłonął młody Rohlmann. Może! Wtedy po powrocie mógłbyś wyjaśnić tajemnicę tego obrazu. Może!

Potrząsnąłem głową.

— Nie nadaje się. Tu trzeba kogoś, kto żarliwie wierzy, kogoś przygotowanego do pobytu w takiej miejscowości jak Friedheim i oglądania Pasji. Ja jestem agnostykiem.

— I to, jeżeli darujesz mi uwagę na marginesie, agnostykiem dosyć niedojrzałym. Ale chyba agnostycyzm właśnie kwalifikuje cię do tego zadania. Nie chcę, żebyś wrócił z czymś, co mógłbym przeczytać w nabożnych książkach.

— Dlaczego pan, pastorze, sam nie pojedzie?

Neil Carlton dopił swoje wino, patrząc gdzieś poza mną. Widziałem w nim tę chęć, zanim się odezwał:

— Wolałbym sam pojechać, niż wysłać tam ciebie. Z wielu jednak powodów nie mogę. Czy podejmiesz się tego zadania?

— Proszę o dwadzieścia cztery godziny do namysłu.

Neil odstawił kieliszek i wstał. Tym samym moja wizyta dobiegła końca.

— Dwadzieścia cztery godziny — powiedział. — Jutro po południu. O tej porze. Tutaj!

Wyszedłem na wielkowiejską ulicę. Miasto nie zmieniło się w ciągu godziny, którą spędziłem u Neila Carltona: dobrze znana stara metropolia z warkotliwym ruchem na jezdniach i spieszącymi się ludźmi, z hałasem i odorem spalin i tłokiem wszędzie. Ale teraz jakaś mgiełka przysnuwała to wszystko, mgiełka, nie będąca smogiem. Miasto wydawało się nierealne. Mogę, myślałem, wsiąść do samolotu, usadzić się w wygodnym fotelu i prawie zaraz ono przestanie istnieć. Już nie będę czuł tych zapachów ani widział tych zapędzonych ludzi, ani słyszał tego zgiełku.

Ogarnął mnie dziwny jakiś nastrój. Dzień ten był dosyć ponurą rocznicą i pamięć o tym czaiła się we mnie od rana, nawet przy rozmowie o malarzach-czarownikach i o Niemcach średniowiecznych. Rok temu moja była żona umarła śmiercią tragiczną. Już nic mnie z nią nie łączyło, ale doznałem wówczas wstrząsu i odczuwałem zwykły w takich wypadkach żal. To powróciło do mnie w tę rocznicę, wnosząc posępność, wielką posępność.

Szedłem szybko. Zobaczyłem budkę telefoniczną i odruchowo zboczyłem z drogi. Zadzwoiłem do Ludwiga Lorensona, który powiedział, że mogę przyjść. Siedział samotnie w swoim biurze na parterze, kiedy tam wszedłem. Szukałem Roberta, ale nie było go. Ludwig w foteliku obrotowym odchyłony od biurka wskazał mi obok krzesło.

— Domyślam się, dlaczego przyszedłeś — powiedział. — Chcesz jeszcze raz popatrzeć na ten obraz. Zanim mnie o to poprosisz, odpowiem „nie”, muszę odpowiedzieć „nie”.

— Ja nie chcę go widzieć — powiedziałem. — Nawet nie pomyślałem o tym.

— Ojciec Graney o tym pomyślał. Był tu dziś wczesnym rankiem. Obrzął się, kiedy mu odmówiłem, ale miałem rację. — Ludwig bezradnie wzruszył ramionami i rozłożył ręce. — Wolałbym nigdy tego obrazu nie widzieć. I źle zrobiłem pokazując go wam. Błąd, którego już nie powtórzę.

— Ten obraz trzeba było komuś pokazać, Ludwig — powiedziałem. — Tyś wybrał właściwych ludzi. Zdenerwowali się. Nie twoja wina. Ja właśnie z powodu tego obrazu wyjeżdżam do Niemiec.

— Po co?

— Żeby dowiedzieć się możliwie jak najwięcej o tym malarzu. O tym Bonifacym Rohlmannie.

— Żył w siedemnastym wieku. Nieznany. Niczego ślę nie dowiesz.

— Spróbuję. To był wielki malarz, jeden z tych naprawdę wielkich.

— Nie. Był nikim.

Ludwig powiedział to z przekonaniem, które dużo mi o nim mówiło. On zajmuje się malarzami o ustalonej sławie, jakimś jednym dziełem spośród licznych dzieł danego malarza bądź całym ich szeregiem, nie potrafi natomiast patrzeć na dzieło samo w sobie, jedyne, nie połączone z taką czy inną szkołą czy miejscem, do którego by należało, nie poparte wielką reputacją. Oczywiście, to nic dziwnego. Jest znawcą pod wieloma względami, jest wrażliwy na piękno, ale patrzy okiem handlarza sztuki, a nie artysty.

— Czy był nikim, czy nie był nikim — powiedziałem — cieszę się, Ludwig, że poznałem Bonifacego Rohlmanna, chociażby w jednym obrazie. Rohlmann był interesujący, był tajemnicą. Wiem, jak umarł.

Oczy Ludwigowi się zwężyły. Twarz mu zastygła. Najwidoczniej miał jakieś informacje o Rohlmannie, tylko się do tego nie przyznawał. Cekał, żebym podał wiadome mi szczegóły.

— Został spalony w Trewirze — powiedziałem — jako czarnoksiężnik.

Wtedy odetchnął przeciągle.

— W Trewirze? — powtórzył. — Chyba nie w Trewirze. No, ale skoro tak mówisz. Co wiesz jeszcze?

— Urodził się we Friedheim w roku tysiąc sześćset dziewiętnastym.

— I nic więcej?

— Nic.

— I z takimi wiadomościami jedziesz do Niemiec?

— Znam początek i zakończenie. Wyszperam, co było w tak zwanym międzyczasie.

— Niewiele wyszperasz. — Ludwig bawił się długopisem, który wziął z biurka. — Z tym Rohlmannem coś było nie w porządku. Nie czarnoksiężstwo. Ja w to nie wierzę. Nigdzie nie zagrzał miejsca. Włóczył się. Hippis siedemnastowieczny!

— Nie. On pracował, ciężko pracował. Musiał.

— Z jednego obrazu trudno wnosić.

— Owszem, ja mogę to wnosić.

— Ty jesteś młody. Młodzi wiedzą wszystko. Może masz rację. Ten obraz, który wam pokazałem, namalował w Bambergu.

— W Bambergu! Byłem tam. Skąd wiesz?

Ludwig patrzył gdzieś na lewo ode mnie, wcale mnie nie widząc.

— Ja nie wiem — powiedział. — Tak mnie poinformowano. Przysłano mi ten obraz z Würzburga. Za czasów hitlerowskich był zakopany z wieloma innymi rzeczami w piwnicy. Hitlerowcy nie znaleźli go i bomby go nie dosięgły, kiedy Amerykanie i Brytyjczycy bombardowali śródmieście. Dużo lat minęło, zanim spadkobiercy właścicieli dowiedli swoich praw do tej spuścizny. Skomplikowana jest procedura prawna.

— Gdybym pojechał do Würzburga, mógłbym poznać ludzi, którzy przysłali ci ten obraz, porozmawiać z nimi?

— Nie. Ja bym nie wyjawiał ich nazwiska. Oni pojęcia nie mają o malarstwie i o malarzach. Nic by nie potrafili ci powiedzieć. Tylko byś ich zdenerwował. Mają prawo do spokoju.

— To wziąłbym pod uwagę. Ale ktoś przecież chronił ten obraz od uszkodzenia. Ktoś wiedział, co robi. Oni na ten obraz patrzyli, ci ludzie w Würzburgu. Na pewno widzieli na nim to, co my. I na pewno więcej niż my wiedzą o nim.

Ludwig potrząsnął głową.

— Nic nie wiedzą. Nic o sztuce. — Machnął ręką ze znużeniem. — Mój naród szanuje sztukę, obrazy, książki, przedmioty piękne, kunsztowne. Szanuje. Stara się je ochraniać. Ale niekoniecznie rozumie je. Możesz mi wierzyć! Nie dam ci żadnych nazwisk i adresów w Würzburgu. Mam po temu konkretne powody.

— Respektuję twoje powody, Ludwig — powiedziałem — jednak pozwól, że cię jeszcze o coś zapytam. Przedwczoraj mówiłeś o wzburzeniu, jakie ten obraz wywołał, kiedy go wystawiono. Gdzie? Mówiłeś, że ludzie chcieli go spalić. Kiedy?

— Plotka. Pogłoski. Bardzo stara plotka. Bardzo stare pogłoski. Nie powinienem był powtarzać czegoś takiego.

— Ale chciałbym wiedzieć.

— Nie ma tu co wiedzieć. Ludzie wymyślają niestworzone brednie. Ludzie przesadzają.

Ludwig wstał, więc wstałem także. Wiedziałem, że nasza rozmowa skończyła się. Odprowadził mnie do drzwi biura.

— Nic nie odkryjesz w związku z tym malarzem Rohlmannem — powiedział. — Ale po powrocie przyjdź do mnie na obiad. Chętnie posłucham twoich wrażeń z podróży.

Uśmiechnąłem się na to. Nie miałem nic odkryć, ale on wolał się upewnić, że z nikim nie będzie dzielił owego „niczego”.

— Oczywiście, Ludwig — odrzekłem. — Porozmawiamy, kiedy wrócę.

Przypomniało mi się coś, co powinno było przypomnieć mi się wcześniej.

— Nie widziałem tu dziś Roberta. Czy on nie chory?

— Tak — powiedział Ludwig głosem zdławionym. — Bardzo chory. W żadnym razie nie należało pokazywać mu tego obrazu. Był takim szczęśliwym człowiekiem. Neil Carlton zawiódł mnie. Już nie jest moim przyjacielem.

— On jest twoim przyjacielem, Ludwig. Musiał wiedzieć, czy czarny też znajdzie na tym obrazie siebie. Albo przynajmniej uważał, że musi wiedzieć.

Ludwig lekko potrząsnął głową.

— No, życzę ci przyjemnej podróży. Tylko na pewno odezwij się po powrocie.

Pożegnaliśmy się uściskiem dłoni i znowu wyszedłem na ulicę, w ten hałas i odór, w tę nierzeczywistość. Na swój sposób, to także było obrazem namalowa-

nym przez jakiegoś czarnoksiężnika. Znikało, kiedy człowiek od tego odchodził, ale dopóki pozostawał w krainie tych wielkomejskich mocy, oddziaływało tysiącem swoich sposobów.

Wszystko zdawało się wskazywać, że niedobrze jest z moim i tak niezbyt zdrowym rozsądkiem. I że chyba muszę wyjechać, obojętne dokąd.



## ROZDZIAŁ TRZECI

Miasteczko Friedheim leży na uboczu, z dala od linii kolejowej i od autostrady. Można tam dojechać z Monachium tylko autobusem kursującym dwa razy dziennie. Ten dworzec autobusowy mieścił się na nie znanej mi bocznej ulicy. Mieszkałem kiedyś w Monachium, przez dwa miesiące, ale jakoś nigdy o tej ulicy ani o tym dworcu autobusowym nie słyszałem. Bilet sprzedał mi jowialny grubas za niskim kontuarem. Wiszące za jego plecami kolorowe plakaty nawoływały do zwiedzania jakichś miasteczek o dziwacznie obcych nazwach. Na długich ławkach siedziało kilka osób. Nie wiedziałem, czy czekają na autobus właśnie do Friedheim, i wcale mnie to nie obchodziło. Nie byłem w nastroju towarzyskim. Gruby kasjer powiedział, że do Friedheim jedzie autobus numer jedenaście. Na ścianie za tymi długimi ławkami wisiała tablica z rozkładem jazdy wypisanym kredą. Odczytałem, że autobus numer jedenaście odjeżdża za piętnaście minut. Ponieważ był to autobus niemiecki, odjazd nie mógłby nastąpić ani o minutę wcześniej czy później. Z całą pewnością miałem dokładnie kwadrans czasu.

Przed dworcem stały trzy autobusy, ten z numerem jedenaście, pierwszy w szeregu, jak gdyby miał prowadzić, stary autobus, ale nie odrapany. Chociaż świeżość jego młodości minęła, pozostał schludny. Czekał bez kierowcy, bez pasażerów, pusty, z drzwiami otwartymi. Wsiadłem. Swoją jedyną torbę, dosyć dużą, postawiłem na podłodze pod tylną szybą i zająłem na przodzie najlepsze miejsce oddzielone przejściem od miejsca kierowcy, z widokiem przez przednią szybę i przez okno z boku. Gotów do jazdy mogłem spokojnie siedzieć.

Ta dziewczyna przyszła w niecałe pięć minut po mnie. Rosły młodzieniaszek niósł jej bagaż, dwie duże walizki i jedną małą. Ona sama niosła czarną torebkę damską średniej wielkości oraz torbę linii lotniczych Pan-American. Przed drzwiami autobusu zawahała się i zajrzała z powątpiewaniem. To, że ja jestem, nie rozproszyło jej wątpliwości.

— Czy to autobus do Friedheim? — zapytała. Ponieważ zapytała po niemiecku, odpowiedziałem po niemiecku również.

— Tak mi powiedziano.

Bynajmniej nie uspokoiłem jej tym. Doznałem wrażenia, że ona nie widzi mnie, jest tylko świadoma czyjejs obecności w autobusie i koniec.

— Dziwne — powiedziała. — Jeszcze nie ma kierowcy. Przecież ten autobus ma odjechać za sześć minut.

— Za osiem.

Wtedy popatrzyła na mnie rzeczywiście. Była smukła. Wspaniałe włosy spływały spod szarego filcowego kapelusza z miękkim rondkiem i chyba bez szczególnie gorliwych zabiegów fryzjerskich były złociście kasztanowate. Miała ciemne oczy, prosty nosek i pulchne usta, nie zmysłowe, ale ładne. Kości policzkowe dosyć wydatne, podbródek zarysowany stanowczo, a przecież nie wysunięty.

— To jest na pewno ten autobus. Jedzie do Friedheim — potwierdził młody siłacz z jej walizkami.

Odsunęła się od drzwi, żeby go przepuścić. Wniósł walizki do autobusu i umieścił je przy mojej torbie. Nadal jednak stała niezadowolona, że nie ma kierowcy i że autobus nie jest taki, jakiego się spodziewała.

— Ja mam najlepsze miejsce w tym wehikule — powiedziałem. — Jeżeli pani chce, proszę usiąść tu przy mnie. Odstąpię pani okno.

Zaskoczyło ją to, że mówię po angielsku. Odwróciła głowę i spojrzała w moim kierunku, ale znów mnie nie widząc.

— Pan jest Amerykaninem?

— Tak jak pani odgadła.

— Nie wiedziałam. Wszyscy mówią po niemiecku. Powinien był pan powiedzieć mi wcześniej.

— Nie mogłem. Czekałem z tym, aż zaczniemy rozmawiać.

Pstryknęła palcami.

— Oczywiście. Bo myśmy jeszcze nie rozmawiali, prawda? Nie, dziękuję. Usiądę z drugiej strony przejścia.

— Doskonale — powiedziałem. — Cała tamta strona autobusu należy do pani.

Nadal trapił ją brak kierowcy i zajmując miejsce po drugiej stronie raczej przypnęła, niż usiadła wygodnie. Nie było w tym nic niezwykłego. Kobietom chyba najłatwiej pokrywać nerwowość roztargnieniem. Może tak naprawdę nie obchodził ją brak kierowcy, może po prostu, zmieszana, musiała jakoś sobie pofolgować. Wzruszając ramionami, odwróciłem się od niej do okna. Nie przejmowałem się nią ani autobusem. Kierowca przyszedł na trzy minuty przed odjazdem, a ona, zanim poprosił o pokazanie biletów, zapytała, czy to jest autobus do Friedheim.

— Jawohl — odpowiedział.

Z obowiązku czy z uprzejmości wyszwargotał nazwy dziewięciu innych miasteczek na trasie, po czym zabrał jej bilet i mój. Wsiadło jeszcze dwóch mężczyzn nędznie przyodzianych, najwidoczniej stałych pasażerów, którzy przywitali się z nim poufale. Wyruszyliśmy punktualnie.

Najpierw jechaliśmy przez nieciekawą część Monachium. Dziewczyna wierciła się. Widziałem to, chociaż nie patrzyłem na nią.

— Czy pana propozycja jeszcze jest aktualna? — zapytała potulnie.

— Tak, dopóki nie wyjedziemy z granic miasta.

— Przyjmuję.

I przeszła do mnie, więc ustąpiłem jej miejsca przy oknie. Mogła teraz patrzeć przez przednią szybę, zamiast na plecy kierowcy, mogła patrzeć przez okno po swojej prawej ręce i mogła też patrzeć na mnie. Patrzyła na mnie.

— Obawiam się, że byłam niezbyt grzeczna, kiedy zaczął pan ze mną rozmawiać — powiedziała.

— Doprawdy niezbyt.

— Przepraszam. Denerwowałam się. Zwykle jestem uprzejmiejsza.

— Nie wątpię.

Byliśmy dwojgiem obcych sobie ludzi na obczyźnie, nie mających żadnych kluczy do siebie nawzajem — dwojgiem ludzi prowadzących błąhą rozmowę, jaka stanowi zazwyczaj wstęp do luźnej znajomości współpasażerów w autobusie, tylko że nawet po to, by się zakwalifikować na współpasażera, potrzebna jest bodaj niezdarna rozgrzewka.

— Nazywam się Joan Terrill — powiedziała dziewczyna. Zawahała się, po czym uznała, że nie warto mnie wtajemniczać w cel swej podróży do Friedheim, cokolwiek by to mogło być. Ja okazałem zainteresowanie raczej umiarkowane.

— Jestem Kirk Donner — przedstawiłem się. — Reprezentuję chwilowo dwa czasopisma kulturalne i pewne potężne wydawnictwo protestanckie: potężne, rzecz jasna, tak dalece, jak bywają wydawnictwa.

— Och.

Patrzyła przez okno, za którym nic ciekawego nie było. Domyśliłem się wtedy, że ma jakieś zadanie dziennikarskie we Friedheim, że trapi ją perspektywa współzawodnictwa.

— Tam będzie sporo dziennikarzy, korespondentów i fotografów — powiedziałem. — Misteria pasyjne odbywają się raz na dziesięć lat.

— Aha.

Znów spojrzała na mnie i odwróciła wzrok. Ładna dziewczyna, nie piękność z afisza, ale naturalna, o gładkiej cerze, czysta, umalowana nie za bardzo i bez błękitnych cieni na powiekach.

— Zastanawiam się, dlaczego nie ma więcej osób w tym autobusie — powiedziała. — Myślałam, że z powodu misterii autobus będzie zatłoczony.

— Jest wcześnie. Przedstawienia zaczną się dopiero za tydzień. Grają tylko miejscowi. Personel techniczny to chyba również ci, którzy tam mieszkają.

— Pan widział misteria pasyjne? Tutaj czy... — urwała, zerknęła na mnie z ukosa i wyliczyła sobie, że dziesięć lat temu ich nie widziałem. — To znaczy, w Oberammergau?

— Nie. Teraz też nie jestem nimi szczególnie zainteresowany.

Wyprostowała się.

— Czemu?

— Bo nie wierzę, by jakakolwiek zaraza wygasła dlatego, że ludzie przyrzekli wystawiać misteria. Nie wierzę. Ta impreza rozrosła się i już nie mogli jej zaniechać. Misteria pasyjne stały się przemysłem Oberammergau, fabryką, stylem życia, źródłem dochodów. Friedheim jest mniejsze, ale zasada taka sama. Misteria to zwyczaj, nie mogą skończyć z tym zwyczajem.

Joan Terrill szeroko otwartymi oczami wpatrywała się we mnie i przez chwilę było mi jej żal. Dziewczyna jest wierząca, a ja bezlitośnie zbiłem ją z tropu. Nie musiałem tego robić. Ona siedzi na swoim miejscu, a ja siedzę na swoim. Możemy tak swobodnie mieć własne poglądy i przekonania, jak zajmujemy te miejsca w autobusie, nie próbując nawracać się wzajemnie — po prostu dwoje różnych ludzi na dwóch różnych miejscach.

— Uprowadzenie świadczy o niedojrzałości — powiedziała Joan Terrill. — Człowiek uprowadzony nie potrafi nawet odczytać historii. Wszystko widzi na opak. Ja uważam, że pana pojęcie o Friedheim i Oberammergau jest absurdalne.

Odwróciła się i zapatrzyła w okno. Jeśli w ogóle miałem na składzie uśmiech skwaszony, chyba tak właśnie uśmiechałem się teraz. Żałowałem tej swojej szorstkości. Życie powinno mnie już nauczyć, że kobiety nie są bezradne. Najwidoczniej nie nauczyło. Mężczyzna musi dostawać nauzki tego rodzaju raz po raz.

Wyjechaliśmy z miasta w krainę wiosny, między sądy drzew owocowych, obasypanych kwieciami, o rysunku wyraźnym jak na obrazkach i zanikającym w długiej panoramie różowości i bieli. Warkotliwie wjechaliśmy do pierwszego miasteczka na naszym szlaku — miasteczka z dziwacznymi staroświeckimi domami i brukiem z kocich łbów. Postój trwał parę minut i znowu znaleźliśmy się w bezmiarach wiosny.

— Ten kraj jest cudownie piękny — powiedziała dziewczyna. Tym samym wybaczyła mi, że jestem sobą, więc i ja ze swojej strony wybaczyłem jej, że ona jest sobą.

— Pani pierwszy raz w Niemczech? — zapytałem.

— Tak.

— Po niemiecku mówi pani dobrze.

— Uczyłam się niemieckiego. W gimnazjum i w college'u. Zawsze nieźle się uczyłam.

— Łatwo mi uwierzyć.

To jedna z tych osób gorliwych — pomyślałem. — Będzie dobra w każdej dziedzinie, która ją zainteresuje, pociągnie czy przemówi do jej poczucia obowiązku. Ale tacy gorliwcy, ponurzy bojownicy i sumienni ludzie czynu, zwykle wyglądają jak wykuci z kamienia. Ta mała powierzchownością nie przypomina ich wcale. Wygląda na gotową do poderwania, chociaż w rozmowie jest partnerką dosyć ciężkiego kalibru.

— Byłam zaskoczona — rzekła — kiedy się dowiedziałam, że we Friedheim wyrabia się skrzypce, wiolonczele i gitary. Tylko tym się tam zajmują poza misteriami.

— Nie tylko. Myślę, że handlują między sobą. I chyba są tam również blacharze i stolarze, i paru mechaników samochodowych.

— Oczywiście — zniecierpliwiła się. — Jak w każdym innym miasteczku. Ale przede wszystkim to ośrodek. . .

Urwała, bo jechaliśmy przez okolice szczególnie piękne. Przesunęła się właśnie łąka obramowana różowością dzikich jabłonek. Dalej stał kościół z wieżyczką cebulowatą, taką, jakie Amerykanom kojarzą się z Rosją, ale raczej powinny kojarzyć się z Niemcami. Za kościołem lśniła niewiarygodnie niebieska woda jeziora.

— Tyle jest niespodzianek — powiedziała Joan Terrill. Nie miało to związku z naszą rozmową. Patrzyła przez okno nie zwracając uwagi na mnie, więc zrozumiałem, o czym mówi. Rozumiałem również nie dokończone określenie „przede wszystkim to ośrodek. . .”. W Niemczech jest sporo niewielkich ośrodków określonej specjalizacji. Mittenwald to jeszcze jedno miasteczko, gdzie wyrabia się skrzypce, Oberammergau wysyła za granicę wszędzie swoje drewniane rzeźby, w pewnym miasteczku w górach Szwarzwaldu właściwie każdy maluje na szkle, a Strobeck produkuje szachy. Nie jest to żadną tajemnicą dla turystów, mniej albo bardziej zainteresowanych. Wątpiłem, czy interesuje to pannę Terrill.

Ni stąd, ni zowąd zobaczyliśmy góry. Szosa zakręcając opadła w dolinę i spoza niskich wzgórz z prawej strony wyłoniły się ośnieżone wyniosłe szczyty.

Joan Terrill omal się nie zachłysnęła, ale nic nie powiedziała. Ja milczałem także. Wszelkie słowa byłyby nieodpowiednie. To był widok dla bogów: drzewa owocowe w rozkwicie, wzgórz zielone od winnic i za nimi śnieg.

Przejechaliśmy przez jedno miasteczko, nawet nie zwalniając, po czym zatrzymywaliśmy się w trzech następnych. Każde z tych miasteczek, choćby bardzo małe, stanowiło wyraźnie zamkniętą całość. Zawsze kościół, czasem dwa, staroświeckie domy o stromych dachach, fontanna na rynku, kapliczki i figury patrona. Tamci pasażerowie wysiedli, a po drodze nie wsiadał nikt.

Świadomość, że nie licząc kierowcy, jedziemy tylko we dwoje, jakoś zbliżała mnie do dziewczyny siedzącej u mego boku. Ona chyba doznawała podobnego uczucia. Na chwilę odwróciła głowę od okna.

— Mówił pan, jeśli się nie mylę, że pan tu przyjechał na zlecenie jakiegoś pisma protestanckiego. Jakiego pan jest wyznania?

Okazała, że chce skierować rozmowę na tory bardziej osobiste niż krajobraz, toteż wypadało mi odpowiedzieć. Właśnie ktoś, kto myśli kategoriami religii i wyznań, tak sformułowałby pytanie. Odpowiedź w tym samym duchu nie byłaby w moim stylu: ja musiałem zadeklarować się dobitnie.

— Jeżeli ma pani na myśli religię, nie wyznaję żadnej. Pracuję dla pewnego magazynu. Fakt, że to magazyn protestancki, wynika z czystego przypadku.

— Rozumiem.

Odwróciła się znów do okna definitywnie, jak gdyby opadła kurtyna. Wyłączyła mnie. Byłoby mi trochę głupio podejmować rozmowę ze słabej pozycji, na jakiej mnie zostawiła. Krajobraz mijał nas, autobus kołysał się lekko na wyboistej szosie. Dziewczyna patrzyła na drzewa, na pola i góry. Podjeżdżaliśmy już do Friedheim, kiedy odwróciła głowę.

— Powinam była wcześniej panu o tym powiedzieć — rzekła. — Ja też przyjechałam na zlecenie. Pracuję, a raczej dotąd pracowałam, w dziale dokumentacji prasowej „Globusa”. Przysłano mnie tutaj, żebym napisała korespondencję o misteriach pasyjnych.

— Ma pani szczęście. Nie można trafić na lepszego protektora niż „Globus”.

— Też tak myślę. W każdym razie będę pracować tutaj. Nie jestem tylko turystką.

Odwróciła się z powrotem do okna i nie byłam pewny, czy to jej zaznaczenie wyższości nade mną nie było rozmyślne. Możliwe, że tak. Przecież mnie potępiła ze swego przeciwległego bieguna poglądów i przekonań. „Globus” to jeden z najlepszych magazynów na świecie. Znałem kilku pomniejszych redaktorów stamtąd i nieraz odwiedzałem ich w redakcji. Jakoś nie mogłem wpasować Joan Terrill w ten obraz. Młodzi ludzie z „Globusa” są cynicznie nowoczesni i wszelkie wydarzenia, powieści czy dzieła sztuki obchodzą ich tylko o tyle, o ile dają się zdruzgotać ich przemądrzałą krytyką.

Czyż możliwe, żeby taką ciumcię „Globus” wysłał do Europy na reportaż? — myślałem.

Ale odpowiedzi udzieliłem sobie prawie zaraz. To przecież oczywiste, a nawet nieuniknione. Ona świetnie się do tego nadaje. Żaden z tych inteligentnych chłopców nie patrzyłby na misteria pasyjne bez wzdardliwego uśmiechu ani na miasteczko Friedheim bez dopatrywania się w nim elementów komediowych. Ta dziewczyna jest prostoduszna, więc potraktuje jedno i drugie poważnie. Choćby przesadziła, a prawdopodobnie od przesady się nie uchroni, jej korespondencja będzie akurat w duchu idei misteriów. A czytać o misteriach pasyjnych przecież będą tylko ci, których obchodzi to żywo.

Dolina się zwięzła i już straciliśmy z oczu góry. Po obu stronach falowały niskie wzgórza. Szosa dalej biegła w dół, aż za zakrętem w prawo ukazało się miasteczko. Kierowca ominął wylot głównej ulicy i wjechał w wąską boczną uliczkę. Był tam wybrukowany dziedziniec z kamiennym budynekkiem dworca autobusowego, który wyglądał na pozostałość sprzed czasów motoryzacji.

— Friedheim! — zawołał kierowca.

Dwaj podstarzali mężczyźni weszli do autobusu po nasze bagaże. Dziewczyna wskazała swoje rzeczy i powiedziała nazwę hotelu.

— „Die Geiger”. — Powoli kolejno celowała palcem w każdą walizkę, dopóki nie zostały wzięte. — Czy potrzebna taksówka?

— Nie. Zaprowadzę panią. To bardzo blisko.

Odeszłaby za tym człowiekiem bez pożegnania ze mną, ale ja, chociaż niezbyt mnie ona interesowała, nie pozwoliłem się zlekceważyć.

— Podróż mieliśmy miłą — powiedziałem. — Przyjemnie mi się jechało z panią. Do zobaczenia gdzieś tutaj.

— Och! — rozwarła oczy trochę szerzej. — Myślałam naturalnie, że będziemy w tym samym hotelu. A raczej nie tak myślałam. Po prostu zakładałam, że tu jest tylko jeden hotel.

— Są dwa. Ja będę w „Bahnhof”.

— A więc zobaczymy się, jak pan to ujął, gdzieś tutaj. — I dodała z półuśmiechem: — To była przyjemna jazda dla mnie również.

Poszła za swoim bagażowym, który położył jej walizki na taczkach, zanim ruszył powoli przez dziedziniec. Ten drugi z moją torbą poprowadził mnie w przeciwnym kierunku, nie zadając żadnych pytań. Wiedziałem, że jej hotel jest najlepszy w miasteczku, a mój jest tylko jakimś skromnym zajazdem. To nie miało znaczenia. Wciągałem w płuca chłodne, czyste powietrze srebrzystego wiosennego zmierzchu w Bawarii. Przygoda, na której poszukiwanie wyruszyłem z Nowego Jorku, stała się nagle rzeczywistością.

Przeszliśmy trzy przecznice. Domy były tynkowane, białe i zdobiły je jaskrawe malowidła, przeważnie sceny biblijne. „Bahnhof” okazał się wysokim budynkiem do połowy drewnianym i jak wszystkie tu o stromym dachu. Nie miałem pojęcia, że jest tak duży, dopóki nie wszedłem na korytarz. Pokój dostałem na drugim piętrze, nawet niedaleko od łazienki i toalety, mieszczących się w głębi korytarza. Był to skromny pokój z łóżkiem, toaletką, szafką nocną i jednym krzesłem. Na ścianach wisiały dwie nieduże reprodukcje: „Wieczera w Emaus” Caravaggia i „Anioł ze skrzypcami” Mellozza da Forli. Byłem rad, że nie przywalono mnie malarstwem religijnym.

Miasteczko Friedheim czekało tuż za drzwiami, ale mnie się nie spieszyło. Zwiedzać je mogłem nazajutrz i za dwa dni, i jeszcze za dwa. Zbyt wcześnie było, żeby zejść na kolację, więc zdecydowałem się tę wysepkę w czasie poświęcić Neilowi Carltonowi. Szafka nocna, masywna jak głaz granitowy, zastąpiła mi biurko. Napisałem:

*Panie pastorze!*

*Oto zaczyna się ta historia, jeśli w ogóle będzie jakaś historia... Zwiedziłem najpierw Würzburg i Bamberg i byłem w każdym z tych miast dopóty, dopóki się nie przekonałem, że nie znajdę tam Bonifacego Rohlmana ani żadnych jego śladów. Rozmawiałem z urzędnikami miejskimi, z bibliotekarzami i z pracownikami*

muzeów. Od czasu do czasu zdarzało się, że proszono ich o informację o Rohlman-  
nie, ale oni pojęcia nie mają, skąd owi szperacze znali jego nazwisko i dlaczego  
zabrali się do takich badań.

W jednym z kościołów w Würzburgu wisiał kiedyś obraz Rohlmana, ale ten  
kościół prawie całkowicie zburzyły bomby. To była Madonna, a w Würzburgu chy-  
ba nigdy nie brakowało Madonn. Nikt z moich rozmówców nie przypominał sobie  
tego obrazu i w żadnych dostępnych archiwach nie ma wzmianki o tym, że Rohl-  
mann mieszkał w Würzburgu, czy pracował tam. Natomiast w Bambergu, rzecz  
dość dziwna, jest w kartotece muzeum wzmianka o Matce Boskiej z Würzburga  
pędzla B. Rohlmana z dopiskiem: „Okolo 1651 r.” Jeżeli to jest zgodne z praw-  
dą, Rohlmann namalował tę Madonnę na dziesięć lat przed śmiercią. Niestety,  
zginęła wśród zawieruchy ostatniej wojny.

W autobusie Monachium-Friedheim poznałem korespondentkę magazynu  
„Globus”, wyślaną na misteria pasyjne. Sympatyczna dziewczyna, która będzie  
wierzyła we wszystko, co zobaczy, i w połowie tego, co jej powiedzą — więc napisze  
tę korespondencję z całą żarliwością swojej ślepej wiary. Ciekawe, że „Globus”  
zajmuje się takim nie znanym miasteczkiem.

Nawiasem mówiąc, to jest miasteczko skrzypiec i wiolonczel, plus smyczki al-  
tówek i gitar. Przed hotelem na otwartym dziedzińcu jest fontanna z grupą z brą-  
zu — troje dzieci grających na instrumentach smyczkowych. Niezłe to, nie aż takie  
stare, za jakie chce uchodzić, ale niezłe.

Słyszę dzwonek, mam nadzieję, że na kolację. Dalszy ciąg niebawem.

Kirk



## ROZDZIAŁ CZWARTY

Miasteczko Friedheim rankiem było jak operetka bez muzyki. Wesoły blask słońca zalewał niewiarygodnie niebieskie niebo, zielone wzgórza i białe domy o stromych czerwonych dachach. Drzwi domów jaskrawiły się pomalowane na wszystkie możliwe kolory i odcienie. Ludzie, którzy chodzili po uliczkach, harmonizowali z tym barwnym tłem; mężczyźni w tyrolskich ciemnych spodniach i w kurtkach czerwonych bądź zielonych, kobiety w długich szerokich spódnicach niebieskich, brązowych, zielonych, żółtych. Prawie wszyscy mężczyźni mieli długie, schludnie przystryżone brody, nadające im poniekąd wygląd proroków czy apostołów. To miasteczko, oczywiście, nie było Nazaretem ani Jerozolimą, ale malarzowi mogło nasuwać takie skojarzenia. Ostatecznie zawsze malujemy osoby i miejsca, które znamy, jakiegokolwiek byśmy odtwarzali legendy czy mity.

Przeszedłem obok hotelu „Die Geiger”, ale nie zobaczyłem Joan Terrill. Była jedna rzeczywiście stara fontanna z posążkiem z brązu, spatynowanym przez stulecia. Na cokole widniała data: rok 1667. Pełna prostoty postać staruszka trzymającego skrzypce. On nie grał na nich, tylko trzymał je z szacunkiem. Bardzo mi się to podobało.

Przed ratuszem też była fontanna, tym razem z figurą jakiegoś świętego w sutannie. Skierowałem się najpierw właśnie do ratusza, malowniczej niedużej budowli, gdzie mieściły się biura zarządu miasta.

W przestronnym pokoju przy hallu wejściowym siedziała za biurkiem oddzielnym ładą stateczna matrona. Miała ciemne włosy, łagodne niebieskie oczy i miły wyraz twarzy szerokiej i pulchnej. Sprawiała wrażenie raczej jędrnie macierzyńskiej niż otyłej. Wstała i podeszła do lady, patrząc na mnie pytająco.

— Szukani informacji o pewnym malarzu — zagałem. — Urodził się tutaj. Nazywał się Bonifacy Rohlmann.

Dostrzegłem jakiś błysk w jej oczach, kiedy wymieniłem nazwisko Rohlmann, ale potrząsnęła głową.

— Ja załatwiam tylko zwykłe sprawy — powiedziała. — Będzie pan musiał porozmawiać z moim mężem.

— Gdzie jest mąż pani?

— Na próbie. Teraz zajęty, gra w misteriach.

— Kiedy mógłbym się z nim zobaczyć?  
Spojrzała na mnie badawczo i coś we mnie najwidoczniej ją uspokoiło.  
— On zawsze około piątej, przed powrotem do domu na kolację, wstępuje do gospody „Eisenhut”. Jeżeli pan wypije z nim piwo, może będzie rozmowniejszy.  
Uśmiechnęła się serdecznie i polubiłem ją.  
— Chętnie z nim wypiję — powiedziałem. — Ale jeszcze nie wiem, jak się nazywa.  
— Zwyczajnie. Josef Paskert.  
— Pan Josef Paskert. Będę pamiętał. Jaka rolę gra w misteriach?  
Uśmiech zniknął z jej twarzy. Jak miałem się przekonać, wszystko, co dotyczyło misteriów pasyjnych, traktowano we Friedheim bardzo poważnie, wszelka płochość była niedozwolona.  
— Jest Judaszem Iskariotą — w głosie jej zabrzmiała jakaś obronna nuta zupełnie dla mnie zrozumiała. Człowieka łatwo można kojarzyć z rolą teatralną, jaką odgrywa, i jego żona oczywiście odczuwałaby skutki owych skojarzeń. — To wspinała rola, druga najważniejsza po Panu Jezusie.  
— Na pewno, i trudna do zagrania.  
— Tak. — Patrzyła na mnie już mile wdzięczna za tę odrobinę sympatii. — Josef, mój mąż, to doskonały aktor. Wprost nie do uwierzenia. Może dlatego, że ma życie niezbyt ciekawe. Nie rzeźbi w drewnie, nie wyrabia świetnych instrumentów. Tylko to! — Wyciągnęła obie ręce, jak gdyby chciała ogarnąć nimi całe biuro. — Bóg zesłał mu wielki dar, może dlatego, że jemu właśnie czegoś takiego potrzeba.  
Była osobą głęboko religijną i to miało swoją wymowę. Nie zdawała sobie sprawy, jak jest wzruszająca. Z samozaparciem myślała wyłącznie o mężu. Chciała, żeby ludzie widzieli w nim to, co ona widzi, rozumieli w nim to, co ona rozumie. Zaprañałem ją namalować taką, jaką ujrzałem w tej zatrzymanej chwili.  
— Interesująca koncepcja — powiedziałem. — Będzie mi bardzo przyjemnie poznać męża pani.  
Wyszedłem znów na ulicę: między brodatych mężczyzn i dziwacznie ubrane kobiety. Żadne miasteczko w Ziemi Świętej nigdy nie wyglądało tak jak to tutaj; ludzie z biblijnych opowieści nie chodzili przyodziani w ten sposób i twarze nie mieli podobnych, ale wrażenie, ogólne wrażenie, było dziwnie biblijne. Jak gdyby idąc uliczkami Friedheim, człowiek cofał się o stulecia.  
Judaszowi mogłem postawić piwo dopiero o piątej, a z nikim innym jakoś nie miałem ochoty rozmawiać. Zwiedzanie nie pociągało mnie na razie, szperanie także nie. Wziąłem więc moje składane sztalugi, wszedłem na dosyć strome wzgórze i usiadłem tam ponad panoramą Friedheim, gotów szkicować, jeżeli wpadnę we właściwy nastrój, albo też gotów zadowolić się samym patrzeniem, jeżeli nastroju twórczego nie będzie.

Z początku widziałem tylko układ stromych dachów, przeważnie czerwonych, gdzieniegdzie szarych lub żółtych. Kościół z cebulową wieżyczką stał na zboczu, niejako dominował. Za kościołem i dachami lśniła zakręcająca rzeka. Uliczki też kręte tworzyły dziwaczne figury geometryczne.

Nie należy jednak, zachwycając się rysunkiem tych uliczek, przypisywać budowniczym miasta Friedheim artyzmu czy dobrego gustu. To musiała być pozostałość średniowiecza. W epoce pik, mieczów i konnicy proste ulice groziły obrońcom takiego miasteczka zagładą, kręte natomiast sprawiały kłopot atakującym, jeżeli obrońcy czekali za rogiem. Tyle o przyczynach. Wynik tego jest sztuką, czystym dziełem sztuki.

Friedheim w tamtych dawnych czasach, chociaż mniejsze, wyglądało chyba nie inaczej, kiedy szwedzki generał Oxenstar najechał na nie. Niemcy szczególnie w małych miasteczkach na ogół bardzo szybko odbudowują to, co zostało zburzone, przy okazji powiększają tereny miejskie. Dzięki temu charakter starych miasteczek zachowuje się, pomimo że lata mijają.

Leniwie patrzyłem na Friedheim, rad z samego tego widoku. Toteż nie zaraz odkryłem, że ono ma kształt gwiazdy, gwiazdy pięcioramiennej. Ale kiedy już to zobaczyłem, widziałem Friedheim tylko tak właśnie. Gwiazda bez wątplenia. Trudno byłoby uwierzyć, że taki kształt nadano temu miasteczku rozmyślnie. Patrząc z poziomu ulic, oczywiście zatraciłoby się poczucie owej gwiazdistości. To było widać tylko z miejsca, w którym siedziałem, czy innego miejsca na tej wysokości, a prowincjonalnych miasteczek przecież nie planują i nie budują marzyciele przebywający na wyżynach. Budują je robotnicy zmuszeni wymogami chwili, planują je ludzie praktyczni z myślą o przyszłości, a nie o pięknie form przestrzennych. Nie mogłem sobie wyobrazić żadnego rozsądnego powodu, dla którego Friedheim powinno mieć kształt gwiazdy, nie mogłem więc też przyjąć, że ktoś kiedykolwiek tak je zaprojektował: to po prostu stało się przypadkiem.

Ustawiłem sztalugi i przygotowałem się do naszkicowania uliczek i dachów, kościoła i rzeki. Już ogarniałem to wszystko nie patrząc, kiedy nagle usłyszałem jakieś podzwanianie. Przedtem na zboczu wzgórza dźwięczały ciche dzwonki i wcale mi nie przeszkadzały. Ale ten pojedynczy dzwonek przeszkodził mi, raczej rozkazujący niż delikatny. Nieoczekiwanie spojrzałem w oczy najbrzydszej krowie, jaką zdarzyło mi się widzieć.

Wszystkie inne krowy na wzgórzu pały się spokojnie, nie zwracając uwagi ani na swoje towarzyszki, ani na świat wokoło. Ta wtargnęła w mój świat, i to z wyrazem pyska dosyć zdumionym. Przypisałbym jej nawet ową frustrację, do której rości sobie prawo tyle młodzieży w obecnych czasach, ową uciechę rzucańca sobie retorycznych pytań: Kto-ja-jestem, gdzie-ja-jestem i dlaczego-ja-jestem. Podeszła do mnie najwyraźniej bez celu, chyba że chciała popatrzeć na mnie, czy też zmusić mnie, żebym ja popatrzył na nią. Była brudnobrazowa, pysk miała biały, poznaczony nierównymi czarnymi plamkami i oczy w grubych czarnych

obwódkach. Dzwonek zwisał z powroza na jej szyi, zdobny w odbite rozetki i nie wiadomo czemu krzyż. Zagapiliśmy się na siebie, ja i to stworzenie. Skapitulowałem.

— Dobrze — powiedziałem krowie — narysuję cię.

Ani drgnęła. Pozowała mi w bezruchu, przy czym pomimo swej szpetoty zdołała zdobyć się na miły wyraz pyska. Kabotyńka. W pewnym okresie życia poznałem świetnie, co to jest kabotyństwo. Moja żona była aktorką, musiałem znać się na tym.

Rysowanie krowy było zabawą, zadaniem bez celu, pracą ot, tak sobie. Dokładałem jednak starań i przewrotnie ukochałem to swoje dzieło. Nie żałowałem, że nie zacząłem szkicować miasteczka w kształcie gwiazdy. Kiedy wstałem, żeby włożyć ten rysunek do teki, krowa spokojnie cofnęła się o kilka kroków. Stała i patrzyła na mnie. Zanim ruszyłem z powrotem do hotelu, pomachałem jej ręką.

— Dziękuję, Krasulo — powiedziałem. — Przyjemnie mi się rysowało.

Miasteczko ze swoją mnogością kwiecia drzew owocowych, z pelargoniami w doniczkach na parapetach, strojami z innej epoki i apostołskimi brodami mężczyzn było znów rzeczywistym miasteczkiem, a nie abstrakcyjną gwiazdą oglądaną z wysokości wzgórza. Od strony kościoła szła kołysząc się w biodrach Joan Terrill. Żywiołowa aż zapierało dech i zgrabna w szaroniebieskiej garsonce. Zobaczyła mnie i pozdrowiła gestem.

— Jakie pan dziś zdobył materiały? — zapytała wesoło.

— Niedużo. Krowę, która skusiła mnie, żebym ją narysował.

Zmarszczyła lekko brwi.

— Nie miałam prawa o to pytać — rzekła. — Ale ja ze swojej strony mogę panu powiedzieć, co obejrzałam. — Zaczęła wyliczać na palcach lewej ręki: — Cudowny stary kościół. Wprost nierealny. I oczywiście cmentarz. I urzekające muzeum. I byłam w biurze misteriów i zarejestrowałam się jako korespondent. I mam załatwiony wywiad z tym, który gra Jezusa, ale dopiero po premierze. On przed premierą nie chce się widzieć z nikim. — Odetchnęła głęboko. — I co najlepsze, przygadałam kogoś, kto mi powie wszystko, co zechcę. Najprzystojniejszy mężczyzna, jakiego w życiu swoim widziałam. Gra w misteriach rolę Jana.

A więc nie straciła dnia. Poczułem się przy niej gnuśny i niezorganizowany.

— Pani nie wierzy, że rysowałem krowę? — zapytałem.

— Pewnie, że nie. Ale to w porządku. Nie miałam prawa zapytać, co pan robił. Wyciągnąłem szkic z teki i pokazałem. Oczy jej się rozszerzyły.

— Świetne. Fantastyczne. Aż zatyka. Tylko dlaczego właśnie krowa?

— Sam zadawałem sobie to pytanie. I nie znalazłem odpowiedzi.

Potrząsnęła głową, wyraźnie nie wierząc mi, ale chcąc się dostosować.

— Jan naprawdę nazywa się Johann Weit. Mam z nim randkę w hotelu za kilka minut.

Korciło mnie, żeby jej powiedzieć, z kim ja mam się spotkać, napomknąć od niechcienia, że będę stawiać piwo Judaszowi Iskariocie, ale to byłoby jak wzajemne licytowanie się. Pożegnałem ją i odszedłem pod górę w przeciwnym kierunku. Minałem kościół i nawet przez myśl mi nie przemknęło, żeby tam wstąpić. Za kościołem droga biegła znowu w dół, uliczki się krzyżowały. Gospoda „Eisenhut” była na uboczu, niski kamienny budynek za murkiem z kamieni. Nad drzwiami wisiał szyld — żelazny kielich w żelaznym wieńcu z napisem „Eisenhut”. W wieńcu wpleciono kiście świeżych winogron na dowód, że można tu dostać młode wino. Sala tej gospody była długa, chłodna i mroczna, z wieloma stołami i stolikami. Kiedy się rozglądałem, podszedł do mnie niski grubas — chyba właściciel.

— Mam nadzieję, że przyjdzie tu pan Paskert — powiedziałem.

Przytaknął.

— Podać panu coś do picia?

— Poczekam na niego.

— Bardzo proszę.

Odszedł z powrotem do trzech mężczyzn, z którymi przedtem gawędził. Usiadłem przy małym stoliku pośrodku sali. Niedługo potem weszło kilku mężczyzn, wszyscy, z wyjątkiem jednego, brodaci. Na pierwszy rzut oka jakoś poznawałem, że żaden z nich nie jest Josefem Paskertem i, o dziwo; kiedy mój Judasz w końcu przyszedł, od razu wiedziałem, że to on.

Bo ten człowiek po prostu musiał być Judaszem. Sprawiał wrażenie wysokiego, ale rzeczywiście nie był wyższy ode mnie: pięć stóp dziesięć cali wzrostu, tęgi, barczysty, trzymał się prosto jak żołnierz. Z długą brodą, ładnie przystryżoną, znacznie jaśniejszą niż jego włosy, mógł mieć czterdzieści parę, mógł mieć niecałe czterdzieści. Był w brunatnej koszuli, zielonych spodniach i butach bardzo już zniszczonych. Gospodarz powiedział mu coś i wtedy on spojrział w stronę mojego stolika. Ledwie wstałem, podszedł.

— Bruno, mój przyjaciel, mówi, że pan pytał o mnie.

— Pan Paskert? Pan Josef Paskert?

Potrząsnął głową.

— Judasz. W sezonie misteriów nikt mnie nie nazywa inaczej. Czym mogę panu służyć?

— Chciałbym pana poczęstować piwem i zadać kilka pytań.

— Piwo jest do przyjęcia. Dzięki panu nie będę musiał sam płacić. Ale pytania. . . Może nie odpowiem na nie.

— Pana sprawa.

Usiadł przy stoliku i to był sygnał odebrany natychmiast. Jak po machnięciu różdżki czarodziejkiej jakiś chłopak przyniósł na tacy dwa wysokie kufle piwa. Judasz westchnął.

— Aaach — i pociągnął głęboki łyk. — Niech pan pyta — powiedział.

— Co panu wiadomo o Bonifacym Rohlmannie?

Przyjrzał mi się ze skupieniem i odwrócił wzrok.

— Niewiele. Dlaczego pana to interesuje?

— W Nowym Jorku widziałem jeden z jego obrazów. Nie znalazłem o tym obrazie nigdzie żadnej wzmianki. Wiem, że Rohlmann urodził się tutaj.

— Ja w ogóle nie widziałem jego obrazów. Jaki był ten w Nowym Jorku?

— Doskonały. Przedstawiał Chrystusa na dziedzińcu pod balkonem Piłata. Chrystus został już skazany i żołnierze prowadzili Go, chyba na ukrzyżowanie czy też tam, skąd miał nieść swój krzyż. Motłoch ich zatrzymywał i wrzeszczał na Niego.

Judasz przytaknął.

— Znam tę scenę. Powiada pan, że to jest dobry obraz?

— Bardzo dobry. Uważam, że ten malarz mógłby śmiało stanąć w rzędzie najlepszych malarzy włoskich. Kim on był?

— Nie wiem. Ludzie przyjeżdżają tutaj i wypytyują. Jestem urzędnikiem w ratuszu, kiedy nie gram. Nie mam żadnych informacji.

— Skąd ci ludzie wiedzą o nim?

— Nie wiem. Mnie nie mówią, skąd.

Judasz popatrzył na dno swego pustego kufła, dałem więc znak chłopcu, żeby podał dwa następne.

— Dziękuję — powiedział. — Jakoś szybciej łykam piwo niż pan. Czy pan słyszał, jak umarł ten Rohlmann?

— Mówiono mi, że został spalony na stosie jako czarnoksiężnik w roku tysiąc sześćset sześćdziesiątym pierwszym. Czy tak było?

— Ja też o tym słyszałem. Nie wiem. Złe czasy przyszły na czarnoksiężników i na czarownice wtedy w siedemnastym wieku i w szesnastym, a jakże. Możliwe, że oni należą do jakichś tajnych stowarzyszeń, ci, którzy teraz pytają o niego. I możliwe, że te ich tajne stowarzyszenia prowadzą zapiski o czarnoksiężnikach i różnych takich sprawach.

— Wierzy pan w istnienie tajnych stowarzyszeń? — zapytałem.

— Jestem pewny, że istnieją. Co do tego nie mam wątpliwości.

— A czarownice? A czarnoksiężnicy?

Judasz pociągnął wielki łyk piwa.

— Z pańskiego tonu — powiedział — od razu można poznać, że pan nie uznaje takich rzeczy. Pan jest od nich daleko, więc dla pana nie istnieją. Ale pan się myli. Są jeszcze jakieś pytania?

— Tak. O Rohlmannów. Czy ktoś z Rohlmannów mieszka teraz we Friedheim i co o tej rodzinie mówią kroniki miasta?

— Żadnego Rohlmana już nie ma tutaj. Ani też nigdzie w tej okolicy. Pytano mnie o to nieraz. Nie ma żadnego Rohlmana. Ale w książce telefonicznej w Monachium jest ich trzech. I wiem, że czterech Rohlmannów płaciło podatki we Friedheim do roku tysiąc siedemset dwudziestego ósmego. Potem już żaden.

Ostatnia osoba z tym nazwiskiem w naszych księgach to była kobieta, Elżbieta Rohlmann. Pochowana w roku tysiąc siedemset czterdziestym drugim. Miała sześćdziesiąt siedem lat, samotna. Rohlmannowie byli zupełnie zwyczajną rodziną. Żadnych wzmianek o malarzach.

Popatrzył na mnie zachęcająco, tak samo jak ja wiedząc, jakie będzie następne pytanie. Nie spieszyło mi się, więc odczekałem chwilę.

— Gdzie oni mieszkali? W której części miasteczka?

To pytanie wyraźnie sprawiło mu przyjemność.

— W starej — odpowiedział. — Oficerowie Oxenstara zajęli tam wiele domów na swoje kwatery. W roku tysiąc sześćset trzydziestym drugim. Resztę domów Szwedzi splądrowali, zniszczyli, spalili. Oxenstar sam był tutaj tylko przez tydzień. Ulica, na której mieszkał, nazywa się Schwedische Strasse. Najlepsze domy. I mamy po dziś dzień Friedlichstrasse i Gebetstrasse, też stare uliczki. I Han-swurstkreis.

— A ta ostatnia z Rohlmannów, Elżbieta? Gdzie ona mieszkała?

Judasz wstał.

— Ona jest na cmentarzu. — Uśmiechnął się. — To jedyny jej adres, jaki znam.

— Zaraza była w roku tysiąc sześćset trzydziestym drugim?

— Tak. Najpierw Szwedzi, potem zaraza, potem to ślubowanie. Rok pełen wydarzeń — uśmiechnął się znowu, krzepki, wesoły człowiek, którego jakoś nie mogłem uznać za Judasza. — Muszę już iść do domu — powiedział. — Niech pan wymyśli więcej tych pytań, to znów się spotkamy.

— Wymyślę — zapewniłem.

Było już sporo piwoszów w sali. Wszyscy pozdrawiali Judasza, kiedy szedł do drzwi. Bezsprzecznie on mnie zainteresował. Rozmowa z nim była przynajmniej częściowo rekompensatą za czas, który zmarnowałem na rysowanie krowy. Cudowne dziecko z magazynu „Globus” wyprzedziło mnie znacznie w pracy dziennikarskiej już przy końcu pierwszego dnia. Postanowiłem zabrać się do roboty.

— Dziś wieczorem — zdecydowałem nagle — zjem kolację w jej hotelu, a nie w swoim. Ciekawe, co konkurencja ma do zaproponowania.

## ROZDZIAŁ PIĄTY

„Geiger” był hotelem nowocześniejszym niż „Bahnhof”, a przecież niezaprzeczalnie małomiasteczkowym: wszystko lśniło, ale użyteczność dominowała nad estetyką nawet w tym hotelu mającym pretensję do elegancji. Sala restauracyjna była duża, na pozór nieproporcjonalnie duża, ale należało wziąć pod uwagę fakt, że wiele osób przyjeżdża na misteria do Friedheim tylko na jeden dzień, a więc potrzebuje posiłków bez noclegu. Brzydka ośmiokątna sala, o ścianach zdobnych we freski z misteriów i z rzędami stolików ustawianych aż nazbyt równo oraz łozami pod ścianą zachodnią — małymi jaskiniami w pseudokamiennych łukach, gdzie stały małe stoliki teoretycznie dla czterech osób, ale właściwie dla dwóch.

Joan Terrill siedziała w środkowej łoży z jakimś młodym blondynem. To właśnie jego określiła słowami „najprzystojniejszy mężczyzna, jakiego w życiu swoim widziałam” i może miała rację. Ten nie był brodaty: profil miał ostry, czyste linie rysów i cerę jak z brązu. Włosy bujne, kędzierzawe i długie. Długie włosy chłopców w Stanach Zjednoczonych już mi się opatrzyły, ale we Friedheim przecież oznaczały wysiłek, żeby cofnąć się w pierwsze stulecie naszej ery. Wiedziałem, że to jest Jan z misteriów pasyjnych, „ukochany uczeń” Chrystusa.

Ci dwoje w łoży nie widzieli mnie i doprawdy nie wypadało mi gapić się na nich, toteż kiedy już odnotowałem pierwsze, że tak powiem, fotograficzne wrażenie, w ogóle przestałem o nich myśleć. Musiałem zająć się cielęciną gotowaną po niemiecku, jarzynami nie z puszki i nie mrożonymi, i miejscowym białym winem. Nie myślałem o Joan Terrill i jej towarzyszu, dopóki oni wychodząc nie zatrzymali się przy moim stoliku.

— Panie Donner — powiedziała Joan Terrill. — To jest pan Johann Veit, który w misteriach gra apostoła Jana.

Była w sukience o barwie miedzi, co podkreślało kasztanowatość jej włosów, i najwidoczniej czas kolacji upłynął jej przyjemnie. Ja nie wywołałem w niej takiego ożywienia, kiedyśmy jechali autobusem. Apostoł — tylko trochę wyższy od niej, smukły młody człowiek w brązowej marynarce, żółtej koszuli i ciemnych spodniach — spojrzął mi w oczy. Zbaraniałem. Poczujęm się tak, jakby patrzyła na mnie jakaś dziewczyna.



Miał oczy jasnoniebieskie. Spojrzenie łagodne, ale coś przecież się kryło za tymi chłopięcymi oczami. Głosem miłym, tenorem bez falsetowego brzmienia zagaił:

— Mówiliśmy przy kolacji o panu.

— Powiedziałaś mu, że pan zrobił portret krowy.

Joan Terrill uśmiechnęła się do mnie, apostoł parsknął cichym śmiechem.

— To dobra modelka — odparowałem. — Nie mówi za dużo.

Zostawili mnie i skończyłem jeść. Kiedy wyszedłem stamtąd, zapadał błądy wieczór, tu i ówdzie paliły się światła w oknach, jeszcze przy snute welonami mgiełki. Powietrze przesyciła złożona woń wiosennego rozkwitu. Odgłosy mieszały się także: dźwięki instrumentów smyczkowych dolatujące z domów i ogrodów. Niewiele osób chodziło po ulicach i nie przejeżdżał żaden samochód. Tylko o dwie przecznice dalej była Breiterstrasse (w luźnym tłumaczeniu friedheimowski Broadway), gdzie widziałem więcej światła i nieco większy ruch, ale tego też nie dałoby się nazwać nocnym życiem. Coś mnie gnało, niestety we Friedheim nie mogłbym znaleźć nic, nic dla siebie, żeby uśmierzyć to wzburzenie. Wróciłem do hotelu.

Jan nadal mnie niepokoił, więc odepchnąłem myśl o nim. Nie moja sprawa — powiedziałem sobie — i, do licha, jutro czeka mnie pracowity dzień. Nie muszę dotrzymywać kroku skrzętnej korespondentce słynnego „Globusa”, muszę jednak popracować dla Neila Carltona i jego protestanckiego magazynu. Jeżeli odkryje coś o Bonifacym Rohlmannie, to będzie wielka wygrana. Położyłem się spać pełen niezłomnych postanowień, które mnie ukołysały. Zasnąłem prawie natychmiast.

Rano było już inaczej. Nie chciało mi się nic robić. Batem silnej woli zagoniłem sam siebie do biura misteriów, trzyizbowego lokalu w dużym budynku o płaskim dachu. Dziewczyna za biurkiem przekazała mnie facetowi za innym biurkiem. Nazywał się on Rudolf Lobinger. Miał długą brodę, ale nie wyglądał na apostoła: zbyt schludna była ta broda, zbyt dobrze przystrzyżona.

— Och, tak — powiedział, kiedy przedłożyłem legitymację prasową. — Redaktor pastor Carlton napisał do nas, że pan przyjedzie. Jest tu jeszcze ktoś z prasy amerykańskiej. Niejaka panna Terrill. Czy pan wiedział o tym?

Oznajmiłem, że wiem, i wyraźnie uznał to za zupełnie inteligentne z mojej strony. Wyrecytował cierpliwie, że przez szacunek dla korespondentów zagranicznych i wspólnoty ich zainteresowań zarezerwował dla mnie na premierę prasową misteriów miejsce obok panny Terrill. Załatwił nam też wspólny wywiad z aktorem, który gra rolę Chrystusa.

— On ogranicza wywiady — powiedział — i nie udzieli żadnego przed premierą. — Patrząc na mnie, promieniał, dosłownie kłaniając się, jakby dziękował za oklaski. — Mam nadzieję, że moje starania zadowolają pana.

— Jestem zachwycony — powiedziałem mu. — Czy panna Terrill wie, że pan nas tak połączył?

— Ależ nie. To będzie dla niej niespodzianka. Nie rozmawiałem z nią po załatwieniu biletu dla pana. Swój bilet już dostała.

— Ucieszy się niepomieranie — zapewniłem go.

Myśl o tym, że ona wcale się nie ucieszy, rozjaśniła mi ten dzień. Nagle przypomniałem sobie o swoim zadaniu i zapragnąłem je wykonać. Poszedłem do muzeum. To był dobry start. W każdym mieście czy miasteczku stanowi ono wprowadzenie. Większość tego, co znajduje się w nim, mówi o sprawach dawnych i dalekich, bezużytecznych z każdego praktycznego punktu widzenia, ale znajomość miasteczka z praktycznego punktu widzenia jest znajomością słabą. Ja lubiłem muzea.

Muzeum we Friedheim było niskim budynkiem z czerwonej cegły, oddalonym tylko o dwie przecznice na wschód od kościoła. Nie zastałem tam nikogo oprócz niemłodej woźnej. Ta kobieta powiedziała, żebym zawołał ją, jeżeli będę czegoś potrzebował, i zostawiła mnie samego. Naprawdę godna podziwu! Spacerowałem wśród przedziwnej dżungli instrumentów smyczkowych, z których niejeden mógł wydawać się bardzo cudaczny człowiekowi naszego stulecia. W mieście Friedheim wyrabia się instrumenty muzyczne od roku 1677, czy też tak głosił plakat. Były skrzypce, altówki, wiolonczele, gitary i parę jakichś brzękadeł nie znanych mi nawet z nazw. W drugiej sali tego muzeum wystawiono pantofle, buty z cholewami i sandały. Mieszkańcy Friedheim wyrabiali obuwie dawniej, niż zaczęli wyrabiać skrzypce, i to, jak widziałem, obuwie swego czasu dosyć luksusowe. W trzeciej sali stał wśród starych lamp i latarni, mieczów, pik i mundurów eksponat rzeczywiście znakomity.

To był wóz, którym przewożono zwłoki ofiar Czarnej Śmierci w roku 1632.

Wyglądał jak wielka otwarta skrzynia na czterech grubych kołach i z dwoma dyszlami, najwidoczniej jednokonny. Mieściło się w nim może osiem do dziesięciu ciał, spiętrzonych wysoko, czy też może, co bardziej prawdopodobne, tylko sześć. Powierzchnia wozu była szorstka i miejscami chyba zbutwiała, ale kiedy już zdecydowano, że należy ten wóz poddać konserwacji, zaczęli dbać o niego ludzie, którzy znali i rozumieli drewno. Istniał nadal, przeżywając pokolenia owych konserwatorów.

Zatrzymałem się w ciszy tej półmroczej ostatniej sali miasteczkowego muzeum. Patrzyłem na wóz zarazy i Czarna Śmierć stała się dla mnie czymś bardzo rzeczywistym. Przypomniałem sobie opisy, które czytałem. Pochodziły z Anglii, przeważnie z Londynu, ale mogłyby równie dobrze pochodzić z kontynentu, zewsząd, gdzie ta śmierć zbierała obfite żniwo. Nieomal słyszałem skrzypienie kół i widziałem mętnie oświetlone uliczki. Przy wozach zarazy szli grabarze wołając:

— Wynoście waszych zmarłych!

Ci, którzy ocaleli, jeżeli byli tacy, mieli prawo wyboru: albo zatrzymać te grożące zakażeniem już czerniejące zwłoki swoich bliskich, albo wywlec je na ulicę do wyładowanych wozów.

W małym miasteczku nie mogło to odbywać się inaczej niż w dużych miastach: mniej ofiar, oczywiście, ale równie wysoki ich procent. Tyle że może nie uważano za konieczne wołać: „Wynoście waszych zmarłych!”

Potrząsnąłem głową i wyszedłem. Ten szkaradny wóz nadał realności dawnym dziejom. Normalnie chlubiłem się opanowaniem i obojętnością, niedopuszczaniem do siebie wzruszeń, nieprzejmowaniem się w wyniku przeżyć tak własnych jak cudzych.

Woźna przy biurku w sali frontowej spojrzała pytająco, kiedy wkroczyłem w jej domenę.

— Oglądałem ten wóz z czasów zarazy — powiedziałem. — Wożono nim zmarłych przez ulice waszego miasteczka. Czy mogłaby mnie pani poinformować, którą i dokąd zabierano zwłoki?

— Mnie przy tym nie było. — Wzruszyła lekko ramionami. — Myślę, że ten wóz jeździł wszędzie. A potem przez Gebetstrasse do dołów.

— Wolno wiedzieć, gdzie były te doły?

— Tak. Były na końcu Gebetstrasse, tej ulicy na wschód od kościoła.

— Dziękuję.

Nie dziwiło mnie, że punktem centralnym, wyjściowym i końcowym w tym miasteczku jest kościół. To rzecz nieunikniona. Ruszyłem z muzeum pod górę na łagodne zbocze i jeszcze raz kościół wyłonił się przede mną. Dom Boży, jak wiele innych, z wieżyczką w kształcie cebuli. Poszedłem dalej na wschód i trafiłem na Gebetstrasse. Była to uliczka „stara”, jak powiedział Judasz, cicha, między dwoma rzędami staroświeckich domów o wystających szczytach i gdzieniedzie z oknami narożnymi. Wkrótce zostawiłem te domy za sobą, ale jezdni brukowana kocimi łbami ciągnęła się jeszcze na pewnej nie zabudowanej przestrzeni. Doszedłem tak do równiny bez drzew, bez krzaków, bez żadnej roślinności. Tu musiały być owe doły zarazy.

Ponury plac mierzył jakieś sześćdziesiąt czy siedemdziesiąt jardów długości i trzydzieści jardów szerokości. Pokryto go żwirem, prawdopodobnie natychmiast po ustąpieniu zarazy, i odtąd już utrzymywano w porządku tę schludną nawierzchnię. Nie wiedziałem, jak gruba jest warstwa żwiru, ale czułem ją twardą pod stopami, i przechodząc tamtędy doznawałem niesamowitego wrażenia.

Dawno, przed wiekami, mężczyźni z Friedheim wykopali tutaj rów. Z pewnością wykopali go dopiero wtedy, gdy zaraza ogarnęła ich miasteczko i gdy stało się to konieczne. Wielu z kopiących pewnie zmarło wskutek zarazy przed ukończeniem tej pracy i zwłoki ich wrzucone zostały do wykopywanego przez nich samych rowu.

Stojąc na zwirze, wyobrażałem to sobie. Zmarłych zabierano z miasteczka w nocy. Płonęły i dymiły pochodnie, i możliwe, że nad rowem albo w samym rowie paliło się ognisko. Ludzie w siedemnastym wieku wierzyli, że Czarna Śmierć unika ognia, że nie zbliży się, jeżeli ogień będzie należycie podsycany. Więc musiało być ognisko, żeby zatrzymać zarazę na tym cmentarzu jej ofiar, nie dać jej wrócić do Friedheim.

Wprost widziałem te sceny. Za zwirem był bardzo stary, niski murek, stanowiący ogrodzenie z tamtej strony. Czas i opady w ciągu setek lat zniszczyły kamień. W połowie murku stał skruszały posązek, sądząc z zarysów jakaś Pięta, chociaż żaden szczegół, który by świadczył, że to była Matka ze zmarłym Synem w objęciach, nie przetrwał.

Wracając przeszedłem z Gebetstrasse na uliczkę równoległą do niej i znalazłam się wśród warsztatów z sztyldami w kształcie buta i otwartymi drzwiami. Ta krótka uliczka miała imponująco długą nazwę: Flickschusterstrasse. Kończyła się okrągłym placikiem, na którym panował nad małą fontanną czcigodny święty z brązu, chudy, zafrasowany i brodaty, akurat tak jak większość mężczyzn w tym miasteczku. W lewej ręce trzymał coś, co wyglądało na szydło. Prawą podnosił błogosławiące. Na cokole był napis, zaciemniony przez stulecia, a przecież czytelny: „Święty Kryspin”.

Imię interesujące, ale ja nigdy o kimś takim nie słyszałem. Odchodziłem już, kiedy sobie skojarzyłem jego szydło z tą uliczką szewców. Oczywiście. To bez wątpienia ich patron. W muzeum dowiedziałem się o obuwniczej przeszłości Friedheim i teraz zobaczyłem na własne oczy, że to dawne rzemiosło przetrwało, jakkolwiek w cieniu instrumentów smyczkowych.

Na południe od placyku z figurą świętego biegła jakaś krótka uliczka. Nie mogłem znaleźć jej nazwy, ale była bardzo stara, wybrukowana chyba setki lat temu. Domy były jednopiętrowe. Przyglądałem się godłom z brązu nad drzwiami frontowymi i na ścianach pomiędzy oknami. Głowy ludzkie, łby lwów, gargulce. Kiedyś te ozdoby miały znaczenie, oczywiście każda coś symbolizowała. Teraz jednak niełatwo dałoby się odczytać ich znaczenie, a może nawet nie dałoby się w ogóle, tak jak to bywa z podobnymi zabytkami rozsianymi obficie po starych katedrach. Zawsze urzekają mnie głowy z brązu, a tutaj miałem ich mnóstwo. Przeszedłem całą uliczkę i zawróciłem. Postanowiłem ją naszkicować.

Była to stara część miasteczka, jedna z najstarszych ulic, pamiętająca czasy przed zarazą, przed najazdem Szwedów, przed pierwszym wystawieniem misteriów pasyjnych. Bonifacy Rohlmann, który w roku najazdu Szwedów i zarazy miał lat trzynaście, znał tę uliczkę, chodził tędy.

„Byli zupełnie zwyczajną rodziną” — powiedział mi Judasz o Rohlmannach. Całkiem więc możliwe, że Rohlmannowie mieszkali na tej uliczce też przecież nie wybitnej. Ich syn był jednym z wielkich malarzy tego okresu, chociaż oni mogli o tym nie wiedzieć i świat także. Zresztą świat nadal nie wie.

Przeszedłem tę uliczkę od końca do końca jeszcze raz. Panowała cisza. Nic się nie poruszało i nie czułem wzroku niczyich przenikliwych oczu z któregośkolwiek z okien, co nie znaczy, że nikt stamtąd nie patrzył. Mniej więcej w połowie uliczki stał dom z głową trefnisia nad drzwiami. Ten brąz pochodził zapewne z czasów, kiedy byli trefnisie, jakkolwiek jest wątpliwe, czy nawet wówczas w miasteczku Friedheim jakiegoś by się znalazło. Przyjrzałem się twarzy pod spiczastą czapką — twarzy człowieka pozbawionego złudzeń, obleczonej w uśmiech nieuchwytny jak uśmiech Mony Lizy i o oczach zamkniętych, a przecież dostatecznie wymownej. Trefniś, głosi tradycja, to człowiek niskiego stanu, ale patrzący na możnowładców bystro i krytycznie. Ten symbolizował całą swoją gildię.

Bonifacy Rohlmann mieszkał tutaj — zdecydowałem — w tym właśnie domu. To pasuje do niego doskonale.

Wniosek pochopny oczywiście, nie poparty żadnym faktem, ale w pełni mnie zadowolający. Chłopiec, który mieszkał tutaj, poznał grozę Czarnej Śmierci i strach przed najeźdźcą. Gdzieś zdobył jakoś środki, żeby wyjechać, uczyć się malarstwa, stworzyć co najmniej jedno arcydzieło i z pewnością inne bardzo dobre obrazy, które w tajemniczy sposób zniknęły. Wprost miałem wrażenie, że on idzie za mną krok w krok tą cichą uliczką, i omal nie obejrzałem się odruchowo.

Nabierałem coraz głębszego przekonania, że Neil Carlton wybrał ostatniego ze wszystkich ludzi, jakich mógłby wysłać w takiej misji do świątobliwego, pracowitego miasteczka. To powinien być ktoś stateczny, trzeźwy, zrównoważony, jak przystało na badacza. Ja ulegałem nastrojom, miałem fanaberie, bujałem w obłokach. Redakcja „Globusa” nie zatrudniłaby mnie nawet do wynoszenia koszy ze śmieciami.

Zobaczyłem Joan Terrill w sali restauracyjnej hotelu „Bahnhof”, ledwie tam usiadłem przy moim stoliku. Wydawało się, że ta dziewczyna zawsze porusza się rześko, i teraz też wniosła ze sobą powiew świeżego powietrza, zarumieniona, z lekka potargana. Była duszą i sercem nieprawdopodobieństwa. W niczym ani trochę mi nie przypominała żadnej ze znajomych dziennikarek pracujących w redakcji gazety czy periodyku.

— Muszę z panem porozmawiać — oznajmiła podchodząc. — Pozwoli pan, że przysiadę się na minutę?

To pytanie było niedorzeczne. Każda inna dziewczyna przysiadłaby się od razu. A ona wlepiła we mnie swe ciemne oczy niespokojnie, jak gdyby wątpiła, czy zechcę jej poświęcić chwilę. Uznałem ją za doskonałą odtrutkę na prześladowającą mnie myśl o grobach zarazy. Chciałem, rzeczywiście chciałem, słuchać jej, chciałem z nią rozmawiać.

— Jest pani odpowiedzią na modlitwę — powiedziałem. — Właśnie wróciłem z kościoła, gdzie odmówiłem nowennę, żeby mi niebo zesłało jakąś ładną dziewczynę, która by zjadła ze mną obiad.

— Niebo? — Nagle znów panowała nad sobą, patrzyła na mnie z góry. — I no-  
wennę? Nowennę odmawia się przez dziewięć dni albo przez dziewięć tygodni.  
Pan nawet nie przechodził blisko kościoła.

— Skąd pani wie?

— Mogę się założyć.

— Świetnie. — Podałem jej jadłospis. — Wygrała pani zakład. Wygrała pani  
obiad z białym winem.

Jadłospis był niedużą kartką, wybór potraw ograniczony, jak przystało na dru-  
gorzędny hotel w małym miasteczku. Joan Terrill wzięła tę kartkę machinalnie.  
Powiodła wzrokiem po menu, w ogóle go nie widząc.

— Liczę do dziesięciu, żeby nie wybuchnąć — powiedziała. — Jak pan się  
chyba domyśla, chcę czegoś od pana. Powinnam podejść dyplomatycznie, ale pan  
mnie zbija z tropu. Ma pan nade mną okropną przewagę. No, ale zdobyłam się na  
śmiałość. Wcale mi nie chodziło o zaproszenie na obiad.

— Nie została pani zaproszona. Pani ten obiad wygrała. Powie mi pani, o co  
chodzi, kiedy już wypijemy ostatnią kroplę wina. Nie odmówię pani. Czy to nie  
proste? Niech pani będzie spokojna.

— Pan nie wie, czy mi pan nie odmówi.

— Wiem. Z całą pewnością.

Lekko wzruszyła ramionami i przynajmniej w tym momencie wyglądała tro-  
chę na dziennikarkę.

— Sam pan tego chciał — powiedziała.

Przestudiowaliśmy jadłospis i zamówiliśmy potrawy. Zamawianie było dla  
niej sprawą poważną. Aż marszczyła czoło. Przypomniałem sobie, jaka była zde-  
nerwowana, że w autobusie nie ma kierowcy. Prawdopodobnie — pomyślałem —  
ona zawsze, nawet w błahych sprawach, traktuje życie z całą powagą jako szereg  
urwistych wysokich gór, na które musi się wspinać.

— Właśnie podsumowywałem wszystko, co wiem o pani — powiedziałem.

— Pan o mnie nie wie nic.

— Wiem, że pani jest religijna, bardzo religijna. Niewątpliwie katoliczka.  
Ochrzczono panią imieniem Joan, zapewne z myślą o Joannie D'Arc. Pisze pani  
dobrze, bo inaczej „Globus” by pani tu nie wydelegował. Ponętna z pani dziew-  
czyzna, ale wciąż stara się pani psuć ten efekt. Jest pani nietolerancyjna.

Bez uśmiechu patrzyła mi w oczy.

— Pan się spodziewa, że ja na to wszystko odpowiem?

— Nie, nie musi pani.

— W takim razie odpowiem tylko dla własnej satysfakcji. Nie samoobrona,  
tylko wyjaśnienie.

— Jak pani sobie życzy.

— Dobrze. — Obróciła w palcach kieliszek z winem i wpatrywała się teraz  
w szkło. — Rzeczywiście jestem religijna, bo wierzę w Boga. Religia jest ogni-

wem łączącym z Nim. Ludzie innych wyznań też mają takie ogniwa, może nawet mocniejsze. Nie wiem. Mnie się podoba ogniwo katolickie. Jestem wierząca.

Zrobiła mały ruch prawą ręką, odsuwając ten temat jako wyczerpany.

— Dostałam imię po Joannie D'Arc, tak jak pan się domyślił. Moja matka czuła do niej szczególne nabożeństwo. Joanna D'Arc wiele dla mnie znaczy. — Rzuciła mi badawcze spojrzenie. — W pana głosie, kiedy pan mówił o niej, brzmiało trochę pogardy. Lekceważenie.

— Nie wiedziałem, że mam głos tak pełny ekspresji. Ale myślę, że pani przesadza.

— Jestem wyczulona na głosy.

— Najwidoczniej. Zgoda. Dla mnie Joanna D'Arc jest sfalszowaną legendą, rozdmuchaną przez pobożnych i przez romantyków. Ta legenda do mnie nie przemawia. Byłem w Rouen, stałem tam, gdzie Joanna D'Arc spłonęła na stosie, i nadal nic. Nierealna.

— Chciałabym pojechać do Rouen. Wiem, że ja bym ją tam odnalazła. — Wzruszyła lekko ramionami. — Mniejsza z tym. Następny punkt. Pan się myli. Wcale nie piszę dobrze. Przeraza mnie okropnie ta część zlecenia. Jestem specjalistką od badań, tylko to dobrze robię.

Umilkła i znów zaczęła obracać kieliszek. Czekałem spokojnie, cierpliwie. Ciekaw byłem, jak ona poradzi sobie z następnym punktem.

— Co do tego, że jestem ponętna — rzekła powoli — nie będę udawała skromnisi. Wiem, że nie jestem szpetna. Wykorzystuję to, co mam. — Znów nasze oczy się spotkały. — Ale ja nie biegam za mężczyznami, nie kokietuję ich. Mało który jest tego wart. Znajomych, mężczyzn i kobiety, staram się mieć niedużo. A co do tego, że jestem nietolerancyjna, powstrzymam się od komentarza, powiem panu tylko, że tolerancja według mnie oznacza poparcie. Gardzę podłością, brakiem szacunku i wulgarnością, ale nie nazywałabym tej pogardy nietolerancją.

Zaskoczyła mnie swoim wybuchem, w tym samym jednak momencie kelnerka podała nam obiad, więc odpowiedź mogłem sobie darować. Maitre d'hôtel przyniósł wino i znów byliśmy sami.

— Na panią kolej — powiedziałem. — Co pani chce wiedzieć o mnie?

Potrząsnęła głową.

— Nic. Nie wolno mi pana teraz osądzać. Przecież mam prośbę do pana.

— Już mówiłem, że ją spełnię.

— Nie będę pana trzymać za słowo. Może pan się rozmyślić, kiedy pan usłyszy, co to za prośba.

— Nie rozmyślę się.

Gawędziliśmy przy stoliku, nie poruszając rzeczy istotnych. Ona dorastała w Cincinnati, a ja w St. Louis, oboje pochodziliśmy z nad wielkich rzek, jeśli to ma jakiegokolwiek znaczenie. Śmiała się, kiedy powiedziałem o tym, i śmiech jej był jak muzyka.

— Chodziłam do szkoły w Cincinnati — opowiadała — i ukończyłam college Świętego Józefa nad Ohio. Mogłyśmy widzieć stan Kentucky z Góry Świętego Józefa. Ale urodziłam się w Elkhart w stanie Indiana. Tam również była rzeka i wielka odnoga rzeki. W Elkhart wyrabia się instrumenty muzyczne wszelkiego rodzaju. To mnie łączy z Friedheim.

— Luźno.

— Nie tak luźno. — Zbyła ten temat machnięciem ręki i pochyliła się ku mnie. — No, teraz powiem, czego od pana chcę. Bo za chwilę stracę całą odwagę.

— Niech ją pani zachowa. O co chodzi?

— Redakcja załatwiła fotografa — powiedziała — jakiegoś Niemca z Monachium. Mam przysyłać moje korespondencje pocztą lotniczą i trzymać się terminów. Fotograf bardzo mi jest potrzebny. Zadzwoiłam do niego do Monachium, ale przyjedzie dopiero pojutrze. Powiedział, że „Globus” płaci mało, więc on musi to odbębnić raz dwa. Chyba ma rację. „Globus” albo przysyła fotografów ze Stanów Zjednoczonych i płaci im ciężkie pieniądze, albo angażuje kogoś z miejscowych dosłownie za grosze.

Było jasne, czego ona chce, ale zmierzała do tego powoli, z wahaniem. Wciągnęła głęboki oddech.

— Przypomniała mi się ta krowa, którą pan narysował. Ja... no, czy zechciałby pan zrobić dwa szkice dla mnie? To znaczy dla „Globusa”. Załatwię, żeby panu dobrze zapłacili.

— Nie mówmy o „Globusie”. Zrobię szkice dla pani. Kiedy?

— Zaraz. Dziś po południu. Muszę je wysłać pocztą lotniczą wieczorem.

— Co mam narysować?

— Pana Veita, to znaczy apostoła Jana, i miasteczko, coś w rodzaju panoramy czy impresji.

Widać było jej brak doświadczenia. Do Jezusa ani do Matki Boskiej oczywiście nie mogła dostać się przed premierą, ale i tak nadawała postaci Jana zbyt duże znaczenie, chcąc mieć szkic tylko jego. Należałoby narysować go z kimś, może z Marią Magdaleną czy którymś brodatym apostołem. Spośród wyznawców Jezusa tylko Jan nie miał długiej brody. A przecież właśnie ci brodaci nadawali swoisty charakter miasteczku i misteriom, i ona powinna to zaznaczyć. Zadurzyła się dziewczyna, więc nie mogła tego zrozumieć. Lepiej by też zrobiła, gdyby poprosiła mnie o narysowanie raczej miejscowego amfiteatru, rażąco ogromnego w małym miasteczku, niż samego Friedheim. Ale wydałbym się zarozumiałcem, zwracając jej na to uwagę. Byłem na niższym szczeblu drabiny dziennikarskiej niż ona, musiałem wznosić do niej wzrok.

— Popołudnie będzie pracowite — powiedziałem. — Zaczynamy.



## ROZDZIAŁ SZÓSTY

Jan czekał na nas w hotelu Joan Terrill. Żywe świadectwo jej ufności we własne siły. Umówiła się z nim tam na pozowanie, wiedząc z góry, że ja się zgodzę. Mogłoby to posłużyć do rozprawy o kobietach. Bo zarazem była rzeczywiście niepewna siebie, zdenerwowana. Kobieta może wiedzieć, a przecież wątpić, znać swoje możliwości, a przecież pamiętać o swoich ograniczeniach, widzieć realność tego, co chce przeprowadzić, a przecież bać się ewentualnej porażki, w którą w gruncie rzeczy nie wierzy. Patrzyłem na to wszystko już nieraz. Moja żona, istota na wskroś kobieca, potrafiła wygrywać całe symfonie, nawet nie zadając sobie trudu, żeby przeczytać nuty.

Apostoł Jan, piękny chłopiec o długich, kędzierzawych, złocistych włosach, czekał w zielonej szacie, różowej pelerynie i w sandałach z rzemykami skrzyżowanymi na łydkach. Był zbudowany jak atleta. Skórę miał gładką, opaloną na ciemny brąz. Oczy jasnoniebieskie, w których czaiło się coś, co mnie zastanawiało. Doprawdy ten człowiek nie bardzo mi się podobał. Pomimo swej doskonałej kondycji sprawiał wrażenie mięczaka. Patrząc na niego, znów pomyślałem, że przydałby się jeszcze ktoś na tym rysunku, on sam jest po prostu niczym.

— Jak mam go narysować? — zapytałem dziewczynę. — Co on robi? W jakiej scenie misteriów?

— On pisze — odrzekła. — Był pisarzem. Powinien siedzieć na niskim murku i pisać.

— W tamtych czasach nie mieli długopisów. Czym on będzie pisał?

— Gęsim piórem — odrzekła spokojnie. — Przyniosłam takie. I księgę. Jest stara, a pan potrafi ją zrobić jeszcze starszą, na pewno.

Chociaż wiedziałem, że to powinien być zwój pergaminu, a nie księga, nie oponowałem. Daliśmy apostołowi Janowi jego przybory, on jednak bardziej się zainteresował moimi. Trudno było go oderwać od sztalug, kartonu i ołówków. Dopiero po długiej chwili zdołałem posadzić go na kamiennym murku i zabrać się do roboty.

Jan, kiedy już siedział daleko od sztalug, okazał się urodzonym aktorem, mającym w sobie coś mistycznego, co przenosi człowieka w samo serce jego świata na niby. Był w moim życiu okres, kiedy znałem mnóstwo aktorów i aktorek, więc

teraz, jeśli chodzi o nich, nic nie mogło mnie zaskoczyć. Bez zdziwienia patrzyłem, jak Jan pozuje zwrócony swym lepszym profilem do mnie, z podbródkiem uniesionym, z piórem gęsim w ręce znieruchomiełej wdzięcznie nad księgą. Nie zwracał na mnie uwagi, pochłonięty sobą, czego oczywiście chciałem od niego.

Patrzyłem na Jana, szkicowałem go z grubsza i nagle przypomniały mi się dwie linijki z wiersza Elizabeth Barrett Browning — tylko te dwie cudownie rytmiczne linijki, które jakoś nabrały znaczenia:

Co robi on, wielki ten bożek Pan,  
Tam pośród trzciny nad rzeką?

Wielki bożek Pan pozował, i to pozował pięknie. Miałem po prostu go sportretować — niełatwe dla mnie zadanie, więc pracowałem szybko. W pewnym momencie, przerywając pracę, spojrzałem na Joan Terrill. Pochyliła się ku Janowi zniewolona tym pięknem, niepomna, że przecież widać jej urzeczenie. Zirykowało mnie to. Ona sobie nie uświadamiała nic i nikogo poza postacią, którą grał Jan.

Czy nie wstyd jej tak się angażować? — pomyślałem. — To przecież niemożliwe z wielu względów.

Ale ostatecznie nie była to moja sprawa. Nie chcąc dziewczyny rozczarować postarałem się uchwycić cały urok, cały ten wdzięk linii i rysów, przy czym dzielnie zdławiłem odruch nakazujący mi wydobyć trochę bezmyślności, jaką w Janie wyczuwałem. Skończony szkic wręczyłem Joan. Każdy magazyn mógłby łatwo reprodukować go jako fotografię. Oczy jej się rozszerzyły.

— Cudowne! — wykrzyknęła. — Przeszło moje wszelkie oczekiwanie!

Apostoł Jan podszedł szybko i popatrzył na swój portret sponad ramienia dziewczyny.

— To ja, prawda? — zapytał. — Wspaniale.

— No, to teraz pójde narysować miasteczko... — oznajmiłem. — Wróć na czas do pani.

Bo wiedziałem, że ona zamierza wysłać te szkice, zapakowane do dalszej wysyłki pocztą lotniczą z Monachium, ostatnim autobusem. Ale chyba nie słyszała, co mówię. Razem z Janem wciąż jeszcze podziwiała jego portret. Przeszedłem obok nich i nawet się nie obejrzałem.

Popołudnie było ciepłe. Zgrzany dotarłem na zbocze wzgórza w to samo miejsce, z którego oglądałem miasteczko pierwszego dnia. Ledwie postawiłem sztalugi, podeszła do mnie bez pośpiechu, podzwaniając dzwonkiem, moja wielbicielek, krowa. Sprawiała mi tym przyjemność. Inne krowy mnie ignorowały.

— Nie mam dziś czasu dla ciebie, Krasulo — powiedziałem. — Przepraszam cię, ale twój portret przecież już zrobiłem.

Krowa stała i patrzyła, nie przeżuwać, nie robiąc absolutnie nic. Po prostu stała nieruchomo, zagapiona bez jednego bodaj mrugnienia. Dziwne to, ale naprawdę cieszyło mnie jej towarzystwo. Dobry z niej był kompan. I z łatwością uwierzyłem, że polubiła mnie.

Miasteczko Friedheim rozciągało się poniżej: słońce świeciło na czerwone dachy, w głębinach uliczek leżał cień. Miasteczko średniowieczne. Mógłbym namalować je tak, jak widziałem teraz, i już bym miał ilustrację do każdej opowieści ze średniowiecza. Tylko musiałbym, oczywiście, podbarwić pewne szczegóły, usunąć jeden anachronizm: na tych dachach dyskretnie rozsiane sterczały anteny telewizyjne, mniej ich niż w miasteczkach amerykańskich, ale dosyć, żeby rzucały się w oczy.

Naszkiecowałem zarys Friedheim z kościołem jako akcentem dominującym i przystąpiłem do zaznaczania innych ważniejszych punktów, ustalając ich położenie w stosunku do kościoła.

Oto było miasteczko Friedheim. Turyści, którzy przyjechali, żeby zobaczyć misteria pasyjne, będą chodzić ze zbożnym lękiem po tych średniowiecznych uliczkach, przebywać w amfiteatrze przez długie godziny pod tragicznym urokiem tego widowiska, odczuwać cały ów nastrój uświęconego dramatu, a później odjadą z jakimś obrazem w pamięci — obrazem może bardziej złudzenia niż prawdy. Nie będą wiedzieli nic o mieszkańcach tych kamieniczek z antenami telewizyjnymi czy też bez anten. Jakkolwiek malowniczo Friedheim wygląda z ulicy czy też z miejsc wysoko na wzgórzach, przecież w tych średniowiecznych domach mieszkają ludzie, którzy pożądają, nienawidzą i są zawistni, ludzie, którzy z ożywieniem, złośliwie plotkują, ludzie chciwi pieniędzy bądź władzy, chociaż małe to pieniądze i władza równie mała. Na pewno tlą się tam w dole pod tymi dachami przewrotne łaknienia i zazdrość, i gniew, istnieją wszystkie ludzkie błędy i słabostki, i niedociągnięcia, jakie można znaleźć w każdym innym miasteczku, wszędzie.

Siedząc na zboczu wzgórza, przyczyniałem się do utrwalenia legendy. Świątobliwe, arcyświątobliwe Friedheim! No, i czemuż by nie? Mogę czytelnikom „Głobusa” dać tego ukochanego apostoła Jana, mogę też dać i miasteczko o kształcie gwiazdy, stłoczone wokół swego kościoła. Nieważne, w co ja wierzę czy nie wierzę. Po cóż miałbym zaglądać w okna domów dyskretnie przysłonięte firankami i w życie ludzi za nimi.

Godziny mijały. Na to, by narysować Friedheim, powinienem mieć co najmniej trzy dni, a miałem tylko parę galopujących godzin. Musiałem pokazać blask słońca na dachach, a przecież nie malowałem farbami olejnymi. Osiągałem światło, zaznaczając kontrasty światła, starannie wydobywając cienie. Niskie wzgórza, które jakoś groźnie tę gwiazdę otaczały z trzech stron, wznosiły się skapanie w blasku. Rzeka płynęła wokół jednej trzeciej obszaru miasteczka i przecinały ją dwa mosty.

Narysowałem to wszystko i spisałem się dobrze, nienadzwyczajnie, ale dobrze. Byłem z siebie zadowolony, kiedy podpisałem rysunek i złożyłem rzeczy, żeby zejść ze wzgórza. Krowa zbliżyła się do mnie, nadal wpatrzona bez mrugania, spokojnie, jak przystało na stworzenie nie mające zwyczaju mówić ani robić hałasu.

— Jesteś wierną maskotką, Krasulo — powiedziałem. — Doceniam cię.

Joan Terrill czekała w swoim hotelu. Korespondencję już napisała i miała paczkę gotową, żeby dołączyć mój szkic. Popatrzyła na Friedheim takie, jakie widziałem, i wyraźnie się nim zachwyciła, nie mniej niż portretem Jana.

— To zadziwiające — powiedziała. — Pojęcia nie miałam, że pan tak znakomicie rysuje. Aż mi głupio. Jak ja w ogóle mogłam prosić pana o to! Zawiadomiłam „Globus”, żeby panu przysłali czek. Myślę, że honorarium będzie przyzwoite. — Bezradnie po kobiecemu rozłożyła ręce. — Pan nie wie, jak bardzo jestem panu wdzięczna.

— Cała przyjemność po mojej stronie — odrzekłem. — Niech już pani zanieśie to do autobusu.

Wydawała mi się ciekawsza, przynajmniej trochę ciekawsza, kiedy była obojętna, lapidarna, wyższa ponad używanie superlatywów. Jan sprawił, że serce w niej topniało. Stała się wylewna, co nie było w jej stylu. Poszedłem do „Eisenhut” na spotkanie z Judaszem Iskariotą. Czekał na mnie przy małym stoliku, siedząc nad kuflem, z którego wypił połowę.

— Mam nadzieję, że pan jeszcze nie płacił? — powiedziałem.

Potrząsnął głową.

— Po co, skoro pan miał przyjść? Pan by się przecież obraził.

— Obraziłbym się na pewno.

— Ja.

Poczucie humoru błysnęło w jego oczach. Przypomniałem sobie, jak pani Parkert powiedziała: „Józef, mój mąż, jest doskonałym aktorem. . . Bóg zesłał mu wielki dar, może dlatego, że jemu właśnie czegoś takiego potrzeba”. Ten człowiek, który grał Judasza, prawdopodobnie zarabiał niewiele i ciągle brakowało mu pieniędzy. To, że nie musiał płacić za swoje piwo, miało dla niego znaczenie. Chłopak podał mi kufel. Trąciłem się z Judaszem.

— Zobaczyłem już prawie całe wasze miasteczko. Bardzo mi się podoba.

— Co się panu tutaj podoba?

— To, że Friedheim ma kształt gwiazdy.

— Zauważył pan to? Mało który turysta to widzi.

— Ja nie jestem turystą. Turyści by to widzieli, gdybyście wspomnieli o tym w przewodniku.

Judasz potrząsnął głową.

— Zawsze lepiej dla ludzi widzieć na własną rękę. Zawsze lepiej. Wtedy wszystko, co się widzi, nabiera więcej sensu. Ta gwiazda to dziwna rzecz. Nasze

miasto nie zawsze było takie. Bo też od początku nie dałoby się tak zaplanować. Nikt z nas nie pamięta, kto pierwszy to zauważył i kiedy.

— Mnóstwo dziwnych rzeczy jest w waszym mieście. Przeszedłem się na cmentarzysko z czasów zarazy.

— Tam nie ma nic dziwnego. Te doły były koniecznością. No, i pozostały.

— Widziałem to miejsce. Zrobiło na mnie duże wrażenie. Dlaczego? Miliony ludzi od roku tysiąc sześćset trzydziestego drugiego umierały na całym świecie. Dlaczego miałoby mnie tak bardzo obchodzić właśnie ci obcy, w tej ziemi? Dlaczego?

Judasz wyciągnął z kieszeni fajkę i bez pośpiechu zajął się nabijaniem jej.

— To nie śmierć obcych działa na nas — powiedział. — Tylko to, że zbliżamy się do ich śmierci.

— Jak? Niech pan powtórzy, proszę.

Potrząsnął głową.

— A po co? I bez powtarzania pan zapamięta. Był pan w starej części miasta?

— Tak. Na ulicy lutników i na ulicy szewców.

— Pracowite uliczki. Dobrzy rzemieślnicy. Interesy we Friedheim są nieduże, ale nasi ludzie potrafią wszystko robić dobrze.

— Nie wątpię. Trafiłem na jakąś małą uliczkę bez nazwy. Nad drzwiami jednego z domów jest głowa błazna, doskonale wyrzeźbiona głowa. Pomyślałem sobie, że może tam urodził się i mieszkał Bonifacy Rohlmann.

— Możliwe. To dom sprzed wieków. Hans Aschenbrenner mieszka w nim teraz. Hans gra żołnierza rzymskiego w misteriach. Jak panu powiedziałem, Rohlmannowie rzeczywiście mieszkali kiedyś we Friedheim. Były wojny, najazdy, dwa okropne pożary. Dawne kroniki w ratuszu są fragmentaryczne. Przeważnie dostarczone przez te stare rodziny, które prowadziły swoje zapiski.

— Może bym mógł porozmawiać z kimś z tych starych rodzin, zapytać, czy nie mają jakichś dokumentów dotyczących także Rohlmannów.

— Nie mają nic więcej, niż ja mam w ratuszu. Miasto zrobiło wielki wysiłek. — Judasz zadumał się pykając fajkę. — Owszem, byłoby jedno źródło. Ale to chyba nie dla pana. Pan nie jest katolikiem, prawda?

— Nie jestem.

— No, właśnie. Szkoda. Proboszcz naszej parafii, ksiądz Albrecht Schecker, ma duże archiwum. Nikt nie wie, jak duże. Kościoły potrafią chronić, co trzeba. Mają skarbcę, krypty, kryjówki. Friedheim nigdy nie miało tajemnic przed Kościołem, a Kościół tajemnic dochowuje.

— W tym wypadku to chyba niepotrzebne, kiedy chodzi tylko o jakiegoś malarza, który umarł przed wiekami.

— Możliwe, ale ksiądz proboszcz panu nic nie powie.

— Pan jest dobrym katolikiem. Niech pan go poprosi.

Judasz parsknął śmiechem w swój pusty kufel, więc zamówiłem następne piwo.

— Owszem, jestem w dobrych stosunkach z księdzem proboszczem. Poza tym regularnie przystępuję do komunii i on jest moim przewodnikiem duchowym. Ale na polu informacji o Friedheim może trochę ze sobą współzawodniczymy. Ksiądz proboszcz uważa się za strażnika historii. Nie chciałby, żeby pewne dokumenty przeszły do ratusza.

Takiej sytuacji nie przewidziałem. Fakt, że interesujące mnie dane są ukryte poza moim zasięgiem, rozżłościł mnie, był gorszy niż brak danych w ogóle.

— Może on ma niewiele z tego, o co panu chodzi, może nie ma nic — powiedział Judasz. — Tutejszy kościół też ucierpiał od pożarów i też odczuł te wojny.

— Proboszcz nie zechce porozmawiać ze mną? Jest pan tego pewny?

— Porozmawiać, to on by z panem porozmawiał. Dobrze wychowany, bardzo sympatyczny z niego człowiek. Ale nic by się pan nie dowiedział.

— Znajdę jakiś określony sposób.

Judasz znów parsknął śmiechem.

— Uliczka, gdzie jest ten dom z głową błazna, nazywa się Kirschbaumstrasse. To dom numer osiemnaście. Ma trzysta lat co najmniej, może trzysta pięćdziesiąt. Bo ta uliczka była, kiedy przyszli Szwedzi, a oni przyszli trzysta pięćdziesiąt lat temu.

Mówił teraz wolniej i uprzytomniłem sobie, że mnie również ogarnia rozleniwienie. Wypiliśmy już po trzy kufle piwa, dosyć przepastne.

— Zaczął pan o tych dołach z czasów zarazy — rzekł Judasz powoli. — W historii Friedheim tylko jedna czarownica została spalona na stosie. I właśnie tam ją spalili. Frieda Neuhardt. To było w roku tysiąc sześćset sześćdziesiątym pierwszym.

Zdumiony, uciekłem się do arytmetyki.

— Misteria pasyjne wystawiono tu w roku tysiąc sześćset sześćdziesiątym drugim — powiedziałem.

— Tak. Wtedy już po raz czwarty.

— Jak mogli ludzie pobożni, ludzie oddani tej sprawie, dotrzymujący swego ślubowania spalić kobietę na stosie? Sąsiadkę prawdopodobnie.

Judasz zaciągnął się dymem z fajki — krzepki, barczysty mężczyzna o grubych rysach twarzy w obramowaniu czarnego zarostu.

— Istnieje Zło — odpowiedział.

Wygłosił to kategoryczne oświadczenie nie rozwijając tematu. Można by wnioskować — gdyby się chciało — że on stwierdza zło w ludziach, którzy palą kobiety na stosie, ale ja sobie nie tłumaczyłem tego w taki sposób. Zło dla niego (po niemiecku Übel) było słowem, jak z naciskiem zaznaczył, zaczynającym się od dużej litery.

Jeszcze myślałem o Judaszu, kiedy krokiem trochę chwiejnym wracałem do hotelu. Mżył kapuśniaczek i jakaś mżawkę miałem w mózgu, dlatego moje myśli nie biegły wyraźnym torem.

Może to naturalne, że człowiek, który wierzy w ostateczne Dobro, w Stwórcę i w Zbawiciela, i w obietnicę życia wiekuistego, wierzy również w odwrotność tych abstrakcji: w ostateczne Zło, w niszczyciela, w zdrajcę i w groźbę unicestwienia. Dobro ze wszystkimi swymi kościołami, prorokami i kapłanami nieraz handluje fałszywym miłosierdziem i zadufaną obłudą, elastycznymi zasadami moralnymi, okrucieństwem, gładkim kłamstwem i niewczesną pobłażliwością. Zło nie mając szczytnych dążeń, podniosłej koncepcji służenia ludziom, nie narzucając żadnych hamulców na zwierzącą naturę człowieka i nie obiecując żadnej nagrody dla jego ducha, jest samo w sobie potworne.

No, ale ja nie wierzyłem ani w dobro, ani w zło, zaczynające się od małych liter czy od dużych.

Interesowało mnie tylko to, że wpadłem na trop informacji o Bonifacym Rohlmannie, zobaczyłem kierunek z pozycji, która dotąd wydawała się martwym punktem. U proboszcza Friedheim są stare księgi, do których miasteczko ma dostęp zależnie od jego uznania: początki dziejów miejscowych rodzin, być może świadectwa urodzenia, ślubów i zgonów. Zdarzały się skandale, jakieś niewątpliwie haniebne sprawy, ale dawno temu, i owe osoby zmarły, odeszły w niepamięć, teraz w każdym razie nie znane komuś, kto by czytał zapiski o nich. Można by uznać, że wszystko to już jest historią i jako takie powinno być ujawnione, cóż, kiedy ksiądz proboszcz małej niemieckiej parafii rości sobie prawo do decydowania o tym. I nie ma na niego sposobu.

Rozmyślając tak i rozmyślając znalazłem w końcu wyjście zgoła niepożądane: jest dziewczyna, katoliczka. Przeszkolona w badaniach archiwów. I za przysługę, którą jej oddałem, należy mi się rewanż. A więc: albo dzięki niej, jak na ironię losu, uzyskam informacje o Bonifacym Rohlmannie, albo pozostaje mi tylko spać kawałek manatki i wrócić z niczym do Stanów.

W hotelu czekał na mnie list. To był list od Neila Carltona. Wysłany najwidoczniej, zanim on dostał list ode mnie, i bardzo w jego stylu, dotyczący ludzi i spraw, teraz jakoś mi obojętnych. Dopiero na końcu były dwie ważne wiadomości, przy czym najpierw, oczywiście też w jego stylu, ta mniej ważna.

*Ojciec Graney wciąż jeszcze nie przeszedł do porządku nad tym obrazem — pisał Neil Carlton. — Zgoła nielogicznie poczuł antypatię do Ludwiga i o tajemnicy, wobec której stanęliśmy w tamten wieczór, mówi lekceważąco: „Hokus pokus z repertuaru popisującego się Lorensa”. Zamyka oczy na realność naszego niezwykłego przeżycia, a gdy próbowałem przedyskutować z nim punkty sporne, wybuchnął i powiedział, że spodziewał się po mnie czegoś lepszego. Że dałem się nabrać na jakieś cygańskie szachrajstwa, bo najwidoczniej postradałem dany mi*

*przez Boga rozum — cytuję: „w sali seansów Lorensona”. Obawiam się, Kirk, że stracę przyjaciela, a wiem na pewno, że Ludwig przyjaciela już stracił. Wielce mnie to smuci.*

*Jeszcze bardziej smuci mnie wiadomość, którą odłożyłem na zakończenie. Z czystego tchórzostwa wzdrygam się przed doniesieniem ci, że Robert Maxwell zmarł wczoraj w nocy. Przez wiele lat był dla mnie tylko „Robertem” i to wystarczyło: człowiekiem odpowiedzialnym, pełnym godności i z poczuciem humoru. Serdecznie przywiązałem się do niego i szanowałem go. Od ciebie dowiedziałem się jego nazwiska. Jako Robert czy też jako Robert Maxwell był w moim życiu kimś, kogo zawsze z przyjemnością widziałem. Nie mówię tego o zbyt wielu ludziach. Umarł spokojnie we śnie wczoraj w nocy i Ludwig odchodzi od zmysłów. Mówi, że ja go zabiłem, mówi też, że Robert żyłby nadal zdrow i szczęśliwy, gdybym ja nie pokazał mu tego obrazu.*

*Nie wiem, czy kiedykolwiek odkryjesz coś w związku z tym obrazem i człowiekiem, który ten obraz namalował. To nie ma znaczenia, Kirk. To nie ma znaczenia. Wolałbym, żeby żaden z nas w ogóle tego obrazu nigdy nie zobaczył.*

*Oddany  
Neil*

Długo siedziałem po ciemku nad listem Neila Carltona. Deszcz szemrał o szyby w oknie i daleko nad wzgórzami grzmiało. Umarł mój przyjaciel. Przypomniałem sobie nasze żarciki w windzie, śmiech i szczerą serdeczność, sympatię i tę wielką radość w tamto Boże Narodzenie, kiedy przyniosłem Robertowi jego portret namalowany przeze mnie: Robert przy kierownicy starego Maxwella.

Robert nie żyje. Siedząc w hotelowym pokoju poprzez deszcz i dalekie grzmoty usłyszałem znowu jego głos, zgorszony, protestujący przeciwko temu, co w jego przekonaniu było zdradą: „Panie Donner, czemu pan mi zrobił taką rzecz? Ja bym nie wygrażał pięścią Panu Jezusowi”.

Nie wiedziałem, czy Robert dał się przekonać, że nie wmalowałem go w obraz Bonifacego Rohlmana. Nie mogłem znieść myśli, że przed śmiercią czuł do mnie żal. Nie mogłem także znieść myśli, że Ludwig obarcza Neila winą za śmierć Roberta. Pobudki, jakimi się Neil kierował przyprowadzając Roberta, żeby zobaczył ten obraz, były skomplikowane, ale ja je rozumiałem, chociaż Ludwig nie rozumiał. Twierdzenie, że obraz spowodował śmierć Roberta, równało się, być może, przypisywaniu samemu temu obrazowi złej mocy. Byłoby to słuszne tylko w wypadku, gdyby się uważało, że śmierć jest Złem. Robert chorował i cierpiał. Śmierć mogła być dla niego dobrodziejstwem. Nie wiadomo.

Krażenie po takich mrocznych korytarzach domysłów, obce moim obyczajom, sprawiło mi przykrość. Machnąłem gwałtownie ręką, odsunąłem wszystko, co nienamacalne. Robert nie żyje. Stało się, nie ma sensu roztrząsać tego, osądzać, kto ponosi winę.



W końcu napisałem list, długi list nie do Neila Carltona, który swoim smutkiem podzielił się ze mną, tylko do Ludwiga Lorensona, który zamknął się przed współczuciem, zrażając sobie współczujących mu ludzi.

Wyszedłem w deszcz i, zanim dotarłem do urzędu pocztowego, zmokłem dokumentnie. Był w tym jakiś nieokreślony spokój duchowy. Chociaż zwykle kpiłem z wszelkich nieporadnie rozniecanych wzniosłych nastrojów, rad powitałem teraz taki spokój.

**CZEŚĆ II**  
**MISTERIA**

## ROZDZIAŁ PIERWSZY

Sobota była dniem premiery, pierwszego przedstawienia misteriów. Po całej dobie deszczu dzień wstał w bladym blasku słońca. O godzinie szóstej rano zaczęły się dwie msze: jedna w kościele, a druga w amfiteatrze. Prawie każdy we Friedheim poszedł na jedną z nich. Ja wtedy jadłem w hotelu śniadanie. Kilku korespondentów, którzy przyjechali w piątek, jadło śniadanie także. Nie znałem ich i nie interesowałem się nimi. O tak wczesnej porze nie interesowałem się nawet samym sobą.

Przez cały piątek lało jak z cebra i hulał poświstując wiatr. Korespondenci z wszystkich stron Niemiec i z Francji, Belgii, Holandii i Włoch przyjeżdżali zmoknięci i skwaszeni. Ta sobotnia premiera była przede wszystkim dla prasy, dopiero w poniedziałek miały się rozpocząć przedstawienia dla szerokiej publiczności, ściągającej zewsząd, jeżeli szczęście jej dopisze, już przy pięknej pogodzie. W miasteczku od rana w sobotę panował nastrój napięcia. Nawet ja, bardzo przecieź oporny, odczuwałem to ogólne naelektryzowanie. Dzwony kościelne zaczęły bić o szóstej, obwieszczając początek mszy, i ku mojemu zdumieniu biły radośnie. Spodziewałem się poważnej, nawet posępnej tonacji, a nie tej wesołej nuty.

Usłyszałem je znowu o godzinie siódmej, nadal bijące żywo. Nie chciałem patrzeć, jak tłumy po mszy przyjdą na śniadanie, wyszedłem więc zawczasu. Skierowałem się bez żadnego powodu na cmentarzysko zarazy i zamyśliłem się nad kobietą, która w tym właśnie miejscu umarła jako czarownica. Potem od razu ruszyłem do amfiteatru zadowolony, że jeszcze tam jest pusto i mogę spokojnie ocenić jego ogrom.

— Gdyby nie to, że pan z prasy — powiedział pełen namaszczenia bileter — wpuściłbym pana dopiero na pół godziny przed początkiem.

— Wolność prasy to szczęście i chwała każdego państwa — powiedziałem z takim samym namaszczeniem.

Facet zamrugał patrząc na mnie i miałem nadzieję, że będzie przetrwał tę sentencję przez cały poranek. Obejrzałem amfiteatr, konstrukcję drewnianą, co raczej nie zaprawiało optymizmem dumań o ewentualności pożaru. Amfiteatr we Friedheim może pomieścić, jak przeczytałem w przewodniku, trzy tysiące osób.

Czyli jest tylko o połowę mniejszy od amfiteatru w Oberammergau i chyba — pomyślałem — zaprojektowany zbyt ufnie.

Joan Terrill przyszła, kiedy zaczynano powoli się schodzić. Przyszła podniecona i to, że ma miejsce obok mnie, wcale jej nie zaskoczyło. Ten żartowniś z informacji najwidoczniej pochwalił się przed nią, jaki jest mądry, skoro odkrył, że przyjechało dwoje Amerykanów, i zdecydował, że powinni oni siedzieć razem.

— Nie był pan na mszy — powiedziała.

— Nie byłem. Przypuszczała pani, że będę?

— Owszem. Dużo pan stracił. To było wspaniałe przygotowanie do misteriów.

— Ja jestem przygotowany.

Odwróciła wzrok ode mnie, patrząc na powoli zapełniające się miejsca poniżej nas. Siedzieliśmy wysoko pośrodku. Nasza kondygnacja była bezsprzecznie najlepsza.

Coś w tej dziewczynie, nawet kiedy życzliwie rozmawiała ze mną, prowokowało mnie do gburowatości. Wprost idiotyczne.

— Cieszę się, że dostałem to miejsce i że pani tu siedzi przy mnie — powiedziałem.

Dziewczyna zerknęła w moją stronę i odwróciła wzrok.

— Naprawdę?

— Tak.

— Mnie to bardzo ułatwia wszystko. Szalenie się ucieszyłam, kiedy on mi powiedział o tych miejscach. Nie cierpię patrzeć na przedstawienia sama, a jakoś nie potrafię rozmawiać z nieznajomymi. — Wykonała prawą ręką dziwny gest. — Oczywiście, pan właściwie jest nieznajomy, ale był pan tak miły robiąc te szkice dla mnie. No, nie uważam pana za nieznajomego.

Wzruszyłem ramionami.

— Więcej tu ludzi, niż myślałem. Zapełnią cały amfiteatr.

Roześmiała się cicho.

— Pan nie lubi podziękowań, prawda? Ani pochwał? Ciekawe. Ja też nie lubię. Jest mnóstwo ludzi, bo na tę premierę prasową dostały bilety rodziny tych, którzy grają, i wszystkich innych, którzy mają z misteriami cokolwiek do czynienia. Misteria bardziej obchodzą miasteczko niż prasę.

— Tego nie wiedziałem.

Znowu Joan Terrill wyprzedziła mnie w odrabianiu swoich lekcji. Jej oczywiście nie nawiedzał duch Bonifacego Rohlmana; jednakże powinienem był spisać się lepiej.

W słoneczność dnia wtargnęła myśl o Rohlmannie. Muszę posłużyć się tą dziewczyną, żeby zdobyć bodaj trochę informacji o nim. Ale nie chciałem jej o to prosić. Z pewnością nawet nie wypadało zwracać jej tym głowy w czasie ze wszech miar ważnych dla niej misteriów.

Dyrygent orkiestry wszedł skromnie nie kłaniając się i nagle zaległa cisza. Na znak jego batuty orkiestra zaczęła grać. To była przyjemna muzyka, równie wesoła jak przedtem kościelne dzwony, ale przeplatana jakąś złowróżbną nutą. Przed kurtyną, płasząc posuwiście, śpiewały anioły. Kurtyna podniosła się powoli.

My na widowni mieliśmy dach nad głowami: nad sceną żadnego dachu nie było. Za dekoracjami falowały wzgórza Friedheim. Napływało świeże powietrze i publiczność, chociaż zwrócona na południe, nie musiała mrużyć oczu przed blaskiem słońca.

Ludzie, młodzi i starzy, chodzili po scenie. Ludzie w barwnych szatach i pelearnach. Byli na ulicach jakiegoś miasta z łukowatą bramą niby to kamienną. Inna grupa ludzi weszła tą bramą i otoczony nimi główny aktor wjechał na osiołku. Wszyscy witali tego człowieka radośnie, a on podniósł rękę w pozdrowieniu czy błogosławieństwie.

To był Chrystus. Ze zdumieniem patrzyłem, jak znakomicie ten aktor odpowiada tradycyjnym Jego wyobrażeniom. Żywy człowiek przecież, a nie postać wykocypowana. Uśmiechał się, rozmawiał z ludźmi, głaskał dzieci po główkach, szczęśliwy, że jest wśród tych, którzy Go lubią.

Dekoracje szybko zmieniono, Chrystus dojechał do świątyni. Byli tam bankierzy przy swoich zajęciach i On nakazał im wyjść, po czym przewracał stoły i kontuary, kiedy obrzucali Go wyzwiskami. Dużo ludzi w świątyni, łącznie z tymi, których wzięłem za rabinów, przyszło w sukurs bankierom, inni idąc za Chrystusem wołali:

— Hosanna Synowi Dawidowemu!

Było to nieco melodramatyczne, ale dziewczyna obok mnie siedziała w napięciu i świata poza tym nie widziała. Wśród ludzi wokół Jezusa zobaczyłem jej chłopca, Jana. Judasz także tam chodził: dwaj z tłumu, Jan i Judasz niewiele mieli do roboty.

Dobra była scena, w której kapłani i handlarze spotkali się na burzliwym posiedzeniu. Wypowiadali się szczerze. Nie wierzyli w to, że Chrystus ma władzę, czy bodaj prawo wtrącać się do spraw ludzi, wyrzucać kogokolwiek ze świątyni, i — tak jak oni to przedstawiali — mógłbym przyznać im pewną rację. Zdecydowali, że Chrystus — jakiś prorok z północy mający lud za sobą — jest niebezpieczny dla nich wszystkich.

— Nie zwlekając trzeba Go zatrzymać — powiedział jeden z nich. — Przybywają do miasta tacy, co jeszcze Go nie słyszeli. Oni nie są Jego wyznawcami. Trzeba pojmać Go i sądzić za wiele zbrodni: za odstępstwo, za bluźnierstwo. Tych wykroczeń lud bardzo nie lubi.

— Jak pojmać Go? — zapytał któryś.

— W nocy. Ktoś musi wskazać Go strażnikom świątyni. Ale nikt z nas!

— Ja znam takiego — powiedział człowiek imieniem Datan — to jeden z Jego wyznawców. Potrzebuje pieniędzy. Na imię mu Judasz.

— Nowoczesny dramaturg nie napisałby tego lepiej — zauważyłem. — Świetna ekspozycja. I ci spiskowcy mówią jak ludzie naszych czasów.

Joan Terrill zaciskała pięści, omal nie tłukła się po kolanach. Nie odpowiedziała mi. Na scenie dalej toczyły się knowania, a Chrystus tymczasem odwiedzał swoich wyznawców, zamierzając udać się na Paschę do Betanii. Teraz był Chrystusem nie znanym mi, takim, jakiego nie opisywali ewangelisci. To był towarzysz, gawędzący z serdecznymi przyjaciółmi, planujący podróż. Po pierwszych kilku rozmowach dialog ustał. Już tylko śmieli się i mówili na migi. Byli zwyczajni jak ludzie wszędzie, radowali się dniem i radowali się, że są razem.

— Chrystus roześmiany — powiedziałem. — Nigdy mi to nie przyszło na myśl. Przecież właśnie tego religia zawsze potrzebuje.

Joan Terrill zignorowała tę uwagę tak jak poprzednie. Nic dla niej nie istniało poza tym, co działo się na scenie. Ja sam poddałem się urzekającemu realizmowi misterium, ale nie pochłaniało mnie ono całkowicie.

Sceny przesuwały się szybko, chwilami niezdarne, część dialogu żałośnie kulą. Napięcie publiczności wzrastało, w miarę jak dramat się rozwijał. Postać Judasza nabierała wyrazu i ten człowiek rzeczywiście był wspaniałym aktorem. Wydawało mi się prawie niewiarygodne, że ja z nim w gospodzie popijałem piwo.

Judasz występował w żółtej szacie i w ciemnopomarańczowej pelerynie, w kostiumie łotra tak oczywistym, jak czarny kapelusz w westernach. On był czarnym charakterem, ale grał swoją rolę w całej rozciągłości, wykraczając poza melodramat. Jego monolog dorównywał hamletowskiemu, kiedy zaniepokoiło go to, że Chrystus pozornie nie zamierza utworzyć na nowo kwitnącego potężnego królestwa Izraela, tylko mówi o rozstaniu i o śmierci.

— Dosyć mam nadziei i czekania — powiedział ten niespokojny Judasz. — Przede mną wciąż ubóstwo i niedola. Nic innego nie zaznałem od początku życia. Może byłoby dobrze opuścić Go, póki jeszcze czas. Pragnąłem z Nim dzielić Jego Królestwo chwały... ale ono nie nadchodzi. A co nadchodzi? Wciąż niedola i ubóstwo. Kto pragnie to z Nim dzielić? Nie ja. Nie ja.

Miał w sobie jakąś nieokrzesaną siłę wygłaszając ten monolog, a także i wtedy, gdy Datan ostrożnie badał, czy on jest gotów wskazać Chrystusa żołnierzom.

Kurtyna opadła, a kiedy podniosła się znowu, Chrystus i apostołowie siedzieli przy długim stole. To była w każdym szczególe „Ostatnia Wieczerza” Leonarda da Vinci. Chrystus już pobłogosławił chleb i wino, już powiedział, że to Ciało i Krew Jego, i oznajmił, że któryś z tych przy stole zdradzi Go. Apostołowie protestowali wstrząśnięci i przestraszeni.

Ten żywy obraz w słabym świetle trwał pełne dwie minuty.

Potem aktorzy poruszyli się i zaczęli głośno wołać, że niemożliwością jest, by którykolwiek z Jego przyjaciół miał Go zdradzić.

— O kim mówisz, Panie, kto to jest?

— Czy to ja, Panie? — zapytał Judasz.

Inny apostoł przekrzyczał Judasza:

— Kto to jest, Panie?

Chrystus zamoczył chleb w winie.

— Ten, któremu ja umaczany chleb podam.

W tej samej chwili Judasz wstał i odszedł od stołu, co uczynił tak nieznacznie, że apostołowie, powtarzając jeden przez drugiego swoje pytania i protesty, nie zwrócili na to uwagi.

Kurtyna opadła.

Kiedy podniosła się znowu, Judasz i Datan byli przed Kajfaszem. Nastąpiła scena, w której Judasz przyjmuje trzydzieści srebrników, okazuje się wstrętne chciwy, zapomina o przyjaźni.

— Niech twoi ludzie przyjdą do ogrodu, gdzie On się modli — powiedział Judasz. — Powinni mieć pochodnie i latarnie. Ja wam dam znak.

Ogród był jeszcze jednym żywym obrazem.

Chrystus w ogrodzie. Klęczał z rękami opartymi o głaz. Oczy miał wzniesione ku niebu. Wokoło na ziemi spali Jego uczniowie. Tak było przez jakąś minutę. Potem Chrystus poruszył się i oglądaliśmy dalszy ciąg przedstawienia.

— Ojczy, jeśli chcesz — modlił się Chrystus — zabierz ten kielich ode mnie. Wszelako nie moja, lecz Twoja wola niech się stanie.

Rozpacзлиwa modlitwa samotnego człowieka, którego czekały tortury i śmierć. Z dala doleciały głosy i po chwili do ogrodu weszli za Judaszem strażnicy świątyni. Chrystus wstał wolno. Judasz podszedł do Niego i ucałował Go.

— Przyjacielu, po coś przyszedł? — zapytał Chrystus. — Wydajesz Syna Człowieczego pocałunkiem? Kogo szukacie?

— Jezusa z Nazaretu — odpowiedział jeden ze strażników.

— Jam jest.

Zakotłowało się na scenie, kiedy strażnicy pojмали Jezusa i apostołowie obudzili się. Piotr wyciągnął miecz, odciął ucho jednemu imieniem Malchus. Słowne słowa Chrystusa padły pięknie wyliczone w czasie:

— Piotrze, schowaj twój miecz do pochwy. Ci, którzy mieczem wojują, od miecza giną.

Koniec aktu, koniec pierwszej połowy sztuki. Kurtyna opadła powoli. Dzwony kościelne w miasteczku biły z przejmującą powagą. Joan Terrill potrząsnęła głową.

— To cudowne — rzekła — po prostu cudowne.

— No, raczej tak — przyznałem.

Korespondenci wstawali i wychodzili z amfiteatru, wszyscy teraz poważni. Twarze mieli interesujące, ale mnie bardziej interesowały twarze miejscowych ludzi. Twarze to moja pasja malarska, a te tutaj były naprawdę wspaniałe. Mieszkańcy Friedheim dorastali zżyci z dramatem misteriów. Oddychali nim, znali go prawie od urodzenia jako legendę swojego miasteczka: a przecież misteria nadal

pozostawały dla nich czymś niezwykłym. Przejmowały ich do głębi i owo przejęcie malowało się na ich twarzach.

— Zamówiłam stolik i obiad dla nas w moim hotelu — powiedziała Joan Terrill. — Mam nadzieję, że zje pan ze mną.

Głos jej troszeczkę drżał, lekko zachrypnięty. Nie rozumiałem, dlaczego.

— Dziękuję — powiedziałem. — Dobry pomysł.

W restauracji hotelowej dostaliśmy mały stolik pod ścianą. Znow stwierdziłem, że ta dziewczyna jest ładna, że podobają mi się jej oczy, dziwnie żarliwe oczy, prosty, nieco przykrótki nosek, usta, teraz kiedy przestała zaciskać je w napięciu, jakieś dziecięco bezbronne.

— Czy pan rzeczywiście jest niewierzący — zapytała — czy to tylko poza?

— Staram się nie pozować. Trudno mi odpowiedzieć pani. W co nie wierzący?

— W religię. W wiarę. W to wszystko, na co dziś patrzyliśmy.

Mówiła tak bardzo serio, aż mnie korciło, żeby zażartować. Przemogłem się jednak.

— Odrzućmy to brzydkie słowo „niewierzący”! Po prostu jestem człowiekiem nie nastawionym religijnie. Nie mógłbym w żadnym razie przestrzegać zasad narzucanych w imię religii. Zawsze we wzniosłe zasady moralne wplatanoby oczywiste mity. Wiara? To już co innego. Pokładam wiarę w wielu rzeczach. Misteria dzisiejsze? Przyznam, że przeszły moje oczekiwania.

Mówiłem i mówiłem, chociaż wcale nie zamierzałem wygłaszać tak długiej oracji. Dziewczyna słuchała. Wyraz oczu miała nieodgadniony.

— To są zwyczajni ludzie z krwi i kości — powiedziała. — Szewcy, rymarze, snycerze i lutnicy. Nie są zawodowymi aktorami. Ale dzisiaj sprawili, że ta opowieść, w którą wierzyłam przez całe swoje życie, stała się dla mnie realna, jak nigdy dotąd. . . chociaż zawsze była bardzo realna.

— Pani wielkie szczęście, że zna pani opowieści, w które potrafi pani wierzyć.

Potrząsnęła ramionami zbyt raptownie, żeby dało się ten jej ruch uznać za wzruszenie ramion.

— Nie chciałam wprowadzać takiej uroczystej nuty. Proszę mi wybaczyć. Powinniśmy na czas antraktu oderwać się od misteriów. O czym będziemy rozmawiać?

— O pani.

Parsknęła śmiechem. Mile zabrzmiał ten śmiech.

— Temat raczej ograniczony. I wie pan o mnie już sporo. To jest moje pierwsze duże zadanie dziennikarskie, boję się, że nie podołam. Jeżeli wydawałam się panu dziwna pierwszego dnia w autobusie, to właśnie dlatego. Odstawiałam ważniaczkę, ale nie wiedziałam, czy dobrze.

— Świetnie. Tylko może zbyt nerwowo. Co by pani robiła, gdyby miała pani wolny wybór, gdyby mogła pani wybrać sobie pracę?

Czoło jej się zmarszczyło lekko i zaraz wygładziło.



— To właśnie, co robię. Szalenie lubię zbierać i badać fakty, a już w redakcji „Globusa” jest tego co nie miara. W życiu swoim nie miałam przyjemniejszej pracy. Spodziewam się, że zasłużę na jakieś następne zlecenie.

— I znowu ma pani szczęście — powiedziałem.

— Tak. Duże. A pan?

— Pod wieloma względami mam.

— Więc też pod wieloma względami pan nie ma, to oczywiste. Chciałabym usłyszeć o obu stronach medalu: tej dobrej i tej niedobrej.

— Znudziłoby to panią.

— Nie. Pan zapomina, że ja szalenie lubię badać fakty.

Nagle dla jakiejś zgoła dziwacznej przyczyny zapragnąłem popełnić tę największą nedorzecznosc, opowiedzieć Joan Terrill o sobie.

— Przedstawię pani obie strony medalu pokrótce — powiedziałem. — Jestem malarzem. To jest szczęście. Nigdy nie chciałem na serio być kimkolwiek innym. Pragnę malować portrety, ale malować je po swojemu. A to przeważnie ludziom nie odpowiada. Niedobra strona medalu.

— Jakie portrety pan by malował?

— Same głowy. Na płótnie, ale wyglądałyby jak ze starego brązu. Zrobiłbym, na przykład, pani portret tak, jak zrobiono by pani podobiznę w średniowieczu. Mogłaby pani zobaczyć, jak by pani wyglądała w brązie czy w kamieniu na portalu jakiejś katedry.

— Boże świąty! — Rozwarła oczy szeroko. — Rozumiem, dlaczego ludziom może to nie odpowiadać.

— W gruncie rzeczy pani nie rozumie. Pani uroda nic by nie ucierpiała. Te twarze na galeriach chóru i w różnych zakątkach starych katedr to cudowne twarze, zrobione na ogół o wiele lepiej niż pretensjonalne portrety olejne, którymi ludzie się zachwycają.

Parsknęła znowu śmiechem.

— Ja nie wierzę w tę pana niedobrą stronę medalu. Pan wie, czego pan chce. Ale twarze z brązu! Jak się to stało, że pan wybrał sobie taką specjalność?

— Człowiek nie wybiera. Rozwija się w nim jakieś zainteresowanie i zaczyna, go pochłaniać. Znam malarza, doskonałego malarza, który maluje koniki na karuzelach. Robi to tak znakomicie, że wydobywa z nich indywidualność i znaczenie, czasami bardzo dziwne znaczenie.

— Nie wiem, czy panu wierzyć — powiedziała. — Koniki na karuzelach?

— Pani nigdy tak naprawdę nie przyjrzała się żadnemu. Żadnemu dobremu. Najwspanialsze karuzelowe konie na świecie są niemieckie, tylko że już znikają. Ten mój przyjaciel jeździ po całych Niemczech, żeby je wyszukiwać... a jest Anglikiem, który Niemców nienawidzi.

Nie o takich rzeczach rozmawia się zwykle z dziewczynami i sądząc z wyrazu jej twarzy, ona za mną nie nadażała. Rozejrzała się po sali i znów spojrzała na mnie.

— Czy pan jest żonaty? — zapytała.

— Byłem.

— Był pan?

— Tak. Moja żona przeprowadziła rozwód ze mną.

— Och!

W tym jej „och” kryło się wiele. Dla niej, katoliczki, samo słowo „rozwód” musiało być nieprzyzwoite. W dodatku sformułowałem to tak — zresztą zgodnie z prawdą, bo przecież nie ja chciałem rozwodu — że na pewno wydałem jej się godnym potępienia mężem stwierdzającym swoją winę. Żeby naprawić wrażenie, trzeba by raczej długich wyjaśnień, na które nie było miejsca w wątej znajomości z panną Joan Terrill. Ostatecznie zadecydowały kościelne dzwony. Antrakt skończył się.

— Chwałę sobie ten obiad — powiedziałem — i towarzystwo przy obiedzie również. Zjemy dziś razem kolację?

Zawahała się.

— Nie możemy tego przełożyć na kiedy indziej?

— Możemy, naturalnie.

Jakiś cień był pomiędzy nami, kiedy labiryntem wąskich uliczek wracaliśmy do amfiteatru. Wzgórza rysowały się niewyraźnie pod niebem szarym od chmur. Bez trudu odszukaliśmy nasze miejsca i usiedliśmy. Publiczność czekała w napięciu, które mi się udzieliło. Odczuwałem je każdym nerwem.

W pierwszej scenie drugiego aktu wystąpili Annasz, Ezdrasz i kilku innych wrogów Chrystusa. Uważali Go za fałszywego proroka i za szalberza. On zagrażał ich stanowiskom, wygodzie, ale nie tylko dlatego źle Mu życzyli.

Wszedł Judasz syty pochwał, skoro wykonał dobrze to, za co dostał zapłatę. Chrystusa już pojmano, więc Annasz mógł mu powiedzieć:

— Jeszcze przed świętem Galilejczyk umrze!

Judasz wzдрыgnął się. Dotychczas pojęcia nie miał, że Jezusowi Chrystusowi grozi śmierć. Myślał, że chodziło o pojmanie chwilowe, żeby Chrystus nie wywołał poruszenia wśród ludzi w czasie Paschy. Zamrugął i potrząsnął głową.

— Umrze? Umrze? — zapytał. — Nie! Ja tego nie chciałem. Nie chcę. Nie po to przecież wydałem Go wam.

Annasz odprawił Judasza wyniosłym gestem.

— Tyś jednak nam Go wydał. Co dalej — powiedział — to już nasza rzecz.

Ci w komnacie patrzyli z niemą pogardą, i wprost czułem, jak Judasz skręca się wewnętrznie, wodząc po nich wzrokiem. Jeszcze raz aktor-Judasz okazał się wspaniały. Człowiek otoczony lekceważącymi go wrogami, nędzne narzędzie już bez znaczenia dla tych, którzy nim się posłużyli. Wyraził swój protest na próżno.

Nie mógł odwołać tego, co uczynił, ani odwrócić kierunku wydarzeń, jednakże w tej bezradności był wzruszający.

Nastąpiły sceny sądu zbyt pełne szczegółów, kiedy Chrystus w najbardziej dramatycznej ze wszystkich ról, roli człowieka niechybnie skazanego, stał wobec oskarżycieli. Potem Judasz wrócił na chwilę, cisnął trzydzieści srebrników ludziom, którzy go przekupili, i sztywno wyszedł. Jego monolog przed samobójstwem był najdłuższym przemówieniem w misteriach. Mówił chodząc i w jego głosie słyszało się grzmoty.

Szepnąłem do Joan Terrill:

— Jestem dumny z tego, że znam go osobiście.

Spojrzała na mnie przerażona. Tak. porwało ją to przedstawienie, że cofnęła się w czasie o dwa tysiące lat. Skądże więc ja mogłem znać Judasza i jeszcze być dumny ze znajomości z nim? Machnąłem na to ręką. Ona duchem przebywała teraz za daleko, żeby jedno bodaj moje słowo do niej dotarło.

Akcja sztuki, przebiegająca od Kajfasza do Heroda i do Piłata, była ciasno utkanym dramatem, ale zanadto mnie nie interesowała. Joan Terrill siedziała pochylona ku scenie, nie widząc nic poza tym, co się tam rozgrywało. Kiedy Chrystusa ubiczowanego, z krwią na rękach i twarzy, wprowadzono na balkon Piłata, rozplakała się. Motłoch krzychał:

— Krew Jego na nas i na dzieci nasze!

Pomyślałem o Ludwigu Lorensonie. Ludwig miał rację. Ten okrzyk oznacza: „Na nas wszystkich i na dzieci nas wszystkich”.

Nastąpiła krótka przerwa, kurtyna opadła, po czym podniosła się znowu. Zdrętwiałem. Jeszcze jeden żywy obraz — aktorzy zastygli w swoich rolach.

Rzymscy żołnierze stojąc półkolem usiłovali odepchnąć tłum, ale tłum im się opierał. Chrystus stał pośrodku dziedzińca, krew miał na pelerynie, krew na włosach. Nogi lekko rozstawił. Za sceną pod gołym niebem było niskie wzgórze. Balkon Piłata z prawej strony, tłum z lewej strony poniżej. Chrystus stał w połowie tej przekątnej, tam, gdzie zwykle malarz umieszcza postać centralną na obrazie. Mężczyźni, kobiety i dzieci wygrażali pięściami, schylali się po kamienie, żeby je rzucić.

To był obraz Bonifacego Rohlmanna. Dokładnie w każdym szczególe.

Aktorzy poruszyli się. Scena ożyła, rozbrzmiały obelgi. Odruchowo, niedorzecznie poszukałem siebie w trzecim rzędzie tłumu. Ale tam byli tylko statyści tworzący motłoch, który rzymscy żołnierze odpychali, żeby zrobić przejście. Wyprowadzili Chrystusa ze sceny i obraz zniknął.

Jakże to możliwe? — zastanawiałem się. — Jakże to w ogóle możliwe?

Chrystus dźwigał swoje brzemie, po czym Go ukrzyżowano. Wisiał na krzyżu przez dwadzieścia minut. Ostatecznie zmartwychwstał i aniołowie chórem śpiewali radośnie. Śledziłem to tylko częścią umysłu. Kiedy wstałem i schodziłem po

stopniach amfiteatru, prawie się chwiałem, oszołomiony, odrętwiały psychicznie jak wszyscy, którzy szli ku wyjściu. Joan Terrill zajrzała mi w oczy.

— A jednak coś to dla pana znaczyło? — zapytała.

Odetchnąłem głęboko.

— Tak — odpowiedziałem. — Z pewnością.

Mówiliśmy, ona i ja, dwoma odrębnymi językami, nie mogliśmy się z sobą porozumieć, ale to nie sprawiało różnicy, żadnej różnicy.

## ROZDZIAŁ DRUGI

Ten ostatni wieczór obchodzono w miasteczku Friedheim jak ostatki. Dzień był długi, dzień wielkich wzruszeń, smutku, radosnego triumfu. Zbawiciel został pojmany, umęczony, zabity. I powstał z martwych. Mieszkańcy Friedheim, ludzie prości, wieśniacy, instynktownie w swoje doznania emocjonalne wnosili poprawki. Jutro niedziela i napłyną turyści. Oficjalna premiera misteriów w poniedziałek rozpocznie sezon przedstawień mający trwać aż do końca lata. W tym okresie, kiedy obcy będą we Friedheim, żeby oglądać Mękę Pańską, mowy być nie może o żadnych zabawach, tańcach, „pogańskich swawolach”. Tylko w ten wieczór sobotni można poszaleć.

Kolację większość osób miała zjeść opóźnioną i byle jaką. W sali restauracyjnej mojego hotelu panował tłok, przy stolikach popijano piwo. Rozmawiano bardzo głośno i wesoło. Trzech muzykantów grało skoczne melodie, młodzi i starzy tańczyli, gdziekolwiek znalazło się trochę miejsca. Widziałem aktorów. Piłat gawędził z dwiema kobietami, wysoki, urodziwy, jeden z nielicznych bez brody. W życiu prywatnym Poncjusz Piłat był farmaceutą, właścicielem apteki. Kajfasz siedział w towarzystwie trzech osób i śmiał się, mężczyzna o wiele przystojniejszy, niż wydawał się na scenie.

Przed hotelem, przy fontannie z posążkami trojga dzieci grał tylko jeden skrzypek. Tańczyło wokół niego kilka młodych par. Ale na placyku przed hotelem „Die Geiger” tańczyła większa gromada i przyglądał się jej staruszek ze skrzypcami, ten z brązu z 1667 roku; przygrywały im trzy instrumenty. Wszedłem do restauracji, gdzie nastrój panował jeszcze bardziej ożywiony niż w „Bahnhof” Jediną postacią z misterium, którą rozpoznałem, był Nikodem.

Joan Terrill siedziała w małej łoży tak, jak zobaczyłem ją poprzednim razem, i z tymże samym towarzyszem, czyli z ukochanym apostołem. Oboje nie widzieli świata poza sobą.

Na ulicach wszędzie byli ludzie, niektórzy malowniczo poprzebierani. Jeszcze jedna gromada tańczyła przy fontannie przed ratuszem. Grał tam kwartet smyczkowy.

Widowisko efektowne i nawet ciekawe, ale ja czułem się aktorem bez roli. Nie miałem z kim szaleć w te ostatki i, gdybym w jakiegokolwiek zabawie wziął udział, sam sobie wydawałbym się śmieszny.

Cóż mogłem zrobić? Poszedłem do „Eisenhut”. W długiej, słabo oświetlonej sali wisały chmury dymu tytoniowego, gęstniał odór tytoniu i piwa. Mężczyźni i kobiety siedzieli przy długich stołach, nad kuflami, większość z nich śpiewała, ku memu zdumieniu, przeważnie z oczami przymkniętymi.

Piosenkę „Zu Augsburg steht ein hohes Haus” słyszałem wchodząc. Zobaczyłem Judasza przy jednym z tych długich stołów, śpiewającego wniebogłosy jak oni wszyscy. Miał swój wielki wieczór, stworzył na scenie kreację godną zapamiętania i teraz bawił się w gronie przyjaciół. Usiadłem przy małym stoliku pod ścianą. Długie stoły były dziś oblegane. Kufel z piwem ktoś postawił przede mną prawie zaraz i ledwie zacząłem pić, poczułem swoją przynależność do tego śpiewu.

Śpiewali: „Ich bin a Steirerbua”, kiedy Judasz klapnął na krzesło obok mnie. Twarz mu lśniła od potu.

— Człowiek nie powinien pić sam. To dowód upadku — oświadczył. — Mój przyjaciel Bruno mi powiedział, że pan tu jest.

— Pan dzisiaj zajęty. Oblewa pan swój triumf. Powinien pan swobodnie bawić się z przyjaciółmi, a nie z obcymi.

— Pan to mój przyjaciel — ryknął. — Jestem dumny, że pan to mój przyjaciel. Spodobały się panu misteria?

— Bardzo. Były niespodzianką dla mnie pod niejednym względem. Pańska żona mówiła mi, że pan jest wspaniałym aktorem. Miała rację. Dwaj najwięksi aktorzy w tym przedstawieniu to Chrystus i pan.

Kufel czarodziejskim sposobem zjawił się przed Judaszem, kiedy tylko on przysiadł się do mnie. Nie było to jego pierwsze piwo w ten wieczór, ale potraktował je tak, jakby było pierwsze. Moja pochwała ucieszyła go i zakłopotała.

— Lubię swoją rolę — powiedział. — Nieznajomi będą mnie nienawidzić. Poniektórzy głupi ludziska będą atakować mnie, obrażać, unikać.

— Pan przesadza.

— Nie, nie! Może być nawet gorzej. Niech pan zapyta Paula Brockmana. On teraz gra Kajfasza. Dziesięć lat temu był Judaszem. I nigdy już Judasza nie zagra. — Uśmiechnął się szeroko. — Ale ja tę rolę lubię. Może w głębi serca zły ze mnie człowiek. . .

— Może nie. Po prostu znakomity aktor.

Miałem go przed sobą, życzliwego, urodzonego w tym dziwnym świecie Friedheim, więc nie zdołałem oprzeć się pokusie, żeby zadać pytanie, które wprost wyrwało mi się z ust.

— Judaszu — powiedziałem. — Proszę mi wybaczyć, że pytam o to właśnie, ale to dotyczy misteriów. Opowiadałem panu, jak wygląda obraz Bonifacego Rohlmana, który widziałem w Nowym Jorku. Pan mówił, że pan zna tę scenę.

I znał pan, naturalnie. Ona jest w waszych misteriach. Skąd się w nich wzięła? Dokładnie taka, jaką Rohlmann namalował. Miałem czas jej się przyjrzeć, bo aktorzy przez całą minutę trwają bez ruchu.

— Nie zastanawiałem się nad tym. Pewnie ten malarz widział misteria.

— Rzeczywiście? Friedheim po raz pierwszy wystawiło misteria w roku tysiąc sześćset czterdziestym drugim. Rohlmann miał wtedy dwadzieścia trzy lata i prawdopodobnie już wyjechał stąd. Tamto pierwsze przedstawienie było z pewnością bardzo prymitywne, nie takie, jak to dzisiejsze. Następne misteria w roku tysiąc sześćset pięćdziesiątym drugim chyba nie były dużo lepsze. On nie skopiował tego z przedstawienia. Przedstawienie zapożyczyło to od niego.

Twarz Judasza lśniła od potu coraz bardziej.

— Muszę się nad tym zastanowić — rzekł. — Niech pan przysiadzie się do nas.

— Nie. To dziś pana święto.

Wstał i poklepał mnie swoją ciężką ręką po ramieniu.

— Nie mogę się zastanowić nad tym pana pytaniem, jeżeli pana przy mnie nie będzie. Musi pan przy mnie być. Moim przyjaciołom przypadnie pan do serca.

Ruszyłem z nim przez salę i zdumiony stwierdziłem, że ci ludzie nadal śpiewają. Myśmy rozmawiali wśród tych śpiewów, wcale ich nie słysząc. Kompania przy stole Judasza śpiewała także, trącała się kufłami. Dokonanie prezentacji byłoby niedorzecznością. Judasz przyniósł krzesło od sąsiedniego stołu i wcisnął je w nie istniejącą przestrzeń pomiędzy jakimś mężczyzną i kobietą.

— Zna pan moją żonę — powiedział. — Poznajcie się teraz lepiej.

Spojrzałem w łagodne niebieskie oczy Józefowej Paskert. Przestała śpiewać, kiedy mąż tak bezceremonialnie narzucił jej moje towarzystwo. Z wysiłkiem przypomniałem sobie, jak ona się nazywa. Wolno mi było myśleć o niej jako o pani Judaszowej, ale raczej nie mógłbym tak zwracać się do niej.

— Mówiła pani prawdę o swoim mężu — powiedziałem. — To wspomniały aktor.

— Tak. Dzisiaj pokazał, co potrafi, ale przed wejściem na scenę miał tremę.

— Miał tremę? Trudno mi uwierzyć.

— Jego nikt nie zna, tylko ja. Jest bardzo skromny. I do tej roli w misteriach przywiązuje ogromną wagę.

— Z pewnością. Wkłada w to całą duszę.

Śpiew nam nie przeszkadzał, rozmawialiśmy półgłosem. Byłem rad, że sprawa przyjęła taki obrót. Przychodząc do „Eisenhut” raczej wątpiłem, czy Judasz zechce mnie w ogóle zauważyć w ten wieczór. Nie wszyscy przez cały czas śpiewali. Ludzie palili, pili, jedli przekąski z półmisków stojących na stole. Ktoś zapytał mnie, jak mi się podobało przedstawienie, ktoś inny zamienił parę słów z żoną Judasza. Jeżeli się już miało miejsce przy tym stole, należało się do kompanii. Dostałem znowu kufel piwa — który z kolei, nie wiedziałem. Pamiętałem tylko

mgliście, że kilka już wypilem. Śpiewano „In München steht ein Hofbräuhaus”. Znałem tę piosenkę z dawnych czasów, więc przyłączyłem się do chóru.

— To dobrze, że pan śpiewa nasze pieśni — powiedziała pani Paskert.

— Pomimo że śpiewam je źle?

Roześmiała się, ale skłamała, że śpiewam pięknie. Tymczasem działo się coś. Kelnerzy podawali talerze z jakąś niemożliwą do opisaną potrawą niemiecką, mięsem pokrajany z jarzynami w brunatnym sosie. Wyglądało to strasznie, a smakowało wprost niebiańsko. Rozmawiałem z żoną Judasza i wszystko, cokolwiek mówiliśmy, zatracalo realność. Chwilami doznawałem wrażenia, że śnię, że nie jestem naprawdę w tej gospodzie, w tym miasteczku, w tym kraju — w tej wesołej kompanii. Była muzyka skrzypiec i od czasu do czasu komuś, kto miał dobry głos, przychodziła chętka zaśpiewać solo. Pozwalając mu na to, chór uciśzał się, ale potem nigdy nie następowały brawa. Ci ludzie znali się nawzajem zbyt dobrze.

W czasie jednego z takich solowych śpiewów Judaszowa zapytała mnie po cichu:

— Pan się interesuje tym malarzem, Rohlmannem?

— Bardzo.

— Dziwne, że pan się nim interesuje. Mój mąż poda panu tylko te dane, które ma u siebie w aktach. Nic z tego, co jest u księdza.

— Wiem. Z księdzem nie rozmawiałem.

— To by panu nic nie dało. Pan nie jest katolikiem?

— Nie.

— Szkoda. Powinien pan się nad tym zastanowić. Młody pan jest i obiecujący. To okropność, potępienie wiekuiste.

— Nie wątpię, że okropność.

Ona była tak uroczo bezpośrednia, tak serdeczna i współczująca, tak niezbycie pewna swojego wyznania wiary, że po prostu musiało się rozmawiać z nią na jej płaszczyźnie, szanować ją i jej przekonania.

— Ale skoro pan się interesuje Rohlmannem — powiedziała — warto, żeby pan poszedł do kościoła i obejrzał tam obrazy. Jeden z nich może panu coś powie.

— Czy to znaczy, że w kościele jest jakiś obraz Rohlmanna?

— Tego nie mówiłam.

— Dziękuję. Zwiedzę kościół.

Zagadnął ją sąsiad z prawej strony, odwróciła się więc do niego. Już nie miałem ochoty pić. Po tej pożywej kolacji niejasna wzmianka o tajemniczym obrazie w kościele wystarczyła, żebym zaczął uważać, ile piwa piję. Kiedy żona Judasza odwróciła się znowu do mnie, zapytałem ją już tylko o to, o co zapytać mi wypadło.

— Przepraszam panią, ale jak mogę zapłacić za swoją kolację i piwo?



Uśmiechnęła się. Ta kobieta o bujnych kształtach i szerokiej twarzy uśmiech miała delikatny, dziewczęcy.

— To proste — odrzekła. — Nikt, kiedy jego bliźni bawią się wesoło, nie powinien trzymać się z daleka, dlatego że mu brak pieniędzy. Czasami brak pieniędzy nam wszystkim, nicht wahr?

— To prawda.

— To jest święta prawda. Widzi pan na końcu stołu pudełko? Taką skarbonkę? Może pan wrzucić tam pieniądze. Każdy tak robi. Człowiek wie, na ile go stać. My jesteśmy uczciwi. Nie ma żadnych nadużyć.

— Dziękuję — powiedziałem.

Dobry system, system godny podziwu. Wsunąłem w otwór tego pudełka sumę pokrywającą w pełni rachunek trzech osób, czy też tak mi się wydawało, i to chyba załatwiło sprawę tych, którym brak było pieniędzy. Judasz dobrze już odczuwał skutki wypitego piwa, ale nie miał zamiaru wracać do domu. Z całego serca powiedział mi dobranoc i przez zatłoczoną salę odprowadził mnie do drzwi. Prawie wszyscy śpiewali znowu, ich głosy leciały za mną, kiedy wyszedłem w mrok nocy.

Gwiazdy wisały nisko, księżyc przysłaniała chmura. Ludzie rozeszli się po domach i na uliczkach panował spokój. Tylko zza jasnych okien z zasuniętymi storami dawała się słabo słyszeć muzyka. W wielu domach najwidoczniej urządzano sobie zabawy prywatne. Przy fontannie przed ratuszem już nie było kwartetu smyczkowego i tańczących. Z „Die Geiger” buchały światła i rozbrzmiewała muzyka, ale brązowy staruszek przy fontannie, trzymający z uszanowaniem swoje skrzypce, patrzył teraz na pusty plac. Ktoś tam siedział samotnie na kamiennej krawędzi basenu. Joan Terrill. Nie widziała mnie, dopóki nie podszedłem i nie zapytałem:

— Co pani tutaj robi sama?

Podniosła wzrok, przerażona.

— Tu jest cicho. Chciałam pozbierać myśli.

Mogłem zrozumieć, że miała dosyć hałasów w hotelu. W moim hotelu zapewne też było nadal gwarno. Ta noc nie sprzyjała ani spokojnym snom, ani namiętostom. Dziewczyna wstała powoli.

— Chciałam się przejść — powiedziała — ale niektórzy z tych ludzi zanadto się rozchulali. Bałam się. Pan jest bardzo zmęczony? Nie poszedłby pan na spacer?

— Spacer dobrze mi zrobi. Dokąd pani chce iść?

— Na wzgórze, żeby zobaczyć Friedheim w kształcie gwiazdy.

— W nocy chyba tej gwiazdy nie widać.

— Możemy spróbować.

Coś ją spotkało. Coś jej nie wyszło z ukochanym apostołem. Jeżeli spacer miał pomóc, chętnie służyłem jej towarzystwem. I tak spać bym nie mógł. Już minęło mi podchmielenie i senność po piwie, nadal jednak utrzymywał się ów nastrój nierealności, jaki ogarnął mnie w „Eisenhut”. Księżyc uciekł za chmury,

kiedy wchodziliśmy na wzgórze, i srebrzysta promienność też wydawała mi się nierealna.

Doszliśmy do miejsca, w którym rysowałem, i odruchowo popatrzyłem, czy nie ma mojej przyjaciółki, Krasuli. Oczywiście nie było jej. Żadna z krów w okolicach Friedheirn, czy gdziekolwiek indziej, nie oddaje się nocnemu życiu. Ruchem ręki wskazałem miasteczko.

— Proszę!

Tej nocy miasteczko nie miało kształtu gwiazdy. Dwa z ramion wchłonęła ciemność, jedno spowijała mgła. Dwa pozostałe wyraźnie zarysowane trójkąty można by przy dobrych chęciach uznać za ramiona, ale ogólnemu efektowi brakowało dramatyczności.

— Muszę to zobaczyć w świetle dziennym.

— Tak.

Joan Terrill usiadła na głazie, tym samym, z którego ja po raz pierwszy zauważyłem gwiazdzisty kształt Friedheirn. Nie zmieściłbym się obok niej, więc usiadłem u jej stóp. W nastroju była dosyć dziwnym, ale co mnie to obchodziło? Pozostawiłem jej ster rozmowy.

— Mogłabym mieszkać w tym miasteczku — powiedziała. — Jest miłsze niż wszystkie miasta, w jakich mieszkałam. Ludzie tutaj są dobrzy. Pobożni, zacni ludzie.

— Owszem. I jacyś odrębni w dodatku. Odrębni ze swoją przeszłością, swoimi nawykami, poglądem na życie, doświadczeniami z czasów dorastania.

— Tak. Tak, ma pan rację. To by tłumaczyło wiele rzeczy, prawda?

— Nie wiem. Zależy, co by się chciało tłumaczyć.

Milczała, patrząc w dół na Friedheirn. Znów pomyślałem tak jak przedtem, że pod uroczą powierzchnią tego miasteczka, pod ukośnymi czerwonymi dachami zdobnymi w staroświeckie przyczółki i facjatki jest przecież wiele tego, co ludzkie: nienawiść, zazdrość, gniew i fałsz, i oszukaństwo. Nigdy piękno nie kroczy ani nie stoi samo: to niemożliwe. Tam za tymi scenicznymi dekoracjami ludzie nie są wcale tacy, jacy się wydają.

— Myślę, że niektóre kobiety rozumieją mężczyzn — ni stąd, ni zowąd powiedziała dziewczyna.

— Ja myślę, że wszystkie rozumieją mężczyzn, i to już od kołyski. I że tylko my, mężczyźni, jesteśmy tępi.

— Nie, to chyba jest jakaś sprawa płci. — Z łokciem na kolanach podpie-rała podbródek zaciśniętą pięścią, patrzyła gdzieś przed siebie, mówiąc raczej w przestrzeń niż do mnie. — Niektórzy mężczyźni rozumieją kobiety świetnie. Przerazają mnie. Bo nie jestem pewna, czy sama siebie rozumiem.

— Nikt z nas nie ma takiej pewności.

— A pan?

— Też nie.

Wiedziałem, że ona stara się nie zbaczać z tej prostej, jaką nieraz wytyczamy sobie po alkoholu. Trochę za dużo wypła wina czy czegoś tam, co piła wieczorem. Rozmawiała, wchodziła pod górę, ale myślała i rozumowała inaczej niż na trzeźwo. Czy może nie inaczej. Może myśli jej biegły swoim normalnym torem, tylko że hamulce nie działały, więc nie ukrywała, jak bardzo jest zdezorientowana.

— Coś ze mną nie jest w porządku — powiedziała. — Lubię ludzi, byleby nie zbliżali się do mnie za bardzo. Odsuwam się wtedy. Czasami uciekam. Znam mężczyzn. Ten i ów mi się podoba. Temu i owemu ja się podobam. Ale nie dopuszczam, żeby cokolwiek się rozwinęło. Nie dopuszczałam na studiach: nigdy i nigdzie.

— Dlaczego?

— Zawsze chciałam mieć tylko jednego jedynego człowieka, jedno jedyne przeżycie. Wolałam czekać. Ja nie mogłam być przypadkowa.

Przemóżny nastrój całkowitej nierealności ogarnął mnie znowu. Podniosłem wzrok na tę dziewczynę. Nie patrzyła na mnie. Patrzyła w stronę miasteczka, ale chyba gdzieś powyżej, gdzieś poza Friedheim. Twarz miała białą w księżycowej poświacie, rysy wyraźne i czyste. To była śliczna dziewczyna.

— Ten jeden jedyny zawsze stoi na końcu ogonka — powiedziałem — a nie na początku. Uświadamiamy sobie stopniowo, czego chcemy, na podstawie doświadczeń z pomniejszych obiektami... jak pani to określa, przypadkowymi. Rzecz w tym oczywiście, żeby się nie wykoleić uprawiając, że tak powiem, sztukę dla sztuki.

Odwróciła wtedy głowę.

— Naprawdę tak jest?

— Nie wiem. Mam nadzieję, że tak. Sam szukam czegoś po omacku. Co sprawiło, że pani wyrosła taka? Czy też pani nie wie?

Podpierając podbródek dłonią, znów spojrzała w stronę miasteczka.

— Wiem. Może nie potrafię ująć tego w słowa. Mój ojciec jest księgowym: zrównoważony, odpowiedzialny. Człowiek troszczący się o swoją rodzinę. Bez wyobraźni. Moja matka pisze wiersze. Przekonana, że to jest poezja. Raczej ma wyobraźnię. Nie zdaje sobie sprawy, że zawsze myśli tylko o sobie. — Dziewczyna poruszyła się na głazie. — Z takich jestem rodziców. Oboje są bardzo pobożni, zacni. Mam coś z nich obojga, po trochu z ojca i z matki.

— Uchyliła pani jakieś drzwi — powiedziałem — ale tylko je pani uchyliła. Nie mogę widzieć pani wyraźnie. Jest pani jedynaczką?

— Nie. Mam brata i siostrę. Dla brata nigdy nie byłam dorosła, zawsze byłam po prostu dzieckiem. Z siostrą przyjaźniłam się. Nosiłam jej sukienki, ona moje. Jest o trzy lata starsza ode mnie. Znałam jej przeżycia, to znaczy wiedziałam o nich. Nie chciałam ich dla siebie, nie chciałam nic w tym rodzaju. Może to mnie poniekąd tłumaczy.

— Owszem.

Odwróciła głowę.

— Nie powinnam była mówić tego panu, nie w taki sposób. Moja siostra nigdy nie robiła rzeczy naprawdę złych. Tyle, że miała pewne przeżycia z chłopcami, które ją przerażały. Ja nie chciałam, żeby mnie ktokolwiek przerażał w taki sposób, i nadal nie chcę. Może traktuję wszystko zbyt rzeczowo, czy może z nadto biorę sobie wszystko do serca. Nie wiem. Moja siostra wyszła za męża. Jest szczęśliwa. Ma dwoje dzieci.

— Nie chce pani mieć tego, co ona?

— Czasami chcę. Czasami nie chcę.

— A czego pani zawsze chce?

Zwlekała z odpowiedzią. Już myślałam, że puściła to pytanie mimo uszu. Ale w końcu odpowiedziała. Patrzyła gdzieś w przestrzeń, nie na mnie.

— Chcę należeć do świata, w którym żyję. Nie chcę być taka jak inni, ale chcę, żeby każdy mnie aprobował taką, jaka jestem. Wiem, że inni uważają mnie za nudną i bezbarwną, drobnomieszczańską. Słyszałam, jak o mnie mówią. Ich nawet nie obchodzi, czy ja słyszę.

— Pani nie chce być taka jak inni — powiedziałem powoli. — Może to jest ten klucz. Pani ich potępia, a wymaga, żeby oni aprobowali panią. Czy może się mylę?

Odwróciła głowę i spojrzała na mnie.

— Pan ma prawie rację. Prawie.

Rozwarła dłonie i zamknęła mocno, zacisnęła pięści. Znow patrzyła na miasteczko.

— Pan nie wyrósł w rodzinie na wskroś rzymskokatolickiej — rzekła. — A ja tak. W tym jest jakieś piękno, bardzo dziwne poczucie bezpieczeństwa, ale i lęk. Dorasta się z przekonaniem, że mnóstwo rzeczy to grzech, grzech powszedni, jeżeli nie śmiertelny. Nie wolno grzeszyć. Nie wolno dzielić z nikim jego grzechów. Jako postawa życiowa to jest dobre, chwalebne, chroni od wielu kłopotów. A przecież niedzielenie czegoś z kimś już jest, jak pan powiedział, dezaprobata. Nie wolno jednak dzielić grzechów. Tańczy się w innym rytmie. Ma się przeszkolenie, przygotowanie, wierzy się. Co można poradzić?

Było w niej jakieś napięcie, coś desperackiego. Widziałem to na jej twarzy, w ruchach jej rąk, słyszałem w głosie.

— Nie wiem — powiedziałem. — Większość nas w coś wierzy. Większość nas żyje według jakichś zasad. Może nie myślimy o tych zasadach w kategoriach religii. Myślimy w kategoriach przyzwoitości, dobrego wychowania, honoru, tych wielu nakazów, będących pseudonimami dyscypliny.

— Pseudonimy dyscypliny! — powtórzyła. — Podoba mi się to.

I znow doznałem uczucia, że ta mała przygoda w obrębie dużej zdarza się nie mnie, tylko jakiejś projekcji mojej jaźni, że to nie ja sam jako taki jestem w miasteczku Friedheim w gwiazdzistą noc, siedzę na zboczach wzgórz i mam

przy sobie dziewczynę. Właśnie tę dziewczynę. O ile mi było wiadomo, ona studiowała przez cztery lata w college'u, po czym wyjechała, żeby daleko od swego miasta rodzinnego, daleko od swej rodziny zrobić karierę. Jej droga do kariery to praca w cynicznym, przemądrzałym zespole redakcyjnym takiego magazynu jak „Globus”. Wprost nieprawdopodobne.

— Pani jest wzburzona — powiedziałem. — Coś stało się dziś wieczorem?

— Nic.

Joan Terrill wrzuciła to jedno słowo w sadzawkę ciszy. Nie komentując pozwoliłem, by utonęło. Wytrzymała milczenie może przez dwie minuty, a potem odwróciła głowę do mnie.

— Pan myślał, że co się mogło stać?

— Nie wiem. Rozszyfrowywała pani miasteczko z apostołem Janem. Ale kiedy przechodziłem, siedziała pani przy fontannie sama, jego nie było.

— On nie jest apostołem. Jest snycerzem i w sezonie misterii aktorem. Nic się nie stało. Zupełnie nic.

Podniosła się z głazu i odeszła. Ruszyłem za nią powoli, nie próbując zrównać z nią kroku. Doszła do wąskiej ścieżki prowadzącej w dół do miasteczka i zaczęła na mnie.

— Pan jest bardzo cierpliwy — powiedziała.

— Pomyłka. Raczej skłonny do niecierpliwości.

— Nie wierzę. — Szła teraz za mną. — To dziwne. Już w pierwszej chwili w autobusie, kiedy ustąpił mi pan miejsca przy oknie, czułam, że mogę ufać panu. Jakoś nie był pan mężczyzną: pan był kimś życzliwym, kimś, na kim można polegać.

— Wolałbym raczej być mężczyzną, jeżeli pani pozwoli.

Gwałtownie machnęła ręką.

— Wiem. Pan jest mężczyzną, oczywiście. Chciałam tylko powiedzieć, że w moim życiu nie odgrywa pan roli mężczyzny i że pan mnie nie przeraża.

— Komplement wątpliwy, ale przyjmuję go.

Przeszła kilka kroków.

— Niedobrze to sformułowałam — powiedziała. — Przepraszam. Ale jeszcze bardziej pogorszyłabym sprawę, gdybym próbowała to wyjaśniać.

Nie musiała mi wyjaśniać tego. Ja byłem dla niej poganinem, niewierzącym. Ludzie religijni, zwłaszcza katolicy, traktują nas niewierzących jak istoty spoza ich klubu, które, owszem, mają prawo do tego, żeby im okazywać uprzejmość i przychyłność, ale które uznaje się tylko do pewnego stopnia.

Nagle podniosła głowę.

— Dlaczego żona rozwiodła się z panem? — zapytała cicho.

Zaskoczyła mnie tym pytaniem. Zaskoczyła mnie tym, że przestając mówić o sobie, zaczęła od razu rozmowę o mnie.

— To było dosyć skomplikowane — wymamrotałem. — To było coś, co ona uważała za konieczne.

— Pan się z tym zgadzał?

— Nie kwestionowałem rozwodu.

Doszliśmy do skraju miasteczka milcząc. Wszędzie już panował spokój bez żadnych śladów wieczornej hulanki. Mieszkańcy Friedheim potrafili swoje nagromadzone emocje wyładować w ciągu kilku godzin. Nazajutrz mieli iść na mszę niedzielą, przyjmować napływających turystów, czekał ich dzień bardzo pracowity. Potrzebowali teraz snu.

— Rozwód to musi być smutne przeżycie — odezwała się Joan Terrill. — Nie rozwiązuje niczego.

— Tak — powiedziałem. — Ale czasami bywa jedynym sposobem, żeby zachować godność.

Zatrzymaliśmy się przed hotelem „Geiger”, ona stała przede mną. Nie oczekiwała pocałunku, nie zachęcała do zalotów. Nawet nie podała mi ręki.

— Byłam nudziarą — westchnęła. — Jestem nudziarą i stwarzam problemy od pierwszej chwili, kiedy poznaliśmy się w autobusie. Przepraszam — zakończyła raptownie.

Odwróciła się i odeszła, zanim zdążyłem powiedzieć jej dobranoc.

Stałem patrząc w pustkę tam, gdzie jeszcze przed chwilą była ta dziewczyna, i dziwnymi oparami wzruszenia owiewało mnie ciche powietrze nocy. Zbliżyliśmy się do siebie na zboczu wzgórza: Joan Terrill i ja, chociaż nie dotknęliśmy nawet swoich rąk. Pancierz z niej opadł i odsłoniła się bardziej, niż zamierzała. Wcale nie była nudna. Nie była nudna ani bezbarwna, ani drobnomieszczańska. Coś, co żyło głęboko we mnie, rozumiało ją, mówiło jej językiem, znajdowało znaczenie w tym, co usiłowała nieporadnie wyrazić.

Takie myśli są niebezpieczne dla mężczyzny. Potrząsnąłem głową i odwróciłem się.

— Porażenie księżycowe! — powiedziałem głośno. — Ona, i ta noc, i ta muzyka! Powinienem to odespać.

## ROZDZIAŁ TRZECI

Pokój w „Bahnhof” miałem wysoko pod okapem. Stół i krzesło stały przy podwójnym oknie i sufit nad nimi był poziomy. Łóżko stało pomiędzy oknem i drzwiami i sufit nad nim już wznosił się ukośnie. Jeżeli z mojego opisu ten pokój wydaje się duży i okazały, to tylko dlatego, że nie mam zdolności literackich. To była klitka.

Kiedy odprowadziłem Joan Terrill, wróciłem do hotelu, gdzie panowała cisza, tak samo jak w całym miasteczku. Przez swoje okna widziałem mnóstwo czerwonych stromych dachów w powodzi blasku księżyca. Za dachami poświatę odbijała rzeka. Nikt nie chodził teraz po tym mieście, może tylko marudzące duchy z jakichś kart historii Friedheim, nie zawsze tak spokojnej jak dziś.

„Rozwód to musi być smutne przeżycie — powiedziała Joan Terrill. — Nie rozwiązuje niczego”.

Zdjąłem marynarkę i buty, wyciągnąłem się na łóżku i myślałem o tym. Pokój, kiedy patrzyłem z poziomego łóżka, jaśniał poświatą wspanialej niż ta rzeka w dali. Joan Terrill stanęła mi przed oczami, wygłaszając poważnie swoje zdanie o czymś, o czym nie miała pojęcia. Z powagą mało komu jest do twarzy, ale ona wyglądała ślicznie. Oczy ciemne, głębokie, usta łagodne, włosy bujne, kasztanowate, świetliste. W głosie muzyka, muzyka kameralna, jej głos nie brzmiałby dobrze na scenie. Dziewczyna pod wieloma względami niedojrzała, przynajmniej takie odnosiłem wrażenie.

Moja żona była kobietą zupełnie innego typu. Alicja, panna Weylin, kiedy ją poznałem, i ostatecznie potem znów panna Weylin. Nagle powróciło to wszystko do mnie.

Zobaczyłem Alicję po raz pierwszy 20 października roku 1965, na pokładzie statku „Michelangelo”. Zatoka Neapolitańska jaskrawiła się blaskiem słońca, nasz statek zdobiły świąteczne baloniki, chorągiewki i powiewające chustki do nosa. Orkiestra grała, ludzie mieli łzy w oczach, bo odjazd oznacza pożegnanie. Wśród tłumu przy relingu jakaś ciemnowłosa dziewczyna w żółtym płaszczu z żółtym futerkiem machała gorączkowo obiema rękami. Patrząc na nią uznałem, że bezapelacyjnie to jest najpiękniejsza dziewczyna na świecie.

Tłok był przy relingu, dopóki nie wypłynęliśmy z zatoki. Dziewczyna odwróciła się, żeby odejść, i wtedy zastąpiłem jej drogę. Bardzo grzecznie, ale przejść nie mogła.

— Mam nadzieję, że pani mi wybaczy — powiedziałem. — Chciałbym narysować panią tak machającą rękami na pożegnanie, jak przed chwilą. Pani jedna jedyna machała oburącz.

Przyjrzała mi się szybko i zobaczyłem, że jej oczy zgoła nie świadczą o tym, by w dzieciństwie pilnie słuchała budujących powiastek.

— Podróżuję sama, bo chcę być sama — poinformowała mnie.

— Będzie pani. Nikt nie jest bardziej sam niż dziewczyna na szkicu, zwłaszcza, gdy macha rękami na pożegnanie.

Jeszcze raz zmierzyła mnie wzrokiem, ale już poniechała ostrożności.

— Może pan mnie narysować — powiedziała — ale nie pozwalam panu rozmawiać ze mną.

— Kiedy rysuję, nigdy nie rozmawiam. Jeżeli pani taka łaskawa, proszę cierpliwie poczekać. Przyniosę z kabiny mój warsztat pracy.

— Poczekać — powiedziała — ale niezbyt cierpliwie.

Nie było jej na pokładzie, kiedy wróciłem ze sztalugami i ołówkami. Czekałem dziesięć minut. Przyszła. Zmieniła makijaż, niestety, bo lepiej wyglądała przedtem. Pozostawiłem to jednak bez komentarza.

— Mogłaby pani jakoś przypomnieć sobie tamten moment, wie pani... pożegnanie i te dwie ręce?

Spojrzała zdumiona.

— No, oczywiście. Czemuż by nie?

I doprawdy przybrała pozę dokładnie taką samą. Twarz miała cudownie wyraziście: okazywała wspaniałe radość z powodu wyjazdu i jednocześnie żal z powodu rozstania. Pracowałem ciężko, żeby odtworzyć należycie moją modelkę, a ona pozowała wytrwale, dopóki jej nie zwolniłem.

— Dziękuję — powiedziałem w końcu. — Z pewnością zostawiła pani w Neapolu kogoś rzeczywiście bliskiego.

— Czemu?

— To było wypisane na pani twarzy. Parsknęła śmiechem.

— Nie znałam w tym porcie absolutnie nikogo. Moi przyjaciele odlecieli do kraju już na początku tygodnia. Nie chciało im się płynąć przez ocean w październiku.

— Pani się chciało?

— Nie wiem. Ja nigdy nie wiem. Proszę mi pokazać, co pan narysował.

Pokazałem jej i to był dobry szkic. Uchwyciłem linie jej ciała, wysunięcie głowy do przodu, obie ręce podniesione. Przyjrzała się temu i aż westchnęła.

— Nie przypuszczałam! To jest świetne — powiedziała. — Kupuję. Ile?

— Prezent ode mnie. Ja nie handluję.



— Och! — popatrzyła na mnie przeciągle. — Popełniłam nietakt, prawda?  
— Włosi mówią „goffo”.  
Nie odrywała ode mnie wzroku.  
— Podoba mi się to.  
— Co na przykład?  
— Sposób, w jaki pan mnie załatwił. Nie potwierdził pan, że jestem nietaktowna, ani pan nie zaprzeczył. No, i ten obrazek bardzo mi się podoba. Chciałabym go zatrzymać.  
— Jest własnością pani. Miałem swoją przyjemność rysując.  
Odeszła i po kilku krokach zawróciła. Poruszała się pięknie, harmonijnie, wprost doskonale.  
— Przy którym stoliku pan siedzi? — zapytała.  
— Numer piętnaście. Jeszcze nie znam moich współbiedniaków.  
— Jest pan sam? To znaczy bez pary?  
— Sam. Nieparzysty.  
— Usiądźmy tam na leżakach.  
— Są nie nasze. Trzeba je wynająć.  
Usiadła jednak i ruchem ręki wskazała mi drugi leżak.  
— Nikt nas za to nie zaaresztuje — powiedziała.  
Usiadłem obok niej. Było trochę wiatru i niewielu pasażerów zostało na pokładzie.  
— Ja mam stolik numer pięć — powiedziała. — Stolik na dwie osoby i już odmówiłam dwóm włoskim oficerom. Więc to nadal jest stolik wyłącznie mój. I właśnie ja — wskazała palcem siebie — chcę mieć przy nim pana.  
Dałem się zaskoczyć.  
— Pani mnie nie zna — powiedziałem. — Mógłbym panią zanudzić na śmierć.  
— Nie — potrząsnęła głową. — Po cóż mi przez całą drogę do Nowego Jorku staczanie bojów z jakimś Włochem. Przynajmniej z panem mogę sobie poradzić.  
— Nie wiadomo.  
Uśmiechnęła się i było w jej uśmiechu dużo wdzięku. Zęby miała nieskazitelne.  
— Załóży się pan? — zapytała.  
Cała Alicja Weylin objawiła się w tym pierwszym spotkaniu, zanim poznałem choćby jej imię i nazwisko. Nie wiedziałem tego, ale zarysy już zostały dla mnie nakreślone. Ona po prostu musiała być taka. Zawsze odsłaniała siebie: w swojej próżności graniczącej z zarozumiałstwem, w swoich sztuczkach z rękami, z oczami i z głosem, w swoim bezpośrednim czarująco zuchwałym sposobie bycia i absolutnym egotyzmie i chęci błyszczenia. Ale ja widziałem tylko to, że jest piękną dziewczyną, nic więcej.  
— Kirk Donner — przedstawiłem się.

— Och! racja! Bo jeszcze nie wiedziałam, prawda? Ładnie pan się nazywa, Kirk Donner. Jestem Alicja Weylin — dobitnie wymówiła swoje imię i nazwisko i czekała, żeby to zrobiło na mnie wrażenie.

Coś mi słabo zakołatało w pamięci.

— Teatr? — zapytałem. — Pani występowała w jakiejś sztuce. Nie mogę sobie przypomnieć, w jakiej.

— „Dziewczyna jak Emily” — odpowiedziała. — Przez rok dawaliśmy to na Broadwayu. Pan na tym nie był?

— Nie mogłem. Dwa lata przebywałem poza krajem. W Europie. W wojsku.

— Och! W wojsku.

Wyraźnie spotkał ją zawód. Już nie żyliśmy w epoce bohaterów. Czar munduru już się rozwiął.

— Nie byłem żołnierzem — powiedziałem. — Właściwie nie. Przedstawię pani mój zwięzły życiorys. Kiedy wyszedłem po czterech latach z college’u, komisja poborowa zaczęła mi tak deptać po piętach, że w końcu się poddałem.

— Nie lepsze było magisterium? Każdy chwyta się tego.

— Prawie każdy. Ja wiem. A potem doktorat. A potem posada nauczyciela, czy się chce, czy nie chce, czy się ma powołanie, czy się nie ma. Człowiek w rezultacie gorzknije i wszyscy jego uczniowie stają się hippisami.

— Pan jest żołnierzem — powiedziała. — Mówi pan jak żołnierz.

— Nie. Jestem malarzem. Kiedy armia odkryła ten fakt, jak również fakt, że płynnie mówię po niemiecku, wysłano mnie do Niemiec. Robiłem tam szkice dla pewnego magazynu wojskowego i przy okazji rysowałem pułkownika i wszystkich jego kumpli, aż zabrał mnie od tego pułkownika generał. Wymyślałem różne preteksty, żeby zwiedzać najlepsze muzea, i prowadziłem cudowne życie. Mogłem dostać stopień oficera i bez żadnej dużej fady robić dalej karierę w armii, ale wysiadłem. Wyłudziłem w Niemczech zwolnienie i odbyłem podróż po Italii. Voila! Tyle o mnie.

— To nie był zwięzły życiorys — zauważyła.

— W takim razie przepraszam. Niech mi pani opowie o „Dziewczynie jak Emily”.

Opowiedziała. Na swój sposób, z dygresjami, urywkowo, ale jakoś to sobie podsumowałem. Nie grała w tej sztuce roli tytułowej. Była subretką. To był musical. Śpiewała tylko dwie piosenki, ale bardzo dobre. Więc uzyskała prawie taki rozgłos jak Clover Atley, gwiazda tego musicalu. Opowiedziała mi też o filmie, który nakręciła w Hollywood, i nagle spojrzała na zegarek.

— Och! Kolacja! Muszę się przygotować. Jeszcze nawet rzeczy nie rozpakowałam. I z pewnością już jest poczta dla mnie w mojej kabinie, wiem, że już jest. — Uniosła się z leżaka lekko jak kłębek dymu. — Pan załatwi ze stewardem — powiedziała. — Mój stolik. Numer pięć. Godzina ósma.

Nie przyszło jej na myśl i w żadnym razie nie mogłoby przyjść, że to już stolik nasz, stolik dwojga pasażerów mających równe prawa. Ciągłe to był jej stolik, a ja miałem siedzieć przy nim tylko dzięki jej łaskawemu kaprysowi. Ta koncepcja niczym jeszcze nie potwierdzona rozbawiła mnie. Po prostu się dostosowałem.

O ósmej oczywiście się nie pokazała. Było dwadzieścia po ósmej, kiedy weszła do sali jadalnej. Miała na sobie obcisłą suknię tycjanowsko czerwoną i w tym odcieniu prawie szkarłatnym wyglądała bardzo efektownie. Umiała się prezentować, toteż wchodząc przystanąła na chwilę, jak gdyby niezdecydowana, po czym ruszyła w takt dostłyszalnej tylko dla siebie muzyki. Ale tuż przede mną rozdziawiła usta, wyszczerzyła zęby jak kompletna idiotka.

— Cip, cip, cip — powiedziała.

Przytrzymałem jej krzesło, żeby usiadła, a ona jeszcze przez kilka sekund, kiedy już siedziałem naprzeciw niej przy stoliku, miała tę minę wiejskiego matolka. Potem zamknęła usta i uśmiechnęła się do mnie, najładniejsza dziewczyna, jaką w życiu widziałem.

— Po co to „cip, cip”? — zapytałem.

— Ja mam twarz z gumy. Chciałam, żeby pan to zobaczył. I chciałam, żeby te zagapione baby przy tamtym stoliku miały o czym mówić, poza komentowaniem mojej czerwonej sukni. Podoba się panu ten ciuch?

— Jest wspaniały — powiedziałem.

Alicja była tuzinem kobiet w jednej osobie. Zacząłem dowiadywać się wielu rzeczy o aktorkach. Pozwoliła sobie pić wino, ale tylko wino, nic mocniejszego, i ani na chwilę, chociaż jadła kolację z mężczyzną, nie zapomniała, że patrzy na nią publiczność. Wytrząsała anegdoty jak z rękawa i opowiadała je pięknie, robiąc przerwy w oczekiwaniu na mój poklask po bardzo dowcipnych pointach. Byłem nią zachwycony. Wiedziała o tym i chyba ją to bawiło.

Po kolacji poszliśmy do kina na statku. Dawano tam film „Cyrkowcy” z Johnem Wayne i Claudią Cardinale. Alicja mówiła o Johnie Wayne „Księżę” i wspominała, że kiedy była w Hollywood, on chciał, żeby zagrała w jednym z jego filmów.

— I nie zagrała pani?

— Wytwórnia się sprzeciwiła. Strasznie krótko mnie trzymali. Za miesiąc mniej więcej wejdzie na ekrany ten film ze mną. Mówiłam już panu o tym?

— Nie.

— Film pod tytułem „Nie miałam się w co ubrać”. Mój agent nie pozwala mi pracować dla nikogo, dopóki ten film nie wejdzie na ekrany, bo wtedy moja cena skoczy w górę.

Ten pierwszy dzień to była środa. W czwartek poszliśmy razem na bal kapi-  
tański i odkryliśmy, że dobrze nam się tańczy ze sobą. I kiedy tańczyliśmy, coś się dołączyło: namiętność prawdopodobnie, a już z pewnością pociąg zmysłowy, nastrój przygotowania, świadomość tego, co musi nastąpić. Bawiliśmy się wesoło,

skorzy do wszelkich głupstw, takich na przykład, jak wyjście z gromadą innych pasażerów na pokład o godzinie piątej rano, żeby zobaczyć skałę Gibraltaru. Skała była niewidoczna za mgłą, ale Alicja w spodniach wyglądała nie gorzej niż w swoich efektownych sukniach. Chodziła po mokrym pokładzie zupełnie jakby tańczyła.

I tak na statku „Michelangelo” nauczyliśmy się podobać sobie coraz bardziej. Kiedyśmy wylądowali, musiałem polecieć do rodziny w St. Louis na cały tydzień. Nasze spotkanie potem było cudowne. Nim trzy tygodnie minęły, wzięliśmy ślub. Na wesele w sali hotelowej zjechało się mnóstwo ludzi teatru i prawie nikogo tam nie znałem. Po ślubie od razu wprowadziliśmy się do mieszkania z pracownią, które wynająłem niedaleko Gramercy Square. Nie stać mnie było na to, ale sytuacja tego wymagała. Alicja miała możliwości zarabiania znacznie więcej ode mnie, a przecież nie mogłem dopuścić, żeby ona mnie utrzymywała.

— Jesteś niemądry — mówiła. — Kiedy mój film wejdzie na ekrany, pieniądze w ogóle stracą znaczenie. Będą wpadały drzwiami i oknami. Nie przejmuj się. Z pieniędzmi czy bez pieniędzy będę kochała cię milion lat.

Poznaliśmy dokładnie, czym jest miłość. Nasze małżeństwo było szalonym, namiętym lotem w przestrzeń kosmiczną. Może wszystkie małżeństwa są takie na początku, ja nie wiem. Wiem tylko, że nasze jako zbliżenie fizyczne dwojga ludzi, związek ciał, szał upojenia, wykluczający wszystko poza nami dwojgiem, mogło być idealnym wzorem dla przyszłych małżeństw.

Premiera „Nie miałam się w co ubrać” została odłożona dwa razy i termin ustalono ostatecznie na 16 listopada. Alicja miała też trochę pomniejszych powodów do rozdrażnienia i ponadto jej partner w tym filmie, Paul Esterling, nie mógł przyjechać na premierę nowojorską. Tak samo nie mógł przyjechać reżyser. Zacząłem wyczuwać klęskę w powietrzu, ona jednak tylko się niecierpliwiła.

Wieczorem 16 listopada padał śnieg. Zwykłe bzdury z kamerami i tłumem gapiów przed kinem trwały niedługo, zresztą był to mały tłumek. Potem Alicja na scenie powiedziała kilka słów do mikrofonu i ukloniła się, wyglądając prześlicznie. Zajęliśmy nasze miejsca wśród premierowej publiczności. Film się rozpoczął.

Alicja wyglądała na ekranie okropnie. Zobaczyłem, że kamera jest jej wrogiem, podkreśla twarde, sztywne linie jej twarzy, które w naturze ruchliwość i wyrazistość zwykle zacierają. Wrodzony wdzięk, promienna wesołość, wydawały się sztucznym, kiepskim aktorstwem. Już po pierwszych dwóch minutach Alicja ujęła mnie za rękę i trzymała mocno. Po dwóch następnych minutach puściła moją rękę i siedziała z pięściami zaciśniętymi na kolanach.

Scenariusz był zręczny, film zabawny i jedyny poważny w nim mankament stanowiła Alicja. Nie całą winę ponosiła kamera. Od czasu do czasu Alicja nie potrafiła oprzeć się pokusie zademonstrowania, że ma twarz z gumy, zgoła w tej roli zbyt często, przy czym okraszała to popisami w stylu „cip, cip”, wprost żenującymi. Wyszłyby ze mną z kina po cichu przed końcem filmu, ale nie mogła.

Zobowiązała się, że po filmie jeszcze wystąpi w celach reklamowych, i wystąpiła. Przeszła przez to wspaniale, niosła triumf w obu rękach, gwiazda w każdym calu, niczym nie zdradzając, że do głębi uświadamia sobie swoją klęskę. Dowiodła mi w ciągu tych kilku minut, jak wielką jest aktorką. To był jeden z występów w jej karierze rzeczywiście znakomitych.

Kiedy wracaliśmy do domu limuzyną wynajętą na ten wieczór, płakała. W mieszkaniu wybuchła. Chodziła tam i z powrotem, rozrzucając rzeczy i miotając przekleństwa, o których znajomość nigdy jej nie podejrzewałem. Do wszystkich diabłów wysyłała operatora, reżysera i charakteryzatora. Krzyczała, że dawali jej zbyt ostre światło, ujmowali ją pod złym kątem, i stawiała im dziesiątki innych zarzutów zbyt fachowych, żebym mógł je zrozumieć. Na premierze była w oryginalnej sukni paryskiej, kosztownej ponad wszelkie wyobrażenie dla człowieka takiego jak ja, niedawno zwolnionego z wojska. Podarła teraz tę suknię i podeptała. Wszystkie moje słowa pociechy, otuchy, miłości, tylko obijały się jej o uszy. Nic do niej nie docierało.

Nasze małżeństwo przyjęło od tamtego wieczora nowy kierunek, fatalny kierunek, nie dlatego, żeby powstał jakikolwiek rozdźwięk pomiędzy nami. Po prostu Alicja miała miejsce wyłącznie na jedno zainteresowanie w życiu — samą sobą.

Była gwiazdą nad gwiazdami, zanim jej film pokazano, napawała się oczekiwaniem triumfów. Śmiechem odpowiadała na każde napomknięcie o konieczności liczenia się z groszem i uważała za rzecz zabawną to, że ja chcę przynajmniej płacić swój udział, jeśli już nie pokrywam sam wszystkich wydatków. Bawiło ją także moje poczucie bezradności na jej terenie zawodowym, strapienie, że nie mogę jej pomagać w żaden konkretny sposób. Ona to ona, stworzona do wielkich pieniędzy, ról coraz większych, nie potrzebująca nikogo. Nie byłaby taka, gdyby nie ten film, który, zanim wszedł na ekrany, stanowił dla niej lądowanie na Księżycu już dokonane. Niełatwo dała się ściągnąć z powrotem na Ziemię.

Teraz zbyt ostrożnie wydawała pieniądze, nie skąpiąc tylko na własne wydatki, zwane przez nią „koniecznością zawodową”. Zaczęła uganiać się za reżyserami, producentami i najróżniejszymi ludźmi z branży filmowej w sposób, moim zdaniem, żałośnie oczywisty. Do mnie odnosiła się niecierpliwie, czasami okrutnie bez żadnego powodu. Kiedy indziej przerażona i w defensywie potrzebowała mnie, żebym ją uspokajał.

— Ja chcę być wielką aktorką, Kirk — powiedziała kiedyś w spokojniejszym okresie. — Chcę być największą pod słońcem. Proszę, zrozum to. Nie będę się oszczędzała. Będę pracowała ciężko. Ale chcę być największa.

— Największa w czym? — zapytałem. — W komedii? W tragedii? W sztuce salonowej?

— W czym się da. Będę robiła wszystko, czego ode mnie zażądata. Wszystko.

Znów dzieliła nas przepaść nie do przebycia. Alicja w gruncie rzeczy nie miała celu. Żaden głos wewnętrzny nie nakazywał jej poświęcić życia i energii i myśli

pełnych nadziei jakimś szczególnemu zamierzeniu. Ona jedynie chciała być wielka.

Zrozumieć aktorkę to niemożliwość dla każdego, nawet dla mężczyzny, który z nią żyje. Ni stąd, ni zowąd w najbardziej niespodziewanych chwilach wydawała dziwne dźwięki, coś takiego jakby głosem wygrywała gamy bezsensownych słów. Godzinami ćwiczyła przed lustrem, bez krzty poczucia humoru, robiąc różne miny, wywracając oczami, wykrzywiając usta, studiując wszelkie gesty i skręty ciała z powagą, ze skupieniem, ze wzrokiem utkwionym w czymś widocznym tylko dla niej, czołgała się i postukiwała palcami w podłogę. Wykuwała na pamięć stronic nudnych książek i deklamowała je, żeby łatwiej uczyć się ról.

To była praca, ciężka praca. To było życie poświęcone sprawie. W tym Alicja nie przesadzała. Dopóki nie zmadrzałem, przeszkadzałem jej nieraz jakąś uwagą bądź pytaniem. Doprowadzałem ją do wściekłości. Nie tolerowała mnie wtedy.

Nie obchodziło ją ani trochę, co ja robię, czy chcę robić. Czasami tylko następowało krótkie interludium pozornego zainteresowania, bardzo powierzchownego. Wymagała, żebym rzucał wszystko w jednej chwili na byle skinienie i towarzyszył jej bądź służył jako goniec. Ona była osią świata, a ja musiałem kręcić się wokół niej. Taką już miała mentalność. Nie wiedziała, rzeczywiście nie wiedziała, że jest samolubna.

Wydawała mnóstwo pieniędzy na telefony do Hollywood, do agentów i reżyserów i do najróżniejszych ludzi. Ale w Hollywood nie interesowano się nią po filmie „Nie miałam się w co ubrać”. Jej kontrakt wygaśł bez przedłużenia, jej agent stał się nieuchwytny. Traciła tylko czas i nawet ja, laik, wiedziałem to, cóż, kiedy powiedzieć jej tego nie mogłem. Ostatecznie zdecydowała, że musi tam pojechać.

— Trzeba tam być — powiedziała — trzeba tam być na miejscu. Telefony nie zdadzą się na nic, Kirk.

Nasze pierwsze Boże Narodzenie spędziliśmy więc na Beverly Hills w rujnująco dla nas kosztownym hotelu. A zamierzałem zabrać ją na te święta do St. Louis, żeby zrobić przyjemność mojej rodzinie.

Na Zachodnim Wybrzeżu czułem się zagubiony. Nie mogłem chodzić na wystawy malarstwa, rozmawiać z artystami ani, co najważniejsze, pracować. Byłem tylko marionetką i nie mogłem zrozumieć, czego Alicja szuka w Hollywood.

— Dlaczego nie wracasz do teatru? — zapytałem. — W teatrze masz pozycję ugruntowaną. A te roztrajkotane filmy nie są funta kłaków warte.

Zacisnęła usta.

— Chcę jeszcze pokazać się na ekranie.

Chciała, rzecz jasna, przekreślić porażkę, udowodnić, że to ktoś inny ponosi winę za wszystko, co niedobre w „Nie miałam się w co ubrać”; zawsze musiał ponosić winę ktoś inny, podczas gdy ona szła przez ten świat niezwykła, wyższa ponad wszelkie błędy, wszelkie uchybienia, ponad ludzką słabość i ludzką złośli-

wość. Ja wciąż pod ręką, a więc kozioł ofiarny, wiedziałem sporo o tym właśnie makijażu Alicji. Chociaż tak się odżegnywała od teatru, ledwie zatelefonował jej agent nowojorski, zgodziła się przyjąć propozycję, którą przedłożył.

To był podobny do „Dziewczyny jak Emily” lekki musical i Alicja znów wystąpiła jako subretka. Przed premierą w Nowym Jorku zespół przez trzy miesiące jeździł z tym spektaklem po całych Stanach. Alicja zastąpiła Ewę Cowle, która była jedynym minusem tego przedstawienia. A rola w wykonaniu Alicji natychmiast stała się jednym z największych plusów, bombą nad bombami.

Po premierze Alicja uszczęśliwiona bardzo pochlebnymi wzmiankami w recenzjach uspokoiła się na długo, przy czym trochę tego uszczęśliwienia kapnęło na mnie. Nastąpiły dobre czasy. Nawet zabrałem się jakoś do roboty.

W tamtym właśnie okresie namalowałem obraz, o którym przedtem dużo myślałem. Zatytułowałem go roboczo „Łuk portalu ozdobiony płaskorzeźbami, projekt szczegółowy”. Namalowałem połowę portalu jakiejś tam katedry i na nim oczywiście głowy. Były to głowy wybitnych pisarzy, aktorów, aktorek, malarzy, gwiazd operowych, jak gdyby wykute z kamienia na wzór starych podobizn świętych. Spróbowałem wkroczyć śmiało w dziedzinę, która mnie urzekła — odtwarzanie pracy rzeźbiarza farbą na płótnie.

Ten jeden obraz pozyskał mi prawo wstępu do Ludwiga Lorensona i dał początek prawdziwej przyjaźni. Od tego też zaczęła się miła znajomość z Neilem Carltonem i ojcem Josephem Graneyem. Alicja, nigdy nie rozumiejąc, co ja robię i dlaczego, prychnęła, kiedy jej ten obraz pokazałem.

— Mogłeś mnie także namalować na tym — powiedziała. — Po licha namalowałeś Hepburn?

Ani rusz nie mogła pojąć powodów, dla których nie umieściłem jej głowy, ani dla których właśnie Katherine Hepburn znalazła się jako jedna ze świętych w litanii aktorek. I po prostu nie widziała, że Hepburn w moim pseudo-kamieniu wygląda cudownie renesansowe.

Miesiące mijały. Alicja występowała na Broadwayu wieczorem i zawsze po występie potrzebowała czasu, żeby zstąpić z obłoków na ziemię. Lubiła chodzić do nocnych lokali, siedzieć wśród gwaru, gawędzić i patrzeć, jak ludzie patrzą na nią. Nazajutrz spała do południa. Przez jakiś czas jej towarzyszyłem, ale musiałem rano spotykać się z ludźmi i musiałem pracować. W końcu tak się ułożyło, że ona kładła się spać, kiedy ja wstawałem, a ja przesypiałem jej godziny pracy. Nie była to najzdrowsza sytuacja na świecie.

Pewnego dnia do Nowego Jorku przyjechał Max Henske. Alicja знаła go z Hollywood i twierdziła, że jest wielkim reżyserem. Podobno szukał teraz obsady do trzech dużych filmów, które miał kręcić na jesieni.

— On mnie chce do najlepszego z nich — powiedziała Alicja.

— Skąd wiesz?

— Mówił.

Nie lubiłem Maxa Henske i nie podobał mi się jego wpływ na Alicję. Zaczęła już żartować sobie z teatru i od czasu do czasu szydziła z musicalu, w którym występowała. Nie byłem na tym przedstawieniu przez dwa miesiące. Kiedy znów je zobaczyłem, doznałem prawdziwego wstrząsu. Alicja się wygłupiała. Robiła mnóstwo „gumowych” min i wtrącała swoje „cip, cip”, czyniąc z lekkiej dobrej komedii płaską farsę. Zwróciłem jej uwagę. Wtedy wybuchła jedna z nielicznych poważnych kłótni w naszym małżeńskim życiu.

— Ty nic nie wiesz, do diabła, o aktorstwie!

— Wiem jednak to i owo o tobie. Jesteś aktorką, a nie błaznem.

— Czyżby? No, poczekaj! Ja ci pokażę, jak się gra, kiedy wrócę do Hollywood.

— Twoje pole do popisu to nie ekran. To scena.

— Tak sądzisz? No, to mylisz się. — Alicja podeszła i szturchnęła mnie dwoma palcami prawej ręki. — Ty widziałeś tylko to, jak mnie zniszczyli w „Nie miałam się w co ubrać”! Ale tego już nigdy nie zrobią. Nigdy!

— Kto ich powstrzyma? Henske?

— Masz rację jak cholera! Henske ich powstrzyma, jeżeli ja zechcę. Albo jeżeli zechcę, będę charakteryzowała się i ustawiała sama. I odłóż ten numer z zazdrością! Max Henske jest w porządku. Max Henske to ktoś najzwyczajniej w świecie zycziwy. Jeszcze tej jesieni wprowadzi mnie z powrotem do filmu.

Komplikacja w związku z pojawieniem się Maxa Henske była denerwująca. Może odczuwałem zazdrość, może nie. W każdym razie ja jemu nie wierzyłem. Zaczynałem odnajdywać siebie jako malarz i pisałem trochę o sztuce, ale ograniczałem swoje poczynania, żeby więcej czasu poświęcić Alicji. Henske wyjechał do Hollywood i wszystko dla nas znowu ułożyło się doskonale.

Kiedy ten musical zdjęto z afisza, Alicja podpisała kontrakt z letnim teatrem objazdowym, wznawiającym „Dziewczynę jak Emily”, w której odniosła taki wielki sukces na Broadwayu. Część tego tournée odbyłem z nią razem. Praca w letnim teatrze pozostawiała jej dużo swobody. Zrobiliśmy z tego nieomal podróż poślubną.

Ale bez względu na podróż poślubną czy „Dziewczynę jak Emily”, czy cokolwiek innego, ona nigdy nie przestawała myśleć o filmach. Tournée skończyło się w Denver w stanie Colorado. Stamtąd też zadepeszowała do mnie, że wyjeżdża na Zachodnie Wybrzeże. Nie poprosiła, żebym do niej dołączył, a byłem wtedy bardzo zajęty u Lorensona wielką wystawą nie moich własnych, niestety, obrazów. Musiałem jej pozwolić pojechać tam, ona zaś nawet nie napisała do mnie listu.

Po miesiącu milczenia ja napisałem do niej na adres jej agenta. Nie miałem pojęcia, gdzie się zatrzymała ani dokąd mógłbym napisać czy zatelefonować. Anonimowo ktoś mi przysłał wycinki prasowe z „Variete”, z „Hollywood Reporter” i innych gazet, w których przejrystym szyfrem nadmieniano o „bliskiej przyjaźni Maxa Henske z Alicją Weylin z Broadwayu”. Nie miałem nic przeciwko nazwi-



sku Weylin, ponieważ Alicja występowała pod nim zawsze: miałem jednak wiele przeciwko Maxowi Henske.

W końcu kiedy dostałem wiadomość od Alicji, były to krótkie dwa zdania na papierze listowym jej agenta:

*Kirk, nie mamy ze sobą już nic wspólnego. Chcę rozwodu.*

Poleciałem samolotem do Hollywood, gdzie kontaktu z nią mogłem szukać tylko w tym biurze agencyjnym. Powitano mnie tam bardzo chłodno i obiecano przekazać pannie Weylin mój hotelowy adres. Panna Weylin sama do mnie zadzwoni.

— Będę u ciebie w hotelu, Kirk — powiedziała, kiedy zadzwoniła. — O szóstej?

Spotkaliśmy się o szóstej. Te miesiące jakoś ją zmieniły. Nie wiem, czy „nieuchwytnie” będzie tu trafnym określeniem. Wyglądała właściwie tak jak zawsze przedtem, ale owa sztywna maska, owo coś nieprzyjemnego pod ruchliwością jej twarzy teraz się uwidocznilo bez pomocy wścibskiej kamery.

— Załatwmy to przyzwoicie nad cocktailem.

Przyzwoicie czy nie, usiedliśmy przy stoliku na tarasie i wtedy powtórzyła szorstko to, co napisała.

— Ja chcę rozwodu, Kirk. Nie chcę alimentów ani żadnych układów finansowych, chcę wyłącznie rozwodu.

Był w tym jakiś makabryczny komizm. Przecież nie posiadałem majątku, nigdy go nie posiadałem i ledwie zarabiałem na samo utrzymanie. Ta podróż na Zachodnie Wybrzeże poważnie i na długo nadszarpnęła mój budżet. Alicja miała pieniądze, kiedy wyszła za mnie, i prawdopodobnie później też odłożyła trochę z gaży na Broadwayu i w teatrze objazdowym. Nigdy nie wiedziałem dużo o jej finansach i nigdy mnie to nie obchodziło.

— Nie możesz dostać rozwodu — powiedziałem. — Nie ma podstaw.

Patrzyła na mnie zimno, spokojnie.

— Porzucenie.

— Nie. Ja ciebie nie porzuciłem. To ty porzuciłaś mnie.

— Mogę dostać rozwód na podstawie porzucenia.

Była pewna siebie i chyba słusznie. Kobieta uzyska wszystko, czego chce od ławy przysięgłych i od sędziego. Tak już się utarło, że zwykle mężczyźni porzucają kobiety, a nie na odwrót. Bawiłem się moją szklanką z cocktailem i aż mnie mdliło od nagromadzonej goryczy.

— Kłopot z nami, Alicjo — powiedziałem — polega na tym, że ja jestem mężczyzną jednej kobiety, a ty kobietą wielu mężczyzn.

Tylko wzruszyła ramionami.

— Dobrze, ja chcę rozwodu, Kirk.

Zawsze szła przed siebie zdecydowanie, jeżeli już obrała jakąś drogę. Zdolności do zbaczania z wytyczonej linii po prostu nie miała.

— Możesz dostać rozwód, Alicjo — powiedziałem. — Niech będzie tak, jak ty chcesz.

Ocknąłem się z tych wspomnień i byłem znów w pokoju hotelowym w Niemczech. Przez bladożółtą storę przenikała rzednąca szarość. Nie spałem tej nocy wcale. Wstałem z łóżka i podszedłem do okna. Wiele czasu upłynęło, odkąd oglądałem wschód słońca w Niemczech, a tu już za brudną od deszczów szybą wstawał świt.

„Rozwód to musi być smutne przeżycie — powiedziała Joan Terrill. — Nie rozwiązuje niczego.”

Zwracając się jak gdyby do niej, mogłem tylko powtórzyć to, co odpowiedziałem jej wtedy: „Nie. Ale czasami bywa jedynym sposobem, żeby zachować godność”.

## ROZDZIAŁ CZWARTY

Pobożni i na pół pobożni mieszkańcy Friedheim oraz ich goście już zaczęli dzień którąś z licznych mszy. To był poranek niedzielny i dzwon na wieżyczce kościoła wydzwaniał wezwanie na każdą mszę, a potem uroczyście moment konsekracji. Słyszałem go niejasno przez sen. Wstałem dopiero kwadrans po jedenastej i w południe zjadłem śniadanie. Tak duże śniadanie, że obiad stał się zbyteczny. Ci pobożni i ci na pół pobożni siedzieli przy obiedzie należącym im się w pełni, kiedy ja spacerkiem poszedłem do kościoła.

W kościele panowała cisza, unosił się zapach kadzidła. Słońce rozświetlało witraże i kolorowe ich odbicia padały na podłogę środkowego przejścia. Przy wysokim głównym ołtarzu z obu stron czuwali aniołowie naturalnej wielkości człowieka. Nad ołtarzem piął się ze wspaniałym rozmachem do stropu jaskrawy, połączony fresk — Wniebowstąpienie Pana w otoczeniu małych aniołków ponad tłumem śmiertelników przykutych do ziemi, patrzących z uwielbieniem w górę. Widziałem już wiele takich dzieł barokowych, namalowanych o wiele lepiej.

To nie miało znaczenia. Wkroczyłem w ów kościelny spokój, ów nastrój, może wytworzony przez tych wszystkich miejscowych wiernych, którzy na przestrzeni długiego czasu modlili się gromadnie. Nie wiem, na czym to polega, ale podobnego uczucia doznaję w kościołach nieraz. Tutaj ogarnęło mnie ono bardziej wyraźnie. Czerwona lampka migotała przed głównym ołtarzem, symbolizowała ciszę.

W tylnej części kościoła zobaczyłem obraz przedstawiający świętą Cecylię, dosyć stosowny, skoro Friedheim jest miastem muzyki, i podwójnie stosowny, ponieważ ta święta Cecylia grała nie na organach, tylko na kontrabasie. Kopia, dobra kopia obrazu Domenichina w Luwrze. Ruszyłem boczną nawą z prawej strony i po przebyciu dwóch trzecich drogi do ołtarza zatrzymałem się przy bocznym ołtarzyku świętego Kryspina. Stwierdziłem, że postać świętego, stosunkowo nowa, została lepiej wyrzeźbiona niż figurka na ulicy szewców, ale tamta bardziej mi się podobała.

Na końcu nawy, nie w samym jednak kącie, stał konfesjonał. Wysoko nad nim witraż, mdła scena Zwiastowania z nadmiarem latających cherubinów. I poniżej w samotnej i pokornej chwale wisiał jeden obraz, stary, chroniony szkłem. Mniej

więcej dwadzieścia siedem na dwadzieścia jeden cali. Musiałem podejść blisko, żeby go dobrze zobaczyć.

To była Madonna. Niezaprzeczalnie Matka Boska. Chociaż ten malarz wzgardził takimi oczywistymi symbolami jak aureola, obłok świetlisty czy smuga światła. Matka Boska szła po bruku z kocich łbów. Niosła Dzieciątka trzymając je na lewej ręce, pomagając sobie prawą. Uśmiechała się. Za nią, z obu stron brukowanej uliczki, stały równe rzędy domów. Na ich drzwiach bądź na ścianach pomiędzy oknami widniały jakieś godła. Mogłem rozpoznać tylko jedno — łeb jednorożca — na drzwiach domu z prawej strony Matki Boskiej. Nie potrzebowałem się długo przypatrywać. Wiedziałem, gdzie Ona jest.

Kirschbaumstrasse w miasteczku Friedheim. Matka Boska szła uliczką, na której w moim przekonaniu mieszkał Bonifacy Rohlmann.

Dopiero wtedy, gdy obejrzałem obraz, przeczytałem legendę poniżej, na białej karcie oprawionej w ramki kilka linijek gotykiem:

*Nasza Pani, Patronka Friedheim. To studium naszej Matki Błogostawionej namalował szesnastoletni chłopiec z Friedheim w roku 1635. Obraz ten wisiał w starym kościele i zaginął na jakiś czas, zanim został odzyskany i umieszczony w obecnym swoim miejscu. Malarz, który go namalował, jest zgubiony. Módlcie się za niego.*

Stałem tam w ciszy kościoła i patrzyłem na obraz rzeczywiście piękny. Matka Boska miała jak zwykle niebieskie i białe szaty, ale malarz udrapował je tak pomysłowo, że równie dobrze mógłby to być strój chłopki z jego epoki. Szła z wdziękiem, lekko, i uśmiechała się... Tak niewiele Madonn się uśmiecha, ale ta była młodą kobietą z małym dzieckiem na ręku, ta mogła czuć się szczęśliwa.

Po przeczytaniu informacji pod obrazem obliczyłem w myśli: 1635 minus 16 równa się 1619. W roku 1619 urodził się Bonifacy Rohlmann, tu, w tym miasteczku, prawdopodobnie w jednym z domów przy ulicy, którą szła Matka Boska.

Właśnie ten obraz radziła mi zobaczyć żona Judasza. To było wielkie odkrycie, obraz godny obejrzenia sam przez się i ponadto mający dla mnie wartość wprost bezcenną jako drugie znane mi dzieło Rohlmannna.

Cofnąłem się powoli i obraz zatarł mi się przed oczami. Był bardzo stary i może tam, gdzie się znajdował, kiedy zaginął, nie dbano o niego należycie. Ochronne szkło przydawało mu mglistości.

— Będę musiał to narysować — powiedziałem w pustkę kościoła, głośno i z żalem. Nie miałem teraz czasu na rysowanie. Obraz musiał poczekać. Umówiłem się z Joan Terrill o godzinie trzeciej po południu, żeby zrobić wywiad z Anzelmem Freytagiem, aktorem, który grał w misteriach rolę Jezusa Chrystusa. Z łatwością nazywałem Judasza jego imieniem z misteriów, Jana również, a jed-

nak nie mógłbym, chociaż byłem agnostykiem, niedbale powiedzieć ani nawet pomyśleć, że mam zrobić wywiad z Jezusem Chrystusem.

Ten kościół urzekał mnie jako miejsce nie tylko ciche, ale i przyjazne. Widziałem wokoło liczne figury świętych, rzeźby w drewnie, najwidoczniej dzieła snycerzy z Friedheim, tym bardziej więc interesujące. Zwłaszcza zachwycił mnie bardzo stary, wspaniale wyrzeźbiony krucyfiks.

Przebywałem w towarzystwie, jeśli nie świętych, to na pewno artystów.

Stojąc tak wśród tej uroczystej ciszy, rozumiałem, dlaczego unikam tematu Rohlmana w rozmowach z Joan Terrill i nie mam ochoty poprosić jej o coś, czego chyba nie zdołam załatwić bez jej pomocy. Proboszcz może nie udostępnia swoich archiwów nikomu, kto nie jest katolikiem, ale przecież to mnie te dane są potrzebne, więc powinienem ich szukać sam. Jak mogę prosić dziewczynę, żeby mnie reprezentowała, jak mogę liczyć tylko na nią! Muszę porozmawiać z tym księdzem sam i trudno — albo wykonam poruczone mi zadanie, albo nie.

W śródmieściu roiło się od turystów, którzy przyjechali na misterna, ale teraz w niedzielę, kiedy przedstawienia nie było, wypełniali sobie czas zwiedzaniem i polowaniem na pamiątki. Joan Terrill już czekała w biurze Rudolfa Lobingera, kierownika służby informacyjnej. Pan Lobinger był nadal zadowolony z siebie.

— Ach! Właśnie mówiłem panie Terrill. Udało mi się załatwić, żeby dwoje korespondentów amerykańskich pracowało razem. To dobrze, prawda? Będą państwo mieli wspólny wywiad z panem Freytagiem. Inni korespondenci zobaczą się z nim później. Mam nadzieję, że państwo są z tego radzi.

— Ja jestem bardzo rad.

Chciałem dodać, że trochę więcej tej radości, a już bym po prostu jej nie wytrzymał, ale dowcipkować nie było sensu. Pan Lobinger wykonywał poruczoną pracę na swój sposób, może właśnie, jeśli chodzi o jego pracę, najlepszy. Kiedy zniknął w drugim pokoju, odwróciłem się do Joan Terrill.

— Wracam z kościoła — powiedziałem.

— Brawo. Już nie było nowenny?

— Nie było nowenny. To miły kościółek.

— Prześliczny! Wie pan, może wydam się panu dziwna, ale strach mnie ogarnia przed tym wywiadem. Nie wiem, co mówić.

— Coś pani przyjdzie do głowy.

Drzwi otworzyły się i wrócił pan Lobinger. Wszedł i stanął z boku, może niezbyt subtelnie wyrażając swoją postawą zbożną cześć. Weszła młoda kobieta.

— To — powiedział pan Lobinger — jest panna Urszula Dahlen. Gra w naszych misteriach pasyjnych Przenajświętszą Panienkę.

Panna Dahlen była młodą kobietą, jakich wiele. Miała na sobie szatę Matki Boskiej z przedstawienia, ale w żadnym razie nikt nie uznałby jej za istotę, którą Leonardo, Rafael, Michał Anioł, Andrea del Sarto, Correggio, Botticelli i tysiąc innych utrwalił na płótnie. Podała nam rękę dosyć bojaźliwie i powiedziała, że

miło jej poznać nas, ale jeśli nie mamy nic przeciwko temu, ona wywiadu nie udzieli. Po czym wyszła, a ja tylko mgliście pamiętałem ją ze sceny, chociaż grała główną rolę. Nie każdy ma w sobie nerw aktorski.

Drzwi otworzyły się znowu i do pokoju wszedł Anzelm Freytag, człowiek, który grał rolę Chrystusa. Był w szarym garniturze, niebieskiej koszuli i szarym krawacie. Życzliwy, nieśmiały człowiek, o imponującej powierzchowności. W misterium, ukazując się w szeregu scen, nasuwał myśl o wielu koncepcjach malarskich Chrystusa: sam osobiście nie kojarzył mi się z żadną z nich, a przecież był uosobieniem konwencjonalnego obrazu Chrystusa. Trudno to określić czy wytłumaczyć: to się czuło.

— Jestem Anzelm Freytag, lutnik, specjalność skrzypce — przedstawił się. — Mam ten wielki zaszczyt, że mnie wybrano, bym odgrywał rolę Pana naszego i Zbawiciela. Odpowiem na pytania tak, jak potrafię, ale to będą odpowiedzi wieśniaka, rzemieślnika, nic więcej.

Starannie przygotował zawnazs swoje małe przemówienie i tym mnie zjednał. Ludzie spodziewają się od niego więcej, niż on może dać. Joan Terrill też to podchwyciła i nadała temu formę pytania:

— Czy ludzie odnoszą się do pana, jak gdyby pan był Jezusem? Czy spodziewają się błogosławieństw i tak dalej?

Patrzył na nią bardzo poważnie i w owej chwili był podobny do Chrystusa z obrazu „Wieczerza w Emaus” Leona Augustina L’Hermitte.

— Tak, niestety tak — odpowiedział. — Ja nie dorastam do takich oczekiwań, więc żyję cichusienko i w sezonie misteriów widuję się z niewieloma osobami.

— Ale pan długo przygotowywał się do tej roli. Pan ją głęboko przeżywa. Uważnie obserwowałam pana na premierze prasowej. Na pewno ma pan uczucie, przynajmniej chwilami, że pan jest Jezusem Chrystusem. Nic pan na to nie może poradzić.

Joan Terrill zdumiewała mnie. Po wyznaniu, że strach ją ogarnia przed tym wywiadem, nabrała raptem dużej pewności siebie. Pochylona ku Freytagowi nie tyle pytała, ile wygłaszała własne poglądy. On nie zaraz jej odpowiedział.

— W misterium — rzekł powoli — czynię to, co Zbawiciel czynił na ziemi, i przyjmuję to, co Zbawiciel przyjmował. Mówię słowa, które mówił. Tak. Rzeczywiście mam uczucie, że jestem Nim na ten krótki czas, kiedy występuję w Jego imieniu, a nie swoim. Niełatwo mi zostawić to przedstawienie i wrócić do codziennego życia. Muszę być sam przez jakiś czas i jest mi trudno.

Joan Terrill szeroko otworzyła oczy i chyba pobladła.

— Na pewno to musi być trudne, niewiarygodne przeżycie, wprost nie do wyobrażenia. Nie wiem, jak pan może stawiać temu czoło przez całe lato.

— Jestem uprzywilejowany. Spotkało mnie wyróżnienie, na które nie zasługuję.

Patrzył na nią przez kilka sekund, po czym uśmiechnął się słabo i odwrócił głowę do mnie. Ja jeszcze nie pomyślałem, o co go pytać. Zainterесowała mnie rozmowa ich dwojga. Teraz, zgoła niedorzecznie w takiej chwili, zauważyłem, że on ma oczy piwne.

— Moje pytanie może będzie nie na miejscu — powiedziałem. — Pan jest główną postacią w tym przedstawieniu, Bogiem. Pana historia to historia bohatera z Nowego Testamentu. Czarnym charakterem jest Judasz. Popełnia wobec pana zdradę. Gdyby nie zrobił właśnie tego, nie byłoby historii, nie byłoby ukrzyżowania, odkupienia, zmartwychwstania: nic. Prorocy przepowiadają to wszystko i przepowiadają grę hazardową żołnierzy o szatę Chrystusa. Ci żołnierze muszą robić to, co robią, i Judasz musi robić to, co robi. On musi zdradzić pana. Więc dlaczego jest łotrem?

Roześmiał się cicho. Przypomniałem sobie, jak podobał mi się jego śmiech w misterium, jak podobała mi się koncepcja Chrystusa roześmianego.

— Dobre pytanie — powiedział. — My w naszym mieście omawiamy takie rzeczy. Friedheim żyje misteriami od wieków. Są różne na to poglądy. — Umilkł i potrząsnął głową. — Prorocy widzą, ale nie zmuszają — powiedział. — Na przykład ja panu mówię, że autobus z Monachium przyjedzie dziś o piątej dwadzieścia. Jestem prorokiem. Autobus przyjeżdża. Ale ja nie miałem z tym autobusem nic do czynienia. Ja autobusu nie zmusiłem. Autobus przyjechał wcale nie dlatego, że ja to przepowiedziałem.

Uśmiechnął się i rozłożył ręce. To proste wyjaśnienie najwyraźniej mu wystarczyło. Nie miałem prawa przypierać go do muru.

— Jeszcze jedno — powiedziałem. — W Oberammergau bywają kłopoty z ludźmi, którzy twierdzą, że misteria są antysemitckie. Czy wy tutaj macie jakieś trudności w związku z tą kwestią?

— Żadnych. — Przestał się uśmiechać. Człowiek o twarzy zdumiewająco łagodnej, a przecież stanowczej. Wyczuwałem w nim rzadkie i cudowne połączenie siły i delikatności. — W misteriach wszyscy z wyjątkiem kilku Rzymian jesteśmy Żydami. Ja w mojej uprzywilejowanej roli Jezusa Chrystusa jestem Żydem i tak samo Żydówką jest Matka Boska. Tak samo Żydami są apostołowie. Judasz, Żyd, czyni źle. I źle czynią ci Żydzi, którzy wykrzykują: „Ukrzyżować Go!” Co to w sumie znaczy? To znaczy, że niektórzy Żydzi są dobrzy, niektórzy Żydzi są źli, a czy o wszystkich innych ludziach, wszędzie indziej nie możemy także tego powiedzieć?

Mówił poważnie, w skupieniu — prosty, przyzwoity rzemieślnik i zarazem doskonały aktor w roli, którą grał pełen szacunku.

— Dziękuję — powiedziałem.

Wstał, wyraźnie zadowolony, że rozmowa się skończyła. Pożegnał nas uściskiem ręki i z Rudolfem Lobingerem wyszedł do drugiego pokoju. Myśmy wyszli we dwoje znów w blask upalnego dnia na zatłoczoną turystami ulicę.

— Mnie się nie podobały pana pytania — powiedziała dziewczyna. — Były nieprzychylne.

— Ależ nie.

— Moim zdaniem tak. On był cudowny, ten człowiek. Prawie można by uwierzyć, że to jakaś obecność Pana Jezusa.

— Nawet w szarym garniturze?

— Nawet w szarym garniturze.

— No, a mnie. . . co nie znaczy, że chcę zmienić temat. . . mnie się podobały pytania pani. Były niespodzianką.

— Dlaczego niespodzianką?

— Powiedziała pani przedtem, że strach panią ogarnia. A jednak nie bała się pani.

— Bałam się. Te pytania po prostu musiałam zadać. Nie rozumiałam, jak on może opierać się uczuciu, że jest Jezusem Chrystusem, kiedy musi przecież wzywać się w taką wielką rolę. Ale to przerażająca rzecz do roztrząsania.

— Dlaczego przerażająca?

— Dlatego, że Jezus Chrystus był Bogiem.

Nic na to nie powiedziałem. Zatrzymała się i wpiła mi palce w przedramię.

— Pan w to nie wierzy, prawda?

— Nie wierzę.

— To okropne! — Ruszyła znów przed siebie. — Przykro myśleć o tym. Odcina się pan od czegoś, co dałoby panu tyle. Jest jakaś wielka rzeczywistość. Możemy ją wyczuwać, jeżeli nie zamykamy się przed nią. Modlimy się i nagle wiemy, że ktoś tego słucha.

— Bardzo ładnie. Szanuję to. Na tym polega, przypuszczam, owo tajemnicze coś, co nazywa się wiarą. Ja tego nie mam.

Doszliśmy do jej hotelu. Stała i popatrzyła mi w oczy.

— Teraz napiszę ten wywiad. Czy nie ma pan nic przeciwko temu, że zacytuje wypowiedź Freytaga w kwestii antysemityzmu?

— Oczywiście. To nie jest moja wypowiedź.

— Pan zapytał go o to. No, dobrze. Dziękuję.

Odeszła raptownie i pomyślałem, że mało która dziewczyna tak świetnie jak Joan Terrill potrafi odchodzić, nieomal „znikać”. Sam powinienem napisać relację z wielu rzeczy dla Neila Carltona, ale jeszcze nie byłem gotów. Zamiast wrócić do swojego hotelu, poszedłem dalej, minąłem kościół i znalazłem się w labiryncie starych uliczek i na tej krótkiej uliczce o długiej nazwie: Kirschbaumstrasse.

Stałem tam, gdzie kiedyś Bonifacy Rohlmann ustawił swoje sztalugi, tam gdzie musiał je ustawić, zważywszy perspektywę obrazu. Widziałem, którędy szła jego Matka Boska. Nadal były kocie łby i domy ciągnęły się w dwóch rzędach naprzeciwko siebie, bardzo stare malownicze domy, bo należały do dawnych stuleci, a jeszcze mocno stały wśród nowoczesności. Popatrzyłem na prawo od Matki



Boskiej. Domu z jednorożcem już nie było, jeśli ten dom w ogóle istniał kiedykolwiek. Mógł, oczywiście, być tworem fantazji artysty. W tamtym miejscu stała teraz kamieniczka zupełnie inna, o piętro wyższa.

Podszedłem do tej kamieniczki i popatrzyłem na drzwi. Zdobiło je godło, podobnie jak drzwi wszystkich domów na Kirschbaumstrasse. Proste i wyraźne godło — wiolonczela — pochodzące z epoki znacznie późniejszej niż epoka Bonifacego Rohlmanna. Stwierdziłem też, przyglądając się uważniej, że cała kamieniczka została zbudowana znacznie później. A więc tamtego domu z jednorożcem już nie ma. Jednak ja upodobałem sobie dom z trefnisiem, który stał po drugiej stronie uliczki i który na obrazie zasłaniała postać Matki Boskiej.

Zatrzymałem się znowu tam, gdzie kiedyś Rohlmann umieścił swoje sztalugi, i patrzyłem na tę uliczkę w całości, z wyjątkiem jednej kamieniczki, taką, jaka musiała być w roku 1635. Rok tysiąc sześćset trzydziesty piąty! W trzy lata po Czarnej Zarazie szesnastoletni chłopiec namalował w tym właśnie miejscu obraz godny pamięci.

Jeszcze coś nasunęło mi się niejasno. Judasz podał jakąś datę, niedbale ją zbywając. Piliśmy piwo i ja też dosyć niedbale zanotowałem w myśli to, co powiedział: „W historii Friedheim spalono tylko jedną czarownicę... ona się nazywała Frieda Neuhardt”.

Podał jakąś datę, ale nie miałem pewności, czy dobrze ją sobie przypominam, czy może to jest tylko wymysł dzisiejszego popołudnia. Chyba jednak jej nie wymyśliłem.

— Jak mogłem to przegapić? — zapytałem głośno.

Była niedziela i nie wiedziałem, gdzie Judasz mieszka. A po prostu musiałem zaraz z nim porozmawiać, choćby przez parę minut. Słabą miałem nadzieję, że zastanę go w „Eisenhut”. Nie będzie tam przecież siedział, kiedy słońce świeci, ale innego adresu Judasza nie znałem.

W „Eisenhut” pomimo napływu turystów, który dawał się odczuwać w całym miasteczku, nie było ruchu.

Niewiele miejsc zajmowano przy stołach o tej wczesnej porze. Tylko na końcu sali, przy dużym okrągłym stole pod prostokątnym oknem siedziała gromada mężczyzn, rozmawiających poważnie i z przejęciem. Jaskrawa kolorowa imitacja witrażu w oknie przedstawiała trzech staruszków w ludowych strojach i stożkowatych kapeluszach, którzy podnosili beczułkę wyraźnie za ciężką dla nich. Tę zabawną scenkę, nie wiem dlaczego, zobaczyłem dopiero teraz, ale bardziej interesowała mnie scena pod oknem.

Mężczyźni przy tym stole prawdopodobnie należeli do obsady misterii, byli brodaci i wyglądali na apostołów.

Gdyby pośrodku siedział Chrystus, mogłaby to być jakaś nowoczesna wersja „Ostatniej Wieczerzy” Leonarda. Zobaczyłem tam Judasza, ale nie chciałem mu przeszkadzać. Chociaż na piwo nie miałem chęci, podszedłem do naszego zwykłe-

go stolika, głównie dlatego, że stał niepokaznie z boku. Nie myślałem, że Judasz mnie zobaczy, a jednak zobaczył. Przeszedł przez salę i usiadł ciężko naprzeciw mnie.

— Omawiamy pewną sprawę — powiedział — może niezbyt ważną, ale ważną dla nas. Na długo nie mogę się wyłączać. Pan do mnie?

— Owszem. Mówił mi pan, że tylko jedną czarownicę spalono we Friedheim. W którym roku?

— W tysiąc sześćset sześćdziesiątym pierwszym. Dwudziestego czwartego marca.

— Dziękuję. Czy zdążę jeszcze o coś zapytać?

— Proszę.

— Ten chłopiec, Johannes Veit. Co pan o nim powie?

Odwrócił wzrok, lekko wzruszył ramionami.

— Przystojniaczek. Utalentowany, z dobrej rodziny. Zręcznie rzeźbi w drewnie. Dobry aktor.

— Doskonale. Mówimy o młodym mężczyźnie. Co z nim jest?

Spojrzelśmy sobie w oczy.

— Pana to nie powinno obchodzić!

— Może jednak obchodzi. Ja nie zadaję pytań na wiatr.

— Ani ja nie odpowiadam na pytania lekkomyślnie. Tuśmy się spotkali. Od czasu do czasu u nas, tak jak prawdopodobnie i gdzie indziej, zdarza się, że w ciele dorosłego pokutuje dzieciak. Jego ciało dorosło, ale on sam nie. Czuwamy nad nim nieznacznie. W takim małym miasteczku to nietrudno. My znamy naszych ludzi. To dobrze, że on poznał dziewczynę, obcą dziewczynę. Może dorośnie. Czy ta odpowiedź wystarczy panu?

— Niezupełnie. Ale odpowiedział pan uczciwie. Wasza troska o niego nie obejmuje tej dziewczyny?

Judasz pochylił się ku mnie — studium zastygłego ruchu. Oczy miał wspaniałe, twarz grubo ciosaną i bujną brodę, przystrzyżoną bardzo niechlujnie zapewne dla podkreślenia, że gra rolę łotra.

— Wynikły jakieś kłopoty? — zapytał.

— Nie. Niech pan się nie obawia. Potrafię zapanować nad sytuacją. Tylko musiałem wiedzieć, co pan wie, czy też, co pan myśli.

— Ja o niczym nie wiem dużo. — Judasz wstał. — Jeżeli będę mógł panu w czymś pomóc, niech pan przyjdzie do mnie. Niech pan zostawi wiadomość u mojej żony w ratuszu. — Uśmiechnął się. — Grać w misteriach, to zupełnie, jakby się wstąpiło do klasztoru. Człowiek wycofuje się ze świata. Jestem bardzo rad, że pana poznałem.

I natychmiast się odwracając zrobił niezgrabny ruch ręką. Patrzyłem, jak on wraca przez salę do tego dużego stołu, po czym wyszedłem. Mali, brunatnie przy-

odziani staruszkowie na jaskrawej różnobarwnej szybie nadal szamotali się dzielnie ze swoją beczką.

Niebo przed zmierzchem jaśniało. Była to z jakiegoś powodu najwonnejsza godzina dnia. Ptaki pozdrawiały się, czy może już mówiły sobie dobranoc, rozmaite ptaki wydające rozmaite głosy. Słyszałem je ze wszystkich stron. Zatrzymałem się przed kamiennym murkiem gospody i popatrzyłem na cebulowatą wieżyczkę kościoła.

Jedyna czarownica stracona we Friedheim spłonęła na stosie 24 marca 1661 roku. Dość dziwne. Dość niesamowite, to była właśnie data śmierci Bonifacego Rohlmanna, spalonego rzekomo w Trewirze.

Nieomal usłyszałem głos Ludwiga Lorensona:

„W Trewirze? Chyba nie w Trewirze. No, ale skoro tak mówisz...”

Ludwig wiedział o Bonifacym Rohlmannie więcej, niż był gotów przyznać. Najwidoczniej wiedział, jak i kiedy Rohlmann umarł. Nie zdziwiłbym się, gdybym odkrył, że on wie także, gdzie umarł. Informacji o Trewirze przecież nie potwierdził.

Zastanawiając się nad tym, wróciłem do hotelu. Napisałem długie sprawozdanie dla Neila Carltona, nie wspomniałem jednak o zbieżności tych dat. To był trop, którym zamierzałem iść, a jeszcze nie miałem pojęcia, do czego dojdę.

Sprawozdanie dla Neila pisałem z trudem. Przedstawiłem mu, jak umiałem, misterium, miasteczko, typy ludzi, wywiad z aktorem, który grał Jezusa, i moją dobrą komitywę z Judaszem Iskariotą. Tylko Joan wyłączyłem z tego i nie wspominałem nic o Janie. Ta opowieść pomimo niedociągnięć literackich i prostej charakterystyki postaci wyszła mi nie najgorzej, co stwierdziłem, czytając ją po napisaniu. Prostota — czy to w konstrukcji, czy w człowieku, czy w malarstwie, jeśli jakimś cudem pozostaje tylko i wyłącznie prostotą — zawsze zwraca na siebie naszą uwagę i czasami jest wielkim dziełem sztuki. Na końcu dopisałem osobiste post scriptum:

*Powiedział Pan, że właśnie ja mam szansę odkryć, jakie znaczenie miało nasze przeżycie w związku z tym obrazem. Może to był żart, po części żart z mojego agnostycyzmu. Nie wiem. Pamiętam jednak inne Pana słowa: „Może nawet otworzysz z klucza dwie najgłębsze ze wszystkich tajemnic, Dobro i Zło”. Śmiał się Pan wtedy, i to na pewno z moich absurdalnych dla Pana poglądów. Rzeczywiście ja wtedy wierzyłem, że w ludzkim postępowaniu są stopnie wysokie i niskie, a nie dwie przeciwne sobie siły. Nie wierzyłem w Dobro i Zło. Teraz zachwiałem się w tej niewierze. Więcej jest różnych rzeczy w tym jednym małym miasteczku, niż zdołałbym pomieścić w sprawozdaniu, w obrazie czy książce. Niewykluczone, oczywiście, że to jest tylko nastrój, który minie bez śladu, kiedy stąd wyjadę. Tak czy inaczej, Pan, Panie pastarze, nie mylił się, przepowiadając mi niezwykle przeżycie, chociaż logiczne zakończenie tego wciąż jeszcze mi się wymyka.*

Ten list sownie oklejony znaczkami wrzuciłem do skrzynki na ścianie urzędu pocztowego. Było późno i miasteczko w ciszy przygotowywało się do snu przed poniedziałkową premierą swego misterium. Księżyc przysłała masa obłoków, ale błada poświata przenikała na szczyty dachów i na ulice. W drodze powrotnej musiałem minąć hotel „Geiger” i kiedy zbliżałem się tam, usłyszałem ostry stukot obcasów, z pewnością obcasów biegnącej kobiety.

Joan Terrill wyskoczyła zza rogu, skręciła koło fontanny i pobiegła dalej na skos do drzwi hotelu. Byłem nie dość blisko, żeby zatrzymać ją, ale zobaczyła, że wyciągam rękę. W biegu odprawiła mnie gestem.

— Nie! — powiedziała. — Nie!

I już jej nie było. Po kilku sekundach ktoś jeszcze wyłonił się zza tego samego rogu. To był Jan i musiał mieć pantofle na gumie, gdyż biegł bezszelestnie. Zobaczył mnie tak, jak przedtem ona, i skręcił w lewo po drugiej stronie fontanny. W przenikającej obłoki poświacie księżyca, przez krótką chwilę wahania, wyglądał jak żywy obraz, po czym zniknął.

W miasteczku znów panowała cisza i doszedłem do swojego hotelu nie spotykając już nikogo. Incydentu, którego byłem świadkiem, nie potrafiłem sobie wytłumaczyć, no, ale ostatecznie, czyż moja to rzecz. . .

## ROZDZIAŁ PIĄTY

W poniedziałek ulica tętniła ruchem, donośny tupot nóg i głosy rozlegały się, zanim słońce wzeszło na dobre. Okoliczne ptaki przyzwyczajone do tego, że pierwszy sygnał na rozpoczęcie dnia dają one, protestowały hałaśliwie przeciwko temu cudzoziemskiemu gwarowi. Gwar jednak nie ustawał. Bardzo dużo turystów, którzy zjechali do Friedheim w niedzielę, szło teraz na mszę o godzinie szóstej, mającą otworzyć sezon misteriów pasyjnych.

Nadal było niezmiernie wcześnie, kiedy wszedłem do sali restauracyjnej, gdzie tylko nieliczni przyjezdni jedli śniadanie. Wszyscy inni przypuszczalnie już siedzieli w amfiteatrze albo dochodzili tam. Zanim usiadłem przy swoim stoliku, weszła Joan Terrill. Promieniowała podniecona i wymachiwała jakimś świstkiem papieru.

— Telegram — oznajmiła. — „Globus” się cieszy, gratuluje mi, że zdobyłam szkice Donnera. Oni znają pana!

Sięgnąłem po telegram. Redaktorzy „Globusa” znali mnie, ale nigdy ich ta znajomość nie zachwycała. Telegram jednakże był ciepły, a wyrażenie ciepła przecież podnosi koszt telegramu. Ocenilem to.

— Bardzo miło — powiedziałem. — Niech pani zje ze mną śniadanie.

— Nie mogę. Już jadłam. Ale napiję się kawy.

— Tutejsza kawa jest z reguły podła.

— Wiem. Ale nic na to nie poradzę, więc ją piję. Uradował mnie ich telegram. Mam nadzieję, że zapłacą panu dobrze za te szkice.

— Jeżeli tak, postawię pani wykwinną kolację z winem. Przyjemnie było przy tym śniadaniu patrzeć na nią pełną werwy, podczas gdy ja niezupełnie jeszcze się dobudziłem. Stanowiąc kontrast, dawała mi dobry przykład, jak należy zacząć ten dzień. Nic w jej wyglądzie ani w postawie nie świadczyło, że ubiegłej nocy uciekała w popłochu. Cokolwiek się jej przydarzyło, czy też omal się nie przydarzyło, najwidoczniej już nie było aktualne.

— Wyjeżdżam jutro z powrotem do kraju — powiedziała.

— Nie!? Myślałam, że pani zostanie tu dłużej ode mnie. Ja wyjeżdżam w środę.

— Z przykrością będę wyjeżdżała. — Odwróciła wzrok i posmutniała. Zaan-  
gażowała się we Friedheim tak, jak ja nigdy w życiu w nic się nie angażowałem.  
Prawie nieznacznie wzruszyła ramionami i znów popatrzyła na mnie. — Odlatuje  
z Monachium do Londynu jutro po południu. Jeden dzień tam, a potem już Nowy  
Jork.

Nie miało w sobie żadnej realności to mówienie o Monachium i Londynie  
jutro, o Nowym Jorku w czwartek — nie miało w naszej tyrolskiej sali jadalnej,  
kiedy kościelny dzwon za oknami obwieszczał początek misterium pasyjnego.  
Wiedziałem, że tylko o jeden dzień później niż Joan Terrill czeka mnie przebycie  
ogromnej odległości, ale niedaleko amfiteatru, gdzie siedzieliśmy, skromny zespół  
małomiasteczkowych Niemców, przekreślając z historii świata dwa tysiące lat,  
poważnie i uroczyście wytworzył jakąś swoistą półrealność.

— Niech pani zje dziś ze mną kolację — powiedziałem. Skinęła głową.

— Dziękuję. Miałam nadzieję, że pan mnie zaprosi.

— Siódma trzydzieści?

— Świetnie.

Zostawiła mnie z tym i patrzyłem, jak odchodzi, nie bardzo wiedząc, co o niej  
myśleć. Na pewno zmieniała się w ciągu tych kilku dni, które spędziła jako Miss  
„Globus” we Friedheim. Wydawało się niedorzecznością powiedzieć, że dojrzała,  
ale takie właśnie wrażenie zrobiła teraz na mnie. Friedheim było bez wątpienia  
wielką przygodą w jej życiu. Przed przyjazdem tu zachowała w pewnym stopniu  
niewinność pomimo wyższych studiów i „Globusa”, i samodzielności w Nowym  
Jorku z dala od rodzinnego domu, i to w grzesznych latach siedemdziesiątych,  
dziesięcioleciu nagości i swawoli.

Wziąłem moje składane sztalugi i walizeczkę z przyborami malarskimi i po-  
szedłem do kościoła zygzakowaną trasą, biegnącą przez ulicę lutników, przez ulicę  
szewców i przez tę krótką uliczkę o długiej nazwie, po której szła Matka Boska  
Bonifacego Rohlmana. Joan Terrill prawdopodobnie zatrzymałaby się, żeby za-  
pełnić notatnik danymi o wyrobie obuwia i o instrumentach smyczkowych, ale  
ja nie interesowałem się tymi rzeczami. Nie miałem żyłki dziennikarza. Nie na-  
uczyłem się wnikać w to, co mnie osobiście nie obchodziło, i prawdopodobnie  
widziałem tylko małą część tego urzekającego świata, w którym żyłem.

Lutnicy i szewcy pilnie pracowali, jak gdyby nie było misterium przyciąga-  
jącego tyle ludzi do amfiteatru. Inni pracowali także w hotelach i sklepach, i na  
ulicach miasteczka. W kościele było pusto i cisza budziła jakąś dziwną cześć. Ru-  
szyłem w głąb nawy, przygnębiony mnogością aniołów ponad ołtarzem i poniżej  
witraży, ponad konfesjonałami i pod amboną. Ale też byli i święci, dużo świętych.  
Widziałem w nich człowieczeństwo, coś, co stwarzało wrażenie człowieczego cie-  
pła, a co każdy, chyba nawet mierny snycerz wydobywa ze starego wyschniętego  
drewna.

Zbliżałem się do Madonny Bonifacego Rohlmana powoli, z rozmysłem starannie odmierzając kroki. Teraz, tym drugim razem, szedłem Jej wprost na spotkanie z przeciwnego kierunku. Ona szła z wdziękiem, uśmiechała się i trzymała swoje Dziecię delikatnie, z szacunkiem. Urocza kobieta, pełna radości życia na uliczce Friedheim, które dlatego, że tak zdecydował malarz, było Jej miasteczkiem.

Rozstawiłem sztalugi, przygotowałem deskę i karton. Miałem narysować ołówkiem to, co Rohlmann namalował olejno, i zanotować kolory, bo zamierzałem spróbować po powrocie do kraju odtworzyć ten obraz.

Kopiowanie dla mnie jest skupieniem, wyłączeniem się. Jeżeli udaje mi się oderwać od własnego życia i wżyć się w cudze, pracuję z satysfakcją. Są malarze, którzy kopiując panują nad swoją pracą, umieszczają każdy kamyk dokładnie na miejscu, zaznaczają układ draperii, kształt kwiatu: w swoim projekcie czynią każdy przedmiot jednostką. Ja tak nie potrafię. Koncentracja przenosi mnie w inne życie, w inne otoczenie i maluję to, co tam widzę: wcale tego sobie nie układam.

Ten obraz przede mną sprawił, że znalazłem się na Krrschbaumstrasse. Domy stały stłoczone i widziałem wyraźnie jednorożca na najbliższych drzwiach. Uliczka, brukowana kocimi łbami, była wyboista, ale Matka Boska szła pewnym krokiem. Wyraz Jej twarzy, świetlistość Jej oczu mówiły, że cieszy się i chlubi tym, że jest tu, gdzie jest. Chłopiec, który namalował ten obraz, miał talent i obdarzył swoją Madonnę radością i dumą, jakie sam odczuwał. Madonna przeżyła go i teraz już nie odbija jego uczuć: teraz ta uliczka, i to miasteczko, i urzeczony wzrok patrzących należą tylko do Niej.

Szczegół po szczególe obraz przenosił się ze ściany na karton na moich sztalugach, rozdzielając się, a przecież pozostając w ramie nierozdzielny. Nie słyszałem, jak ktoś wszedł do kościoła, ale chociaż nie odwracałem głowy, uświadomiłem sobie ostatecznie czyjaś obecność. Ów ktoś siedział w ławce za mną. Jak gdyby orientując się, że już wiem o nim, powiedział:

— Potrzebuje pan więcej światła. Przyniosę świecę.

— Dziękuję.

Szurając odszedł i zaraz wrócił. W kościele było światło elektryczne, ale najwidoczniej zbyt daleko od miejsca, w którym rysowałem. Postawił za mną wysoką świecę z głównego ołtarza, wahał się przez chwilę, po czym ją przesunął. Miał dobre oko. Obraz nabrał życia. Przedtem to było głównie rzutowanie mojego zainteresowania, odbicie mojej wyobraźni. W blasku świecy nabrał jakiegoś dodatkowego wymiaru, pełganie płomienia wytworzyło nowy ruch, nastrój wiatru i bardzo realne wrażenie kobiety idącej.

Tym, który przyniósł świecę, był, jak się domyśliłem, proboszcz. Niski, chudy człowiek w czarnej sutannie, ponad sześćdziesięcioletni, ale trzymający się prosto i silny. Syn ziemi czy przynajmniej syn dzieci ziemi. Głowa jego i rysy twarzy wyglądały raczej jak ulepione z gliny niż jak rzeźba z brązu. Miał prosty

nos, troszeczkę za długi, stanowcze usta z lekko wydatną dolną wargą, podbródek wysunięty, głębokie bruzdy na czole i pomiędzy ustami a nosem, brązowe plamy wątrobiane. Włosy szpakowate, rzadkie i cienkie, brwi krzaczaste.

— Światło było niedobre — powiedział.

Mówił po angielsku zająkliwie, odpowiedziałem mu więc po niemiecku:

— Bardzo jestem wdzięczny za tę świecę. Uwypukla szczegóły, których nie chciałbym pominąć.

Przytaknął. To, że znam niemiecki, sprawiło mu wyraźną ulgę. Był uprzejmy, ale nie wyczuwałem w nim życzliwości. Może niełatwo przychodziło mu przełamywanie lodów z obcymi ludźmi innego wyznania.

— Podoba się panu ten obraz? — zapytał.

— Ogromnie. Malarz tu stworzył Madonnę, która nie wygląda jak wystrojona lalka. Namalował kobietę.

Spojrzał na obraz i zastanowił się. Poruszyłem chyba coś, czego nikt dotychczas mu nie mówił.

— Może tym właśnie zawinił — powiedział.

— Jak to?

— Dla wierzących Maryja Panna jest legendą, duchem. My wierzymy w Niepokalane Poczęcie, Zwiastowanie, cudowne Narodzenie, Wniebowzięcie. My w tym wypadku nie stoimy wobec zwykłej kobiety. To są rzeczy nadprzyrodzone. Nie zdarzają się zwykłym kobietom i wielcy malarze to rozumieli. Ten malarz był młody. Nie rozumiał.

— Ja wolę tego malarza. On namalował Matkę Boską chodzącą po waszych ulicach.

— Fantazja. Bez podstaw faktycznych. Maryja Panna nigdy tędy nie chodziła.

— Jest ksiądz pewny?

Wytworzyło się jakieś powinowactwo między mną i tym księdzem, pomimo cienia wrogości, jaką w nim wyczuwałem — powinowactwo, być może, przeciwników wkraczających na jakąś wspólną płaszczyznę. Ja musiałem z jego pomocą rozwiązać zagadkę Bonifacego Rohlmana, ale on — jak mi było wiadomo — swoje nagromadzone dane ujawniał tylko katolikom. Rozważał teraz moje pytanie, patrząc na mnie.

— Nie pojmuję, o co panu chodzi — rzekł powoli. — Ten malarz popuścił wodze wyobraźni. Rezultatem jest coś uroczonego. Dla niektórych ludzi to fantazja poetycka. Przecież nierealna. On powinien był poezję ubrać w odzież poezji, a nie w odzież realności. To brak konsekwencji z jego strony.

— Ksiądz mnie rozczarowuje. — Wziąłem znowu ołówek. — Widziałem wazę misterium. Gdybym wierzył tak, jak ksiądz wierzy, gdybym potrafił uznać je za przedstawienie faktów, wierzyłbym również i w to, że Matka Boska chodziła po ulicach Friedheim.



Pracowałem dalej. Ten człowiek za mną milczał, prawdopodobnie nie chciał mi przeszkadzać, czy może szanował to, co robiłem; czy też może potrzebował czasu, żeby przemyśleć moje słowa. Ręce Matki Boskiej były rękami niemieckiej wieśniaczki z roku 1635. Bo i jakież mogłyby być? Szerokie ręce o krótkich palcach, ale piękne. Zrobiłem sobie jeszcze jedną przerwę. Ksiądz czekał na to.

— Ja nie potępiam tego obrazu — powiedział. — Ja tylko zakwestionowałem go, powołując się na innych malarzy. Ten obraz leżał w ukryciu, zapakowany starannie, ale w ukryciu, dopóki ja nie objąłem tu probostwa. Sam go oprawiłem i umieściłem tutaj, gdzie jest, i napisałem tę małą informację pod nim. — Umilkł i machnięciem ręki wyraził dezaprobatę. — Nie pochodzę z Friedheim, nie odziedziczyłem tradycji tego miasteczka. Moje rodzinne miasto to Landsberg, zupełnie inne, a przecież takie sarno.

— Wszystkie miasteczka są takie same, jeżeli się je zbada dostatecznie głęboko i dotrze się do ich mieszkańców. Jestem Kirk Donner — przedstawiłem się.

— Ksiądz Albrecht Schecker.

Nie podał mi ręki, ale czułem, że zdecydowanie jest już bardziej życzliwy. Siedziałem w jednej ławce, a on w drugiej w czasie tej mojej przerwy.

— Bonifacy Rohlmann był wielkim malarzem — powiedziałem. — Jednym z tych naprawdę wielkich, chociaż tak skromne mamy dowody, tych parę jego obrazów zaledwie.

Ksiądz poderwał się na dźwięk nazwiska Rohlmann. Siedział teraz wyprostowany.

— Skąd pan wie o tym? — zapytał. — Kto panu powiedział, jak się nazywał malarz, który namalował ten obraz?

— Nikt. To przecież oczywiste. Rohlmann urodził się tutaj we Friedheim w roku tysiąc sześćset dziewiętnastym. Z napisu pod obrazem wiem, że ów malarz w roku tysiąc sześćset trzydziestym piątym miał lat szesnaście. Ilu malarzy młodych czy starych pochodzi z Friedheim?

— Ale to nazwisko Rohlmann! Jak pan się dowiedział?

— Widziałem jeden z jego obrazów w Nowym Jorku, straszliwy obraz. Dlatego zainteresowałem się tym człowiekiem.

Przydałoby się postudiować wtedy wyraz twarzy księdza Scheckera, ale ja z rozmysłem obojętnie wróciłem do pracy. Szanując tę pracę, ksiądz siedział w ławce cicho. Byliśmy w kościele sami i właściwie byliśmy sami w miasteczku. Ludzie oglądali sąd nad Jezusem.

Ten obraz był prosty. Jedna jedyna postać i dwa rzędy domów, ale, jak każda prawdziwa prostota, miał swoją głębię, swoje pointy zaznaczone, chociaż nie dobitnie. Domy były bez oznak życia, ale z godłami na drzwiach i na ścianach. Widać było, że godła tam są, a przecież rozpoznawało się tylko to jedno, łeb jedno-rożca. Narysowałem Matkę Boską i z grubsza naszkicowałem domy. Odwróciłem się do księdza Scheckera.

— Jaki jest ten obraz w Nowym Jorku? — zapytał. — I gdzie jest?

— Zrobię z księdzem wymianę. Opowiem o tamtym obrazie, jeżeli w zamian ksiądz mi opowie to, co mu wiadomo o Bonifacym Rohlmannie.

— Wiadomo mi niewiele. Więc na nic to panu. Po co?

— To już ja ocenię. Ksiądz rozumie, ja trochę o Rohlmannie wiem.

Przymrużył oczy.

— Pan jest obcy. Skąd mogę wiedzieć, że pan rzeczywiście widział obraz, o którym pan mówi?

To był krytyczny moment. Mogłem przesolić, mogłem niedosolić i wtedy koniec. Ostrożność niemieckiego wieśniaka szybko może zmienić się w podejrzliwość, a podejrzliwość we wrogość.

— Tamten obraz miał w sobie jakieś czary — powiedziałem spokojnie — rzeczywiste czary. Nie można go było wystawiać.

Nie zauważyłem, że on wstrzymał oddech, ale usłyszałem po chwili, jak wypuszcza z płuc powietrze.

— Co pan chce wiedzieć? — zapytał.

— O jego śmierci. Rzekomo umarł dwudziestego czwartego marca tysiąc sześćset sześćdziesiątego pierwszego roku w Trewirze. Ja w to nie wierzę. Tego samego dnia jakaś rzekoma czarownica, Frieda Neuhardt, została spalona na stosie we Friedheim. Czy to nie był fałsz? Czy to nie Rohlmann umarł tutaj pod imieniem i nazwiskiem kobiety?

Ksiądz Albrecht Schecker miał teraz twarz jak maska stanowczości i siły, która doprawdy nie wyglądałaby źle na portalu katedry. Mógłby uchylić się od odpowiedzi, bo niezbyt dobrze sformułowałem pytanie. Wolał jednak się nie uchylać.

— Ja nic nie wiem o jego śmierci — powiedział. — W kronikach parafialnych jest podane, że tamtego dnia, o którym pan mówi, spłonęło na stosie dwoje ludzi: „Frieda Neuhardt, czarownica, i towarzysz”. Nazwisko towarzysza nie jest podane.

— Ale ksiądz przypuszcza, że tym towarzyszem był Rohlmann?

— Nie mam powodu przypuszczać czy też nie przypuszczać. Ja nie wiem.

— To miasteczko mogło spalić jednego ze swoich synów — powiedziałem szorstko — a potem ukryć jego tożsamość dlatego, że to był syn miasta Friedheim.

— Możliwe. Takie dawne dzieje. On może miał tutaj wtedy rodziców, rodzeństwo. Spalenie na stosie było okropnością. Możliwe, że ludzie próbowali jakoś ratować swoje rodziny. Nie znamy tego rodzaju sytuacji, więc nie możemy osądzać. W Anglii palono czarnoksiężników i czarownice. We Francji także. Tysiące ich. Friedheim spaliło tylko dwoje. O żadnych innych nie ma wzmianki w zapisach.

— Ja nie wierzę w czarnoksiężników ani w czarownice, ani w palenie ich na stosie. To przesąd, okrutny przesąd.

— Nie. Pan się myli.

— Co z protokołem tego procesu? Jaką zbrodnię popełnili ci dwoje?  
— Protokół się nie zachował.  
— Czy może mi ksiądz coś więcej powiedzieć o Bonifacym Rohlmannie?  
— Niewiele. Urodził się tutaj w roku tysiąc sześćset dziewiętnastym. Ochrzczony jedenastego lipca tamtego roku. Był jeden Rohlmann wśród ofiar zaraży w roku tysiąc sześćset trzydziestym drugim: Karl. Ta rodzina prawdopodobnie wyprowadziła się z Friedheim. W księgach kościelnych zapisuje się narodziny, śluby i zgony, a nie przeprowadzki.  
— Ksiądz interesuje się nie mniej niż ja historią Rohlmannów.  
— Nie. Ja interesuję się tym chłopcem, który w wieku lat szesnastu potrafił namalować taki obraz. Jest w tym obrazie czystość ducha.  
Rzucił mi wzrokiem wyzwanie, ale nie obruszyłem się. Zagadnienie czystości ducha w tym obrazie było mi zupełnie obojętne.  
— Powiedziałem panu, co wiem — zakończył ksiądz Schecker. — Teraz niech pan mi opowie o tamtym obrazie w Nowym Jorku.  
Usiadł w ławce wygodniej i założył ręce na piersiach. Powiedział mi tyle, ile zamierzał powiedzieć, i czekał gotów rozważyć podejrzliwie to, co ja mu powiem. Opowiedziałem, jak Ludwig zaprosił mnie do obejrzenia obrazu i jacy ludzie byli tam obecni. Przerwał mi pytaniem o tego księdza katolickiego, wyraźnie zdumionym faktem, że był tam również ksiądz katolicki.  
— Ojciec Graney zna się na sztuce — wyjaśniłem. — Jezuita.  
— Aach!  
Najwidoczniej to tłumaczyło wszystko. Obecność jezuita w tym stosunkowo dziwnym dla niego towarzystwie nie zdumiewała go wcale. Zagłębiłem się w opisywanie mu tamtego obrazu i zaznaczyłem, że patrząc doznawało się takiego uczucia, jakby patrzyło się tuż zza murku namalowanego dziedzińca. Słuchał z twarzą ściągniętą.  
— Widział pan tę scenę wczoraj — powiedział. — W naszych misteriach wygląda dokładnie tak, jak pan to przedstawia.  
— Właśnie. I szukam wyjaśnienia, jak do tego doszło. Ta scena jest unikatem. Nie znajdzie się jej w innych obrazach. Znajdzie się sceny poprzedzające i sceny następne, ale tej nie. A jednak ona jest w waszym misterium.  
— Na swoim należytym miejscu.  
— Tak, i odtwarzana w tym bezruchu, w jakim pokazujecie również „Ostatnią Wieczerzę”, „Mękę w Ogrójcu”, „Zdjęcie z krzyża”. Za łatwo byłoby powiedzieć, że Rohlmann widział tę scenę w misterium i skopiował ją.  
— Dlaczego za łatwo?  
Ksiądz Schecker nie musiał zadać mi tego pytania. Przecież znał odpowiedź. Ale mu odpowiedziałem:  
— Za jego czasów wystawiano misteria pasyjne we Friedheim tylko dwa razy, w roku tysiąc sześćset czterdziestym drugim i w roku tysiąc sześćset pięćdziesiąt-

tym drugim. To z pewnością były proste, prymitywne przedstawienia, nie takie jak misteria obecnie i on prawdopodobnie nie był ani na jednym, ani na drugim. Malował wtedy w Bambergu i w Würzburgu i, co nie ulega wątpliwości, studiował we Włoszech.

Ksiądz milczał. Twarz miał obojętną, zainteresowanie błyszczało tylko w jego oczach.

— Jest inne wyjaśnienie — powiedziałem — i to musi być wyjaśnienie jedyne.

— Chciałbym wiedzieć, jakie.

— Bonifacy Rohlmann namalował obraz, który widziałem w Nowym Jorku, i niewątpliwie wiedział, że to jest jego wielkie osiągnięcie. Przywiózł go do rodzinnego Friedheim i wtedy ktoś tutaj, kto pracował nad rozwinięciem misteriów, zobaczył go i albo przerysował, albo dokładnie opisał; potem Rohlmann z tym obrazem znalazł się w tarapatach i uciekł do Würzburga. Jacyś Żydzi tam ukryli obraz. I stamtąd przysłano go do Nowego Jorku.

— W tarapatach? Co pan przez to rozumie?

— Już księdzu mówiłem. Były w tym obrazie jakieś czary, coś niewytłumaczalnego.

Tą właśnie sensacją chciałem księdza Scheckera pozyskać i starałem się przedstawić ją jak najpełniej, opisując szczegółowo zarówno obraz, jak i wrażenie, jakie na nas zrobił. Nawet opowiedziałem o Robercie, chociaż właściwie postanowiłem nie mówić o nim. Ksiądz wysłuchał mnie w milczeniu, uważnie, a potem wstał i podszedł do balustradki przed ołtarzem swojego kościoła. Patrzyłem, jak stoi przodem do ołtarza, plecami do mnie, i czekałem. Po kilku minutach wrócił.

— Mówi pan, że pan nie wierzy w czarnoksiężników i w czarownice — powiedział ochryple — ale w ten obraz, który mi pan opisał, w czary tego obrazu pan wierzy.

— Nie mogę nie wierzyć. Widziałem na własne oczy.

— A nie widział pan czarownic ani czarnoksiężników, o których pisali naoczni świadkowie. Dla pana cudze naoczne świadectwa były przesądem.

— Tak. Obawiam się, że nadal to dla mnie tylko przesąd.

— I może pan ma rację. — Ksiądz usiadł w ławce ociężale. — Ja nie potrafię udowodnić, że pan się myli. Ale niech pan zważy. Zanim zjawili się chrześcijanie, ten kraj należał do pogan. Oni mieli wielu bogów. Nie wiem, czy ich bogowie byli aniołami, czy diabłami. Zapewne jednym i drugim. Ludzie modlili się do nich i składali ofiary. Gdzieś tam są jeszcze kulty tamtych bogów. I zdarzają się różne dziwy. Słyszał pan o wampirach i wilkołakach. To nie zawsze są tak zwane dreszczowce. Ileś osób tutaj opowie panu o nich. Utrzymuje się tu dawna tradycja.

— Nie wątpię. Ksiądz jest duchownym i człowiekiem inteligentnym. Czy ksiądz wierzy w te opowieści?

Był spocony i chyba zakłopotany tym, że powiedział tak dużo. Zbył moje słowa machnięciem ręki.

— Inteligencja. Dziękuję. Kościół docenia inteligencję księży, ale jej nie wymaga. — Parsknął śmiechem. — Można to stwierdzić nieraz. Pyta pan, w co ja wierzę. Powiem panu. Rozmawiamy o czarach w malarstwie. Powiem panu coś, co pan zapewne i tak wie — urwał i nie patrzył na mnie. Patrzył na Matkę Boską Rohlmanna. — Są jakieś czary w obrazach, czary wmalowane, i to jest biała magia, która służy Bogu. Znamy w Europie niejedną Madonnę płaczącą prawdziwymi łzami, dużo ludzi widziało, jak łzy spływają Jej z oczu. Poddano te obrazy badaniu i eksperci nie znaleźli w nich oszukaństwa, ani śladu oszukaństwa. Zdarza się też, że święci na obrazach broczą prawdziwą krwią. Są co najmniej dwie Madonny na obrazach o oczach nagle nabierających życia i poruszających się w pewnych okolicznościach. Ja żadnego z tych obrazów nie widziałem, ale wierzę ludziom, którzy je badali.

— Ciekawe. A czy ksiądz słyszał kiedyś o takim obrazie, o jakim ja księdzu opowiedziałem?

— Nie. Sądząc z pana opisu, to obraz dobroczynny, nie czyni zła, może daje patrzącemu jakąś naukę. Mogłaby to być biała magia, ale może i nie. Podobne obrazy, o jakich ja słyszałem, to są złe obrazy.

— Jak to złe?

— Powtarzam panu tylko to, co słyszałem. Pewne kultury posiadają obrazy, które wyraźnie mają w sobie życie. Namalowane demony odpowiadają na pytania tak albo nie: nie mówą, lecz poruszaniem warg. Wargi ich się poruszają, kiedy pada pytanie.

— Ksiądz w to wierzy?

— Zawsze jest możliwość, że relacja jest zgodna z prawdą, jeżeli ten, kto relacjonuje, jest człowiekiem prawym. Słyszałem także o demonach, które na obrazach krwawią jak ci święci.

On był szczerzy. Nie ulegało wątpliwości, że od dzieciństwa nasłuchiwał się wielu podań ludowych i legend. Utrzymywał przyzwoity dystans do tych spraw, jak przystało na księdza, ale widziałem, że okultyzm go urzeka. Wierzył w to, w co ja nie wierzyłem, musiałem respektować jego prawo do własnych przekonań.

— Dla mnie — powiedziałem — nie ma absolutnego dobra ani absolutnego zła. Ludzie nadają kształt życiu, zgodnie z tym, czego chcą, albo w co wierzą, albo czego ich nauczono. Potykają się przy tym, odnoszą triumfy, ponoszą klęski i nabierają przyzwyczajęń nieraz zabójczych dla nich samych.

Ksiądz potrząsnął głową.

— Cała prawda jest w naszych misteriach pasyjnych. I była w tym obrazie Bonifacego Rohlmanna, który pan mi opisał. Czy pan zna to słowo kluczowe?

— Chyba nie.

— Wina.

Czekał, patrząc na mnie, a ja wiedziałem, że wszedłem w jedną z najbardziej odwiecznych pułapek. Wdałem się w dyskusję z księdzem na jego własnym terenie.

— Niech pan rozważy misterium pasyjne — podjął ksiądz Schecker po chwili. — Można powiedzieć, że Judasz jest winny, bo zdradził Chrystusa, i że kapłani są winni, bo oszukali Judasza i ukryli fakt, że Chrystus ma zostać skazany na śmierć. Można powiedzieć, że Piłat jest winny, bo skazał Jezusa, chociaż uważał Go za niewinnego, i że ten tłum jest winny, bo domagał się, żeby Chrystusa ukrzyżowano. I miałoby się rację. Oni wszyscy zawinili, ale każdy człowiek musi sam zmierzyć się ze swoją winą, ani nie porównując jej do win cudzych, ani nie usprawiedliwiając jej. Ci, którzy razem z panem oglądali tamten obraz, nie potrafili zdobyć się na to. Człowiek nie chce na swoją winę patrzeć.

— Ja patrzyłem. Czułem pogardę dla siebie na obrazie, ale mniej się tym przejąłem niż moi przyjaciele, którzy również widzieli tam siebie.

— Co pan robił na tym obrazie?

— Pochylałem się po kamień, żeby rzucić nim z ukrycia w tłumie.

— Pan jest ateistą?

— Nie. Jestem agnostykiem.

— Chrystus nie był Bogiem według pana?

— Nie był.

— A więc widział pan siebie gotującego się do rzucenia kamieniem w człowieka. Pana towarzysze widzieli siebie występujących przeciwko Bogu.

Chciałem zaoponować, powołać się na fakt, że Ludwig Lorenson, tak samo jak ja, nie uważa Chrystusa za Boga; ale przypomniałem sobie tę sytuację. Powodem zdenerwowania Ludwiga nie był żaden postępek wymierzony przeciwko samotnej postaci pośrodku dziedzińca. On zobaczył siebie w krzepkim rzymskim żołnierzu, odpychającym ludzi z drogi. Zobaczył swoje przestępstwo przeciwko ludziom.

— Jest Bóg i jest Zło — powiedział ksiądz Schecker. — Są ludzie, którzy w świat wnoszą piękno, i ludzie, którzy je niszczą; ludzie, którzy leczą rany, i ludzie, którzy je zadają. Ludzie, którzy uczą, i ludzie, którzy wprowadzają w umysły zamęt; ludzie, którzy modlą się, i ludzie, którzy klną. — Bezradnie rozłożył ręce. — Temat rozległy, ale to prawda. Są ludzie mierni, którzy nie wiedzą, czemu służą, i są tacy, którzy rozmyślnie służą Złu dla korzyści, jakie w tym widzą. Są także tacy, którzy wolą służyć Bogu.

— Również dla korzyści, jakie w tym widzą.

— Niejeden, być może, trochę dlatego. Tylko trochę. Dobro nie obiecuje żadnych korzyści doczesnych. Nagrody często niespodziewanie są zawarte w samym czynieniu dobra. Ci, którzy służą Złu, wymagają korzyści namacalnych. Tak jak Faust.

— Faust był legendą, opowieścią, nie istniał rzeczywiście.

— Może tak, a może nie. Nieważne. Faust był symbolem, prawdziwym symbolem.

— Czego?

— Człowieka kuszonego pozornymi nagrodami Zła.

— Ksiądz mnie zadziwia — powiedziałem. — Nagrody Zła, nawet tak, jak ksiądz to ujmuje, nie są „pozorne”, są konkretne. Ludzie ciągną zyski ze Zła i przecież sam ksiądz przyznaje, że decyzja należy do nich.

Siedział w milczeniu. Niepokąźny, pospolity człowieczek. Logicznie nikt by się nie dopatrywał głębi pod powierzchownością tak nieciekawą.

— Nikt z tych, którzy wierzą w nieśmiertelność, nie służy Złu rozmyślnie w wyniku decyzji — powiedział spokojnie. — To jest ta ostateczna próba. Ten, kto wierzy, że ma tylko jedno życie i że potem czeka go nicość, nie lęka się Zła i jeżeli Zło ofiarowuje nagrody, daje się skusić.

— Znam wielu, którzy nie wierzą w nieśmiertelność, a przecież nie służą żadnemu Złu — powiedziałem. — Są wspaniałymi, przyzwoitymi ludźmi i czynią wszelkie to księdza dobro, wnoszą piękno, leczą rany, nauczają.

— Tak — ksiądz uśmiechnął się lekko. — W takim ujęciu to jest jak gdyby usiłowanie naprawienia winy. W końcu człowiek stoi samotny, mierzony miarą swoich uczynków. Jeżeli nie wierzy w nieśmiertelność, to może jednak nieśmiertelność wierzy w niego.

Wstał, żeby odejść, obciążając na sobie sutannę. A ja wtedy wiedziony odruchem, nad którym nawet się nie zastanowiłem, powiedziałem:

— Ta Madonna Rohlmanna oznacza dla księdza bardzo dużo, inaczej ksiądz by tego obrazu nie umieścił tutaj. Może by ksiądz zechciał, proszę, przyjąć ode mnie tę moją kopię, po prostu na pamiątkę naszej rozmowy.

Stał bez ruchu jak wyrzeźbiony w drewnie, jak te figury w jego kościele.

— Nie mógłbym. Pan tego nie rysował dla mnie. Nie zdołałbym w żaden sposób się panu zrewanżować.

— Może rysowałem to właśnie dla księdza, nie wiedząc o tym. I zrewanżował mi się ksiądz już dostatecznie.

Wręczyłem karton proboszczowi. Popatrzył na rysunek, a potem podniósł wzrok. Oczy mu zwilgotniały.

— Pan zrobi drugą kopię? — zapytał. — Dla siebie?

— Tak. Dziś po południu.

— Jest pan agnastykiem, powiada pan. Ja nie wiem. Jest pan grzesznikiem, co do tego nie mam wątpliwości. Nigdy nie spotkałem człowieka, który nie byłby grzesznikiem. — Znów popatrzył na rysunek. — To wspaniały prezent. Nie zapomnę o panu.

Prawą ręką uczynił znak krzyża i odwrócił się. Nie marnowałem czasu na roztrząsanie, dlaczego dałem mu ten szkic. Nadeszła już pora obiadu. Ruszyłem do hotelu, odsuwając wszelkie myśli o księdzu proboszczu Scheckerze.

Kiedy wróciłem do kościoła, przed Matką Boską, Patronką Friedheim, stała nowa świeca. Zapaliłem ją i zacząłem rysować. Przez całe to popołudnie ludzie wchodzili do kościoła, modlili się i wychodzili. Nie przeszkadzali mi, więc nie zwracałem na nich uwagi. Kiedy drugi szkic został ukończony, przyjrzałem mu się w świetle. Matka Boska szła radośnie najskromniejszą uliczką Friedheim i nawet na tym rysunku była urocza. Nieźle się spisałem. Uznałem, że ta kopia jest o wiele lepsza niż tamta, którą dałem księdzu. Nie przypuszczałem, że tak dobrze mi wyjdzie.

Wszystko to czegoś tam dowodzi — pomyślałem — albo nie dowodzi niczego w ogóle.

Do hotelu wracałem zdumiony odkryciem, że w czasie mego pobytu w kościele padał ulewny deszcz. Chodniki były mokre, ale niebo już się wypogadzało. Nie miałem z kim rozmawiać, tylko wyobraziłem sobie, że mówię do kogoś:

— Aż tak lało? Wcale nie wiedziałem. Byłem w kościele.

Ta myśl rozbawiła mnie, co oczywiście może świadczyć o infantylności.



## ROZDZIAŁ SZÓSTY

W hotelu czekał na mnie liścik. Bez pozdrowień czy nagłówka, bez żadnego „Szanowny panie” itede.

*Podtrzymuję aktualność pańskiego zaproszenia i pozwalam zabrać się na kolację — przeczytałem — ale stolik zarezerwowałam tutaj, w moim hotelu. Mam nadzieję, że Pan nie ma nic przeciwko tolerowaniu kobiecych kapryśków.*

*Joan Terrill*

Najwyraźniej ona podpisała to zrazu tylko imieniem „Joan” i dopiero potem dodała nazwisko. „Terrill” było dopisane nieomal innym charakterem pisma. Rozbawiła mnie tym, a doprawdy potrzebowałem rozbawienia. Napracowałem się i rozmowa z księdzem stanowiła jakieś wyzwanie dla mnie. Na domiar wszystkiego musiałem czekać w ogonku, żeby się dostać pod prysznic w ogólnej łazience, dosyć oddalonej od mojego pokoju.

Joan Terrill, kiedy przyszedłem do jej hotelu, siedziała w hallu. Była w ciemnoniebieskiej sukience, w której przedtem jej nie widziałem, i w niedbale przewiązanym jasnoniebieskim szaliku. Wydawałoby się, że te kontrastowe odcienie błękitu i szafiru nie będą podkreślać kasztanowatego tonu jej włosów, a jednak podkreślały. Zarezerwowała łóżę za główną salą restauracyjną, tę samą łóżę, jedną z trzech pod zachodnią ścianą, gdzie widziałem ją z Janem — przytulną wnękę z pseudokamiennym łukiem zdobnym w pseudołeb lwa. Każda z tych łóż dawała pewne odosobnienie w zatłoczonej sali.

— Co pani knuje? — zapytałem. — Jakież egzorcyzmy? Odżegnywanie ducha?

— Może. Ale nie powinien pan zwracać na to uwagi.

— Dlaczego?

— Dlatego, że są pewne tereny zawarowane wyłącznie dla kobiet. Po prostu kobiety czują się na nich bezpiecznie, a spostrzegawczy mężczyźni udają, że o nich nie wiedzą.

— Spostrzegawczy mężczyźni może udawali kiedyś! I to niekoniecznie! W czasach wiktoriańskich albo edwardiańskich. Teraz już nie udają.

Spokojnie patrzyła mi w oczy.

— Jeszcze bywają mężczyźni przyzwoicie powściągliwi. Pan jest czy też mógłby być jednym z nich. Mniejsza o to. Zerkniemy na jadłospis?

Zerknęliśmy na jadłospis. Zaczynałem rozumieć, jak Joan Terrill przetrwała w świecie szorstkich, bezceremonialnych ludzi w college'u i w redakcji „Głobusa”, i wszędzie indziej. Ona świetnie panowała nad swoim zawarowanym dla kobiet terenem. Nauczyła się zatrzymywać wszelkich ewentualnych intruzów na linii granicznej. Z pewnością bardzo jej nie lubiano w wielu grupach, w wielu środowiskach.

Zamówiliśmy cielęcinę i, chociaż w książkach kucharskich wyraża się co do tego wątpliwości i zastrzeżenia, białe wino. Wzniosłem toast.

— Jedzie pani do kraju — powiedziałem. — Pijemy za następne pani zadanie, jakiegokolwiek ono będzie!

Uroczyście trąciła się ze mną kieliszkiem.

— Prawdopodobnie wejde z powrotem w moją koleinę badań, bibliotek, książek i listów.

— Tutaj we Friedheim poradziła pani sobie bardzo dobrze, prawda?

— Raczej tak — machnęła ręką niedbale. — Ale nie jestem typową korespondentką. Ja wiem. Gdyby to ode mnie zależało, chyba chciałabym nią być. Mniejsza o to! Miałam dzisiaj fantastyczne przeżycie. Wciąż mi chodzi po głowie.

— Jakie przeżycie?

— Poszłam jeszcze raz na misteria. Pan wiedział, że pójdę. Ale nie na całość. Początek opuściłam — umilkła na chwilę, koniuszkiem języka oblizując wargę i odwracając wzrok. — Kiedy Jezus został już skazany, ściemniło się. Ta burza nadciągała szybko, wprost przerażająco. Błyskało, kiedy przybijali Go do krzyża, i deszcz lunął akurat wtedy, gdy te krzyże dźwignęli do góry. — Znów zamilkła na chwilę. — Zupełnie tak, jak tamtego dnia na Kalwarii, zupełnie tak, jak Ewangelia to opisuje. W życiu swoim nie widziałam nic podobnego. I w życiu swoim już nie zobaczę. Człowiek na krzyżu chłostany deszczem.

— Pani chyba nie wierzy, że to był jakiś cud?

Powoli potrząsnęła głową.

— Nie. Chciałabym w to wierzyć. Ale naprawdę nie wierzę.

— W tej porze roku burze często przechodzą nad tą doliną — powiedziałem. — Efekt z burzą przy ukrzyżowaniu prawdopodobnie powtarza się nieraz. I myślę, że wtedy specjalnie oni to z burzą synchronizują.

— Lepiej tak nie myśleć — zadumana łyknęła trochę wina i spojrzała na mnie sponad kieliszka. — Nie ja jedna wracam do kraju — powiedziała. — Pan też. Co pan będzie robił?

— Sam nie wiem. Są obrazy, które chcę namalować. Mój własny wybór tematów, rzecz jasna, i moje własne potraktowanie tych tematów. Potentaci z książecz-

kami czekowymi bardziej lubią malarzy, którzy pracują pod dyktando albo służą jakimś sprawom, albo uwieczniają poprawność.

— Pan tego nie robi?

— Jak dotąd nie.

Spojrzała gdzieś niedaleko. Nie próbowała mówić mi, że ja mam rację i że ostatecznie wygram trzymając się swoich zasad, ani że prawdziwy artysta stawia sztukę ponad wszystkim innym. Była zbyt uczciwa, żeby częstować mnie takimi komunałami.

— Wierzę, że pan znajdzie zadowolenie w swojej pracy — powiedziała. — Pan także zabiera coś z Friedheim, coś, czego pan jeszcze nie zgłębił.

— Nie wiem.

Chętnie bym jej opowiedział o Bonifacym Rohlmannie, ale musiałem się tej pokusie oprzeć. Brakowało mi linii startu. Ona by nie zrozumiała tła. A właśnie tła nie potrafiłbym jej wyjaśnić, bo sam go nie rozumiałem. Wszystkie wrażenia z Friedheim, przeszłość i teraźniejszość mogły mieć pointę w historii Rohlmana i jego obrazu, gdyby znało się tę historię w całości, cóż, kiedy całej historii żadnego człowieka nie zna się nigdy. Obszary na mapach życia zakreskowane dyskretnie przemilczeniami niby to błahymi stają się najistotniejsze, ponieważ historię człowieczą zniekształcają.

— Mam tylko jedno pragnienie przed wyjazdem — powiedziała Joan Terrill. — Pragnę zobaczyć Friedheim znowu z tego miejsca, gdzie pan narysował krowę. Pragnę dziś zobaczyć wyraźnie kształt gwiazdy.

— Może nie być wyraźny. Ludzie tu wcześniej chodzą spać i dziś nie jest sobota.

— Nie możemy popatrzeć?

— Możemy oczywiście.

Wyszliśmy na ulice miasteczka jeszcze pełne życia. Bardzo dużo przyjezdnych, którzy zobaczyli już misterium, wracało do Monachium wieczornymi autobusami, i bardzo dużo przybywało tych, którzy chcieli zobaczyć misterium nazajutrz. Przeważnie Niemcy, trochę Słowian, trochę Francuzów. Panował gwar pomieszanych języków europejskich jak zawsze miły dla ucha.

Przy fontannie zobaczyliśmy sporo młodzieży. Większość siedziała na bruku, były dwie gitary. Śpiewali stare piosenki niemieckie, sentymentalne, melodyjne, bardzo dalekie od hałaśliwych produkcji hippisów. W Niemczech oczywiście też są hippisi, ale Friedheim nie leży na ich trasie, taka sceneria raczej do nich nie przemawia.

Staliśmy w mroku, Joan i ja, słuchając bez słowa. Komentarze były tu zbyteczne. Wystarczyło, że zatrzymaliśmy się oboje, żeby tych piosenek posłuchać. W końcu przecież ruszyliśmy stamtąd powoli. Nagle wyłonił się jakiś mężczyzna z ciemniejszych mroków za nami. Poznałem, że to Jan, kiedy przebiegał przez szeroką smugę księżycowej poświaty. Zobaczyłem go tylko z boku, był w bia-

łej koszuli bez rękawów, w białych spodniach, urodziwy i pełen wdzięku. W tej srebrnej poświacie przypominał uroczy posąg Puka w Szekspirowskiej Bibliotece Folgera w Waszyngtonie. Ale nie kojarzyłem go sobie z Pukiem. Jeszcze dwie linijki z wiersza Elizabeth Barrett Browning przypląsały w takt muzyki swej własnej, dwie tylko linijki wyrwane z kontekstu, chyba jednak mówiące wszystko, co powinny powiedzieć:

Na pół zwierzęciem jest wielki bóg Pan,  
Wprost pośmiewiskiem, gdy siedzi nad rzeką.

Spojrzałem na Joan. Patrzyła przed siebie i jeśli nawet zobaczyła apostoła Jana, niczym tego nie okazywała. Przeszliśmy już ze trzydzieści czy czterdzieści kroków, kiedy przerwała milczenie, mówiąc zagadkowo, bez związku z czymkolwiek, co widzieliśmy czy robiliśmy dotąd.

— Mężczyzna o mentalności dziecka to przerażające, straszne — powiedziała. — Niewiarygodne. Nigdy bym nie uwierzyła. . . — i urwała.

Czekałem, żeby rozwinęła temat, ale na próżno. Zapytałem:

— Jak to?

— Mniejsza o to. Nawet myśleć o tym nie chcę.

Zostawiliśmy miasteczko za sobą. Śpiewów prawie nie słyszeliśmy, ale wśród ciszy nocy jeszcze dolatywał z daleka ich rytm. Księżyc siał obficie srebrzystą poświatę, tak że nie tworzyły się desenie na ziemi. Weszliśmy na pastwisko i zatrzymaliśmy się tam, gdzie narysowałem moją krowę.

Friedheim leżało poniżej nas i było jak gwiazda, nie taka wyraźna, czysta pięcioramienna gwiazda jak w blasku dnia, a przecież nadal pomimo nierównomierności światła niezaprzeczalna. Skupienie ich na skrajach, zanik gdzie indziej wytwarzały wrażenie rozlania czy też gwiazdy raczej opasłej. Ale dla Joan ta gwiazda była piękna, była właśnie tym, co ona chciała widzieć. W milczeniu patrzyła dziewczyna na ten mglisty układ światła, który księżyc zalewał srebrzystością.

— Cieszę się, że tu przyszedłem — powiedziała. — Dziękuję, że pan mnie przyprowadził.

Za wspólną nie wyrażoną zgodą doszliśmy na skraj łąki do na pół wkopanego w ziemię płaskiego głazu. Na prawo od nas stały cztery drzewa tak, jakby pełniły straż, miasteczko rozciągało się w dole na lewo. Z tego miejsca nie widzieliśmy zarysu gwiazdy, ale za to było coś czarownego w widoku całej tej doliny małego miasteczka i tego długiego srebrnego od poświaty zbocza.

Uświadomiłem sobie dominującą obecność Joan Terrill — nie odczuwałem tak obecności żadnej kobiety już od dawna. Ona splotła ręce na kolana i kołysała się lekko. Włosy jej były matową ciemnoczerwoną aureolą.

— Czuł się pan kiedy samotny? — zapytała.

— Wiele razy. Często.

— Ludzie są samotni rozmaicie. Tego jestem pewna. Pan był zonaty. Małżeństwo to jest lekarstwo na samotność. Zastanawiam się, czy ktoś znów tak samo jak przedtem bywa kiedykolwiek samotny, jeżeli już raz znajdzie lekarstwo na to.

— Małżeństwo nie jest lekarstwem na samotność.

— Ależ z pewnością jest.

— Nie.

— Może rozwód zmienia wszystko. Przynajmniej trochę. Nie mogę sobie wyobrazić rozwodu. Rozcięcie więzi łączącej dwoje ludzi. Tak nie powinno być. Czy pan widuje się ze swoją żoną? Ze swoją byłą żoną?

— Ona nie żyje.

— Och, nie wiedziałam. Nie poruszyłabym tego tematu.

— Nie szkodzi. Rozcięcie, o którym pani powiedziała, jest czymś bardzo konkretnym, konkretniejszym czasami niż samo małżeństwo. Bo małżeństwo zawiera w sobie samotność nie nazwaną, każde małżeństwo. Zareczam pani.

— Ale nie prawdziwą samotność.

— Owszem. Prawdziwą.

Potrząsnęła głową.

— Nie wierzę. Pan jest artystą. Może życie artysty nie jest aż tak pełne wrażeń, jak się wydaje, ale pan na pewno zna mnóstwo ludzi.

— Marzycielka z pani. Człowiek z pędzlem w ręce, siedzący przed płótnem, jest najsamotniejszym człowiekiem na świecie. Odtrutką na samotność jest dzielenie się z kimś swoimi doznaniem. A kto może dzielić to, co się dzieje w psychice malarza? Kto może dzielić to tropienie linii, to równoważenie kolorów, wszystko, co on usiłuje robić?

— Z pewnością pan prowadzi dziwne życie — powiedziała.

— Nie dziwniejsze niż ktokolwiek inny. Ale co z panią i tym pani uczuciem samotności? Jest pani ponętą dziewczyną. Mężczyźni szaleliby za taką. Ma pani ciekawą pracę. Skąd w życiu pani ten niedosyt, ta samotność?

Kołysała się powoli, patrząc w dolinę. Jakiś duży ptak nocny przeleciał nisko obok niej i zniknął w cieniu. Nie zwróciła na to uwagi.

— Może ja jestem tchórzliwa — powiedziała — czy może jakaś niewydarzona. Większość tych, którzy ofiarują mi swoje towarzystwo, to chamy albo pseudointelektualiści. A więc to byłaby raczej nędzna przygoda zamiast dzielenia czegośkolwiek. Potrafiłabym stać się częścią kogoś, to znaczy częścią epizodu. Niedobrze to formułuję. Mnóstwo jest samotnych kobiet tylko dlatego, że my nie chcemy płacić takiej ceny za to, żeby nie odczuwać samotności. — Odwróciła głowę. Oczy miała ogromne. — Ja nie lituję się nad sobą — powiedziała — nie roztkliwiam się, gdyż to budzi we mnie pogardę. Po prostu rozważam to.

— Wiem.

Rzeczywiście wiedziałem. Niewysłowione szukanie po omacku! Niepokój, który nie znajduje ujścia! Sięganie gdzieś po coś, czego nie ma i czego — wiedzia-

łem to świetnie — przecież nie było, zanim się tam sięgnęło. Niedostateczność chwilowego towarzyszenia i pustka własnej jaźni! Znałem to wszystko przecież, wszystko!

Wydawało mi się, że Joan Terrill płynie gdzieś przede mną — twór tej nocy, poświęty księżycowej, rozmowy, nastroju, który prawdopodobnie tamci dawni bogowie znali, jeszcze zanim istniało na świecie jakieś miasteczko Friedheim. Wyciągnąłem ręce po nią nieomal bezwiednie i kiedy objąłem ją, była już ciepłem, jedwabistością, cudem. Wykrzyknęła przerażona i zaczęła szamotać się słabo. I raptem uległa mi w pierwszym długim pocałunku i całowała mnie tak, jak ja całowałem ją. Odwieczne szaleństwo, zawsze nowe, któż może rozumować wtedy.

Stoczyliśmy się z tego naszego głazu na miękką trawę. Ona mi się nie opierała, ale patrzyłem na jej twarz, zobaczyłem lęk i coś jeszcze. Sprężyła się, usłyszałem swój własny głos z bardzo daleka:

— Jesteś dziewicą?

Jej odpowiedź musiała przebyć wielką odległość. Jej głos doleciał do moich uszu z takiej dali, jak przedtem mój słaby szept dotarł do mnie. Patrzyłem w jej szeroko rozwarte, ciemne oczy.

— Tak — powiedziała.

Zostawiłem ją. Wstałem i potykając się odszedłem. Pożądałem jej bardziej niż czegokolwiek przez całe życie. Nie wiedziałem, dlaczego odszedłem. Ruszyłem pod górę, księżyc srebrem przetykał trawę, długie cienie leżały pod drzewami. Przystanąłem, doznałem wrażenia, że ziemia przechyla się lekko. Poczułem mdłości, grożące, że za chwilę zacznę gwałtownie wymiotować.

Jakiś głos we mnie argumentował, że postąpiłem wbrew naturze, że jestem przecież istotą ludzką nękaną pragnieniem, które tylko inna istota ludzka może zaspokoić. Ta dziewczyna odczuwa takie samo pragnienie. W obojgu nas zbudziło się coś, co by mogło być chwilowym lekarstwem na samotność. Wielka, bolesna, wezbrana tęsknota, a ja to świadomie zdławiłem. Dlaczego?

Nie usiłowałem sobie odpowiedzieć. Nie powodowałem się przecież żadną zasadą moralną, chociaż myśl o uwiedzeniu — teraz już wiedziałem — była we mnie od początku. I oto ja, przecież nie żaden mały lord Fauntleroy i nie ów klasyczny wiktoriańczyk, zresztą istniejący raczej w teorii niż faktycznie! Powoli zacząłem schodzić po zboczu wzgórza.

Joan siedziała na trawie z nogami podciągniętymi, z twarzą wtuloną w dłoń. Płakała. Nie miałem żadnej odpowiedzi na te łzy, więc odruch, żeby ją pocieszyć, zbyłem gwałtownym gestem.

— Wracamy — powiedziałem.

Popłakała jeszcze, a potem wstała powoli, odwracając twarz ode mnie. Wytarła chusteczką oczy. Ruszyłem tuż za nią, ale starałem się nie dotykać jej. Przystanąła nagle.

— Nigdy nie będę umiała wyrazić, co teraz czuję — powiedziała — ale chcę, żeby pan wiedział: jestem panu wdzięczna, wdzięczna ponad wszelkie słowa.

— Nie szkodzi — powiedziałem.

To było głupie, ale jakoś nie bardzo mogłem zebrać myśli. Szliśmy dalej i na skraju miasteczka znaleźliśmy się w mrokach uliczki bez żadnych świateł. Głos Joan dolatywał do mnie, raczej niepewny.

— Nie wiedziałam, że jestem taka. Właściwie nie jestem. Czy może jestem. Cieszę się, że pan okazał się silniejszy ode mnie. Ja chcę dla siebie chyba więcej, niż potrafię dawać. Chcę dla siebie więcej, niż mi się należy. Ceniłam siebie. Szanowałam swoje życie, ale... — Cicho rozplakała się znowu.

— Jesteś ludzka, Joan — powiedziałem. — Tego nie musisz się wstydzić.

Te kulawe zdania same wyrwały mi się z ust. Doszliśmy na placyk przed hotelem. Wszyscy ci, którzy śpiewali, już odeszli. Niektóre okna były jasne, ale tylko jedna latarnia paliła się przed hotelem.

— Do widzenia w Nowym Jorku — powiedziałem.

— W Nowym Jorku nie będziemy się znali. Jesteśmy z dwóch innych światów.

— Więc odprowadzę cię jutro do autobusu, dopóki jeszcze się znamy.

— Dobrze — skinęła głową, po czym podniosła wzrok. Była zapłakana. — Mogę ci tylko powiedzieć, Kirk... dziękuję.

Po raz pierwszy zwróciła się do mnie po imieniu. Pocałowałem ją delikatnie, a później stałem bez ruchu, kiedy odeszła ode mnie i zniknęła w drzwiach hotelu.

**CZEŚĆ III**  
**RZECZYWISTOŚĆ**



## ROZDZIAŁ PIERWSZY

Autobus Joan do Monachium miał odjechać o godzinie dziesiątej rano. Kursowało dużo dodatkowych autobusów ze względu na publiczność misteriów i nie jeden z nich odjeżdżał z Friedheim bardzo wcześnie. Godzina dziesiąta, jak oboje uznaliśmy po raz pierwszy omawiając tę sprawę, była rozsądną porą. W całej rozciągłości przyznawałem to, kiedy wybierałem się, żeby ją pożegnać w ten wtorek. Ogoliłem się, zjadłem śniadanie bez pośpiechu, bez zdenerwowania. Spacerkiem poszedłem na dworzec autobusowy i dotarłem tam za piętnaście dziesiąta.

Zobaczyłem mężczyzn, kobiety i kilkoro dzieci, mnóstwo bagażu, ale Joan nie było. Na jednej z ławek pod ścianą siedział Jan. Patrzył na mnie, a ja udawałem, że go nie widzę. Jan, do licha, powinien być w amfiteatrze, grać swoją rolę w misteriach, i to od samego początku przedstawienia. Zastanawiałem się, jak on może teraz siedzieć tutaj. No, ale kto wie, czy powody jego obecności nie są konkretniejsze niż moje.

Tymczasem dochodziła dziesiąta. Punkt o dziesiątej drzwi autobusu zatrzasnęły się, silnik zawarkotał i autobus wyjechał na ulicę. Tłumek, ci nieliczni, którzy nie odjechali, zaczął się rozchodzić. Jan wstał z ławki i podszedł do mnie.

— Wyjechała — powiedział. — Wyjechała autobusem o ósmej.

— Skąd pan wie?

— Byłem tutaj. Nie pożegnała się ze mną. Nawet się nie odezwała.

— Co pan jej zrobił?

Puścił to pytanie mimo uszu, patrząc na mnie, a potem odwracając wzrok. Oczy miał niewiarygodnie niebieskie. Wydawało się, że raczej magazynują niebo, niż je odbijają. Chłopak wybitnie urodziwy, jeśli się tak rozpatrywało szczegół po szczególe, ale miał w sobie coś niesamowitego, coś, co przeważało nad pięknem jego rysów. Nie potrafiłem określić tego czegoś i nie potrafiłem opędzić się wrażeniu, że z za jego oczu patrzą na mnie inne dziwne oczy.

No, ale on oczywiście nie interesował mnie tak jak ona. Wyjechała wcześniej, z rozmysłem wcześniej, żeby nie spotkać się ze mną. Doznałem rozczarowania, ale nie wstrząsu. Wiedziałem, że ona potrzebuje czasu, żeby spotkać się ze mną znowu jak gdyby nigdy nic.

— Pan jest artystą — powiedział Jan. — Nigdy nie rozmawiałem z żadnym artystą poza tymi snycierzami.

— Dlaczego pan dzisiaj nie występuje w misterium?

— Poprosiłem dublera, żeby mnie zastąpił. Chce pan zobaczyć moje rzeźby w drewnie?

— Tak. Bardzo chcę.

Nie uszło mojej uwagi to, że on nazywa innych rzeźbiących w drewnie „snycierzami”, a siebie najwyraźniej uważa za rzeźbiarza. Wątpiłem, czy właśnie na mnie czekał, czy zależało mu na moim zdaniu, ale okazało się, że tak jest. Joan, sądząc z tego, co mówił, wyjechała o ósmej. A więc przez dwie godziny jednak czekał tu na coś.

— Pracuję w warsztacie Wilhelma Kistlera — powiedział. — On gra Jakuba, syna Zebedeusza. W sezonie misterii nie pracujemy. Zaprowadzę tam pana.

Szedł w pośpiechu przede mną. Chłopak pełen wdzięku i kiedy milczał, znów uderzała jego wybitna uroda. Odwrócony profilem jeszcze raz przypomniał mi Puka z Biblioteki Folgera. Był jednakże starszy niż Puk i starszy, niżby mógł się wydawać w przypadkowym spotkaniu: musiał mieć, domyślałem się, lat dwadzieścia parę.

Warsztat Wilhelma Kistlera mieścił się przy jednej z bocznych ulic śródmieścia, oddalonej o dwie przecznice od kościoła. Mały warsztat w wąskiej, wysokiej kamieniczce. Wyrzeźbiony nad drzwiami śmiejący się staruszek trzymał wstęgę z napisem „Kistler”. Jan, wyciągając z kieszeni klucz, zbył to godło firmowe machnięciem ręki.

— Marnota — powiedział. — Do wyrzucenia. Wyrzeźbił to ojciec Kistlera.

Udałem, że nie słyszę. W warsztacie, gdzie znajdowały się dwa długie stoły robocze, jeden od frontu, drugi w głębi, szereg półek przy obu bocznych ścianach i zastępy wyrzeźbionych figur, panował swoisty nastrój.

— Ten stół jest mój.

Głos Jana zabrzmiał jak głos dziecka i kiedy spojrzałem na niego, on rzeczywiście wyglądał jak dziecko wyczekujące pochwały.

— Świetny stół roboczy — powiedziałem.

Uśmiechnął się i niedbale machnął ręką w kierunku półek, gdzie stały rzędy krucyfiksów, madonn, brodatych apostołów, cherubinów i aniołów. Wszystkie anioły grały na instrumentach smyczkowych.

— Wiele z tych rzeźb ja zrobiłem — powiedział.

Były dwie półki wysoko nad jego stołem, ponad wnękami, gdzie trzymał swoje narzędzia. Wskoczył zwinnie na stół, żeby tam sięgnąć.

— Tutaj trzymam moje rzeźby.

Podał mi wspaniale wyrzeźbionego Minotaura. Ten na pół byk, na pół mężczyzna stał wyprostowany na dwóch nogach. Umięśniony, ręce miał z dłońmi, nogi z kopytami i smutny łeb byka o dużych oczach i krótkich rogach. Rzeźba

ta, mierząca dziesięć cali wysokości, wygładzona, nawoskowana, wypolerowana, doprawdy była doskonała. Patrzyłem teraz na Jana z szacunkiem. On stojąc na stole nade mną nabrał swobody. Wiedział, że pozyskał sobie mój podziw.

— Wspaniała robota — powiedziałem. — Pan jest artystą.

— Moja własność. Nie sprzedam tego.

Zacisnął wargi i domyśliłem się, że najwidoczniej ktoś chciał kupić tego Minotaura i powstał jakiś konflikt. Z wysoka podał mi pięć innych rzeźb, mniejszych niż ta pierwsza. Niesamowity ptak z dziobem wielkości swojego wzrostu. Nagi diablik siedzący na koniu z łbem wilka. Maską twarzy brodatego mężczyzny. Gryfon. Centaur.

— Co panu posłużyło za modele? — zapytałem.

— Nie miałem żadnych modeli. Minotaura widziałem na obrazkach w jednej książce, ale ja go zmieniłem. Bo w tej książce nie był taki jak trzeba.

— Skąd pan wie?

— Wiedziałem. — Zeskoczył ze stołu. — A tamte inne stworzenia widziałem na własne oczy.

— Gdzie?

— Widziałem je.

Nie kwestionowałem tego. Wyobraźnia to dar tajemniczy. Wiem, że można w myśli widzieć coś konkretnego tak wyraźnie, jakby się widziało w rzeczywistości. Brałem te rzeźby jedną po drugiej. Nie wykluczałem możliwości, że mam przed sobą geniusza, aczkolwiek w stanie surowym.

— Ale to za mało — powiedział Jan. — Z drewna nie da się zrobić wszystkiego, co by się chciało. Ja chcę rysować i malować. Duszę bym oddał za pana przybory.

— Czyż trzeba aż oddawać duszę za coś tak zwyczajnego.

— Trzeba. Chce pan zobaczyć mój sekret?

— Jaki sekret?

— Pokażę panu.

I znów sprawiałyby nieomal wrażenie dziecka, gdyby nie te dziwne jakieś oczy kryjące się za jego oczami. Pobiegł do drzwi warsztatu i zaczekał na mnie, żeby móc zamknąć je na klucz. I znów szedłem za nim prawie pustymi uliczkami. Oczywiście misterium było w pełnym toku.

Dotarliśmy tak do starej części miasteczka i nerwy we mnie napięły się jak struny skrzypiec, kiedy skręciliśmy w uliczkę, którą szła Matka Boska Rohlmanna i na której, mógłbym ręczyć za to, mieszkał Bonifacy Rohlmann. Jan zatrzymał się przy drzwiach domu w połowie uliczki na prawo od Matki Boskiej i na skos od domu z głową trefnisia. Na drewnie tych drzwi była zatarta szrama, świadcząca, że godło z nich zostało zdjęte prawdopodobnie bardzo dawno temu. Na ścianie pomiędzy oknami zobaczyłem gryfona uszkodzonego kiedyś w ciągu tych lat czy stuleci, tak że została tylko jego połowa.

— Mieszka pan tutaj? — zapytałem.

— Aha.

— Z kim?

— Z rodzicami.

Otworzył drzwi i wszedłem za nim do tego domu. Krótka sień, klatka schodowa, na prawo od sieni salonik. Było to mieszkanie ciche, nieskazitelnie czyste i bardzo skromne. Rodzice Jana, czymkolwiek zajmowali się normalnie, z pewnością w sezonie misteriów pasyjnych pracowali w amfiteatrze czy też gdzie indziej w związku z napływem turystów.

— Zaraz będę — powiedział Jan. — Są w ukryciu.

Wiedziałem, że mówi o tych swoich sekretach, o których przedtem powiedział, a nie o rodzicach.

— Musi pan je ukrywać? — zapytałem.

— Oni mi nie pozwalają robić tego, co ja chcę.

— Kto nie pozwala?

— Rodzice, Kistler. Wszyscy.

Ruchem ręki skierował mnie do saloniku i pobiegł na pięterko, skacząc po dwa stopnie schodów naraz. W saloniku było sztywno i chociaż nie nazwałbym tego nieżyczliwością, jakoś wszystko tam jeżyło się przede mną, obcym przybyszem. Na południowej ścianie wisiał duży portret wojowniczego staruszka ze sterczącymi wąsami. Na wprost niego, na przeciwległej ścianie, zobaczyłem nieśmiałą starą kobietę uczesaną w kok. Przodkowie. Meble stare, nieciekawe, zajmowały nieustępliwie miejsca sobie od lat przeznaczone.

Jan wrócił. Przyniósł kartki — rozmiar 4 cale na 6 cali i 3 cale na 5 cali — takie, jakie można kupić w sklepach z materiałami piśmiennymi albo w magazynach dziesięciocentowych w Stanach Zjednoczonych. Trzymał je w rękach przez kilka sekund, a potem dał mi. Wziąłem je i podszedłem z nimi do okna. Zdumiewająco dużo światła wpadało przez firanki. To było wysokie okno.

Jan rysował tylko na takich kartkach. Miał tylko najtańszy, najzwyczajniejszy ołówek i szkolne kredki, których wady znał, więc zaledwie parę rysunków pokolorował.

Brzydki karzeł siedział na zaokrąglonym kamieniu, wyglądającym jak przewrócony łuk z kościelnego portalu. Siedział z nogami podciągniętymi, stopy o długich palcach miał bosc i nieproporcjonalnie dużą ręką przysłaniał sobie twarz. Inny rysunek przedstawiał krępego brodacza z podniesioną siekierą, jeszcze inny jakieś dwa prawie sprośne gryzonie naprzeciwko siebie. I był nietoperz w locie. I czteronogi płaz o męskiej twarzy z ustami o kącikach opuszczonych i z oczami wybałuszonymi. Dwa szkice przedstawiały biegnących nagich mężczyzn, przy czym jeden z nich podnosił ręce. I obejrzałem szkic figury świętego Kryspina i szkic świętego Jerzego ze smokiem. W tym wszystkim zobaczyłem młodość, amatorstwo, a rysunek przedstawiający świętego Jerzego zdecydowanie

się Janowi nie udało. Nie miałem mu tego za złe, bo przecież i w dobrych muzeach bywają niedobre obrazy, opatrzone dobrymi nazwiskami. Podniosłem wzrok, Jan stał skulony i patrzył na mnie w napięciu. Moje zdanie o jego obrazach najwidoczniej miało dla niego duże znaczenie i czytał na mojej twarzy więcej, niż chciałem wyjawić.

— Pan uważa, że to nie jest dobre? — zapytał. — Że to nie jest sztuka? — Wyprostował się i opuścił ręce. — Ja nie mam żadnych przyborów. W ogóle nic.

— Dlaczego? Ma pan materiał i narzędzia do rzeźbienia.

— Owszem. Rzeźbić mi pozwalają. Ale rysować nie, a ja chcę malować.

Znów rzuciłem okiem na te rysunki. Wszystkie przedstawiały mężczyzn. Ani na jednym nie było kobiety. I ani śladu misteriów pasyjnych, pobożnych obrazów i świętych pańskich, z wyjątkiem Kryspina. Istotnie Jan miał dobre wyczucie linii i chyba instynktowną znajomość anatomii, zapewne dzięki swojemu snycerstwu. Wyczucie perspektywy miał też dobre, ale uchwycenie ruchu, takiego jak ruch tych dwóch biegnących mężczyzn, przekraczało trochę jego umiejętności.

— Czy widział pan jakieś wielkie obrazy? — zapytałem. — Zwiedzał pan jakieś muzea?

— Nie. Raz pojechałem do Monachium, ale nie dali mi pójść do muzeum.

Władza i autorytet wyrażone w owym „oni” wydawały się wprost niewiarygodne — ta nierozumna arbitralność zabraniająca oglądać w muzeum wielkie dzieła sztuki i posiadać najzwyklejsze przybory do rysowania komuś, kto nade wszystko pragnie być malarzem. W całym swoim życiu ten chłopiec tylko raz mógł pojechać do Monachium, miasta oddalonego zaledwie o kilka godzin drogi od Friedheim.

Jan siedział na miękkim krześle w saloniku swoich rodziców i świadom mojego zainteresowania wpatrywał się we mnie i czekał. Był teraz już nie tak dziecinny jak przedtem, a przecież dziecinny, i ponadto widziałem to coś w jego oczach, co ukrywało się, to coś, co rzeźbiło potwory i rysowało zboczeńców.

Judasz powiedział, że czasem dzieci pozostają dziećmi, chociaż ich ciała są już dorosłe. Nie wdawał się w zbyt wiele szczegółów, ale to stare miasteczko musiało przecież być składnicą tradycji. Wszystko tu już się zdarzyło i na wszystkie niefortunne przypadłości znano tu lekarstwo. Miasteczko przyjęło Jana w swoje życie jako mężczyznę, zezwoliło mu na paranie się szacownym snycerstwem, przydzieliło mu zaszczytne miejsce w swoich misteriach, ale trzymało go pod nadzorem tak, jak się trzyma dzieci. Ci starzy, ci mądrzy zaakceptowali fakt, że przybrał rolę przewodnika i towarzysza dziewczyny cudzoziemki, ale wyraźnie odmówili mu tej samej roli wobec cudzoziemca — mężczyzny. Może mieli rację. Nie wiedziałem.

— Chodźmy się przejść, Janie — powiedziałem.

— A po co?

— Muszę pomyśleć o czymś. Myśli mi się lepiej, kiedy idę.

Wziął swoje rysunki ode mnie i odniósł je na górę. Mnie interesował ten dom. Uległ oczywiście zmianom w ciągu minionych stuleci, przystosowywany i malowany tak, że nie można było wytropić niczego istotnego. Domy, podobnie jak ludzie, mają swoje sekrety i zachowują je. Nie miałoby sensu chodzenie po tym tutaj, oglądanie poszczególnych pokoi. Jeżeli ten dom oznaczał dla mnie cokolwiek w tej chwili, owo znaczenie mogło być zupełnie mylne.

To była jedna z tych przymglonych kamieniczek za domem z jednorożcem na uliczce Matki Boskiej Bonifacego Rohlmanna. Może on mieszkał właśnie tutaj, namalował swoją siedzibę niejako zamiast podpisu i na drugim planie przez skromność czy też przez stosowną powściągliwość.

Nieomal słyszałem, jak ten dom oddycha w ciszy. Arbitralnie przedtem uznałem, że domem Bonifacego Rohlmanna jest tamten z głową trefnisia. Ale czemuż by nie ten? Uliczka ta sama i przecież na jego obrazie nie ma kamieniczki z głową trefnisia. Ten dom bardziej logicznie jest domem, w którym on się urodził, dorastał, zaczynał rysować. Tutaj w tym pokoju, gdzie stałem, ktoś stał i spacerował od ściany do ściany w dawne ponure dni i noce Czarnej Śmierci, kiedy toporny wóz przejeżdżał tą uliczką na cmentarzysko zarazy. Czemuż by ów ktoś nie mógł być Rohlmannem?

Jan wrócił. Niezadowolony, zbuntowany, dziecinny. Chciał, żebym posiedział u niego dłużej i podyskutował nad jego rysunkami. Mogłem zrozumieć, współczuć mu szczerze, ale pozostawanie w tym domu niczego by nie rozwiązało.

Doszliśmy do końca Kirschbaumstrasse i skręciliśmy w lewo. Prowadziłem go na cmentarzysko, a on nadal dąsał się, nie podtrzymując rozmowy. Na placu cmentarnym panowała cisza, naga równina, która znała kiedyś zgrozę, teraz spała, niepamiętliwa.

— Janie — zapytałem — czy pan wie, kto to był Bonifacy Rohlmann?

— Kto?

— Bonifacy Rohlmann.

— Nie. Nie wiem.

— Ktoś, kto mieszkał w waszym miasteczku dawno temu.

— Nigdy o nim nie słyszałem.

To załatwiło sprawę dalszych pytań, które już mi się niejasno nasuwały. Zawsze mogłem przypuszczać, że Rohlmann jest lepiej znany mieszkańcom Friedheim, niż się do tego przyznają. Jeśli chodzi o Jana, nie miałem takich wątpliwości. To imię i nazwisko rzeczywiście nic nie oznaczały dla niego, nawet się nie zainteresował moim pytaniem. Zmieniłem temat.

— Co by pan zrobił z takim wyposażeniem jak moje, gdyby pan je miał?

— Kopiowałbym obrazy. Uczyłbym się w ten sposób. W amfiteatrze mają obrazy.

— Niełatwo jest malować. Trzeba nauczyć się wielu rzeczy, pracować bardzo ciężko.

— Ja wiem. Rzeźbić w drewnie też niełatwo.

Duma zabrzmiała w jego głosie. Wiedział, że jest utalentowany. Może musiał bardzo wiele się nauczyć — wrócić do początków, do samych podstaw rysunku, ale rozumiał tę potrzebę. Już był artystą.

Dopatrzyłem się ironii w tym, że dobry młody snycerz w swoim dążeniu do wyższej sztuki chce malować, podczas gdy mnie, malarza, frapuje rzeźba.

Chciałem dać temu młodemu człowiekowi ołówki, papier i kartony, wszystko, z czym przyjechałem do Friedheim. Nie byłem jednak pewny, czy mam prawo to zrobić. Chłopak wyrósł w tym miasteczku, a ono z jakichś sobie wiadomych powodów nie chce, żeby został malarzem. Miasteczko może wie, co robi, a może nie wie. Minotaur Jana, choćby nawet odrzuciło się wszystkie inne jego prace, był wspaniałym dziełem. Patrząc na tę rzeźbę rzeczywiście pomyślałem, że chyba spotkałem geniusza. Jan nie studiował historii sztuki, nie był w muzeach, nie miał dostępu do tego, czego inni w dziedzinie malarstwa się nauczyli, ale pragnął malować. Na własną rękę w bardzo trudnych warunkach już zaczynał. Gdyby mu dać szansę, czyż nie zdołałby stworzyć na płótnie rzeczy nie gorszych niż ten Minotaur? Rzeczy lepszych?

Jeszcze krok i wdałbym się w jedno z owych rozważań o tym, co słuszne, a co niesłuszne, co dobre, a co złe. Ale jestem malarzem, a nie filozofem i w końcu widziałem tylko jeden sposób, w jaki mógłbym rozstrzygnąć to zagadnienie.

— Janie — powiedziałem — dam ci, chłopcze, wszystkie materiały, jakie tu przywiozłem: ołówki, karton, papier. Zrobisz z nich użytek?

Przystanął w pół kroku i wyprostował się jak struna. Patrzył na mnie i było coś przerażającego w jego twarzy — przerażającego, bo takiego wzruszenia jeszcze w życiu nie widziałem. Zmieniało mu ono rysy twarzy, oczy. Nie odezwał się, nawet nie usiłował się odezwać. Teraz on musiał się przejść. Ruszyłem za nim.

Taka więc bywa naprawdę wielka pasja, tak wygląda. Ja nigdy takiej pasji nie odczuwałem nawet wtedy, gdy chlubiłem się, że ją odczuwałem czy też że panuje nad nią. Być może, to właśnie jest jednym z przejawów wielkiego talentu.

Dziwiłem się przedtem, jak Joan mogła zadurzyć się w kimś, kto bezsprzecznie jest jeszcze dzieckiem. Teraz to pojąłem. On nie był dzieckiem przy niej. Ta dziewczyna nowa, inna niż te, które znał, budziła coś w głębi jego jestestwa. Ze swojej strony Joan oczarowana nim i spokojna, bo nie wyczuwała w nim męskiego pożądania, nie orientowała się, dlaczego pożądania w nim nie ma. Ten chłopiec mógł być Bóg wie jaki. A ja mogłem tylko zgadywać, jaki on ostatecznie był wobec niej.

— Nie jestem pewny, czy postępuję słusznie — powiedziałem. — Ale daję te moje rzeczy artyście, a nie człowiekowi. Niech pan to zrozumie! Gdybym nadał coś pocztą z Monachium do pana, czy pan by to dostał?

— Kiedy?

— Jutro, po moim wyjeździe stąd.

— Tak. Do warsztatu Kistlera. Będę tam warował. Podał mi adres, który zanotowałem. Nie było żadnego „dziękuję”. Po prostu spotkało go nieprawdopodobieństwo i jeszcze nie otrząsnął się z oszołomienia. Doszliśmy do hotelu „Bahnhof”, cichego teraz jak całe miasteczko.

— Niech pan zaczeka tutaj przy fontannie — powiedziałem. — Przyniosę panu to wszystko.

Portier w recepcji zatrzymał mnie. Miał dla mnie list w niedużej kopercie. Charakter pisma był piękny, wyczelowane litery maszerowały prostymi linijkami.

*Kirk, odjeżdżam wcześniejszym autobusem. Chyba tchórzliwie. W tej chwili nie wiem. Nie mogłabym dziś rozmawiać z Tobą. Nie pamiętam, co mówiłam wczoraj w nocy, coś nieodpowiedniego zapewne. A chciałam Ci powiedzieć chyba to, że uchroniłeś mnie od przeżycia, w którym byłabym tylko epizodem. Jestem Ci wdzięczna i będę Ci wdzięczna zawsze. To nie było łatwe dla Ciebie, ja wiem. Czy piszę bez związku? Prawdopodobnie tak. W każdym razie, Kirk, chociaż w Nowym Jorku jesteśmy i będziemy ludźmi z dwóch odrębnych światów, cieszę się, że poznaliśmy się we Friedheim. Będę to wspominała.*

Joan

Nie miałem czasu zastanowić się nad tą kartką. Przeczytałem ją i trzymałem w ręce, jak gdyby to był portret osoby, która ją napisała. Potrafiłem wczuć się w stanowczy opór Joan przeciwko pozostaniu w czyimś życiu tylko epizodem. Sam to przeżyłem. Sam byłem epizodem.

Potrząsnąłem głową i niechętnie wróciłem do Jana. Nie miałem już co rysować we Friedheim i przecież mogłem kupić papier, karton i ołówki, farby i wszystko inne tam, dokąd wyjeżdżałem. Nie znalazłem papieru do zapakowania tych rzeczy, a trzeba to było jakoś zabezpieczyć przed zniszczeniem i przed ciekawymi bądź potępiającymi oczami. Trochę z sobą walczyłem, ale ostatecznie przełożyłem moje notatki i szkice do torby podróźnej, żeby dać Janowi również i walizkę.

Kiedy wyszedłem z hotelu, z Janem rozmawiał jakiś mężczyzna — surowy, brodaty patriarcha, który groził palcem dla podkreślenia swoich słów. Nie wyglądała mi ta rozmowa na przyjacielską, wołałem więc się w nią nie wdawać. Poszedłem do warsztatu z szyldem „Kistler” i po chwili wahania postawiłem moją walizkę pod drzwiami.

Jan był sam, kiedy wracałem, ale skoro już czujne miasteczko odkryło, że spaceruje po ulicach, a jego rolę w misteriach gra dubler, nie chciałem go swoim towarzystwem narażać.

— Zostawiłem to pod drzwiami Kistlera — powiedziałem. — W czarnej walizce. Proszę sobie ją zatrzymać i wszystkiego dobrego.



Jego oczy w tym momencie były znów oczami dziewczyny. Rzuciłby mi się na szyję, gdybym nie przeszedł tak prędko. Wróciłem do hotelu i usłyszałem kościelny dzwon. Przerwa na obiad. Zaraz tłumy opuszczą amfiteatr.

Wiele rzeczy mogłem robić w to popołudnie, ostatnie moje popołudnie we Friedheim. Wybrałem spisanie notatek: wszystkiego, co usłyszałem, co zaobserwowałem, co zapamiętałem. Zawsze potrafiłem oddzielać fakty od ich interpretacji, rozmieszczać jedno i drugie w oddzielnych szufladkach. Nie dałem sobie pofolgować w interpretacji mojej własnej, dopóki się nie ściemniło i nie wróciłem do swojego pokoju na noc.

Wiedziałem, że w końcu znalazłem to, czego wcale się nie spodziewałem znaleźć. Znalazłem Bonifacego Rohlmanna.

On był, oczywiście, musiał być, takim chłopcem jak Jan — Johannes Veit. W czasach po Szwedach i po zarazie uniemożliwiały mu początek takie same trudności: nie znał muzeów, nie znał dzieł sztuki, w ogóle nic. Miał jednak talent i — z pewnością — miał w sobie to coś dziwnego, co jest w Janie. Miasteczko może też usiłowało go ratować, ale to były ciężkie czasy, i ten chłopiec się wyknął. W jakiś sposób dostał się do Italii, poznał dzieła Tintoretta i Caravaggia. Czy dużo istnieje takich przeciwnych biegunów jak Dobro i Zło? Rohlmann uzyskał możliwość malowania. Stał się wielkim malarzem. Uzyskując tę możliwość, rozwijając swoją ogromną moc, został fałszywie zrozumiany. Jego praca przepadła. Nadzieja sławy rozwiała się i spalono go na stosie. Może miał do czynienia z czarnoksiężstwem i czarnoksiężnikami. Tysiąc może!

Dzisiaj szedłem przez Kirschbaumstrasse z Johannesem Veitem. Zupełnie tak, jakbym szedł tą uliczką z Bonifacym Rohlmannem — tą właśnie uliczką, którą on namalował. Doznawałem uczucia, że ten chłopak wygląda tak, jak wyglądał Rohlmann. Dlaczego rodzice i miasteczkowa starszyzna zabraniają mu malować, chociaż rzeźbić w drewnie pozwalają? Gdzie zaginęły te wszystkie zapiski, czy jest w miasteczkach jakaś nić pamięci, której ludzie dotykają ze zrozumieniem?

— Człowiek może zwariować na takiej karuzeli — powiedziałem głośno.

Noc była pochmurna za dwoma wąskimi małymi oknami mego poddasza. Odczuwałem zmęczenie, ale zanim przekroczyłem granicę snu, Alicja znów przeszła przez moją jawę. Często tak przechodziła, nigdy nie zostając długo: zjawiała się we wspomnieniu i znikwała znowu.

W pierwszych miesiącach naszego małżeństwa zmarł ktoś z jej znajomych i Alicja, nie mająca w sobie najmniejszego bodaj pierwiastka religijności czy filozofii, jeździła do jakiegoś katolickiego kościoła na drugim końcu miasta, żeby odmawiać tam różaniec za jego duszę.

— Dlaczego? — zapytałem. Oczywiście nie wiedziała.

— Mam nadzieję, że on gdzieś jest — odrzekła. — Nie mogę znieść myśli, że jego nie ma.

Nieraz przypominała mi się ta uwaga. Przypomniała mi się też, kiedy odebrałem telefon z wiadomością, że Alicja zjechała swoim samochodem w przepaść z jakiejś szosy górskiej w Kalifornii. Policja uznała to za wypadek. Poleciałem do Kalifornii i zapłaciłem za pogrzeb. Max Henske nawet nie był na pogrzebie. Ja byłem jedynym żałobnikiem na tym obcym Zachodnim Wybrzeżu i jakoś nie czułem się w żałobie po niej.

„Mam nadzieję, że on gdzieś jest. Nie mogę znieść myśli, że jego nie ma” — przypomniały mi się teraz jej słowa, ale w odniesieniu do Bonifacego Rohlmana. To było podsumowanie.

## ROZDZIAŁ DRUGI

Monachium w ciągu kilku godzin wydawało się miastem zgiełku, musującego podniecenia, dobrego samopoczucia i dobrej pogody. Londyn w ciągu całego dnia raczej tak samo: znane budynki na znanym tle, nowe wieżowce przerażająco szpetne, spacer po Charing Cross Road i Trafalgar Square, wstępowanie do księgarń po drodze. Wyleciałem z Londynu nazajutrz rano i jakoś wytrzymałem widok Atlantyku z samolotu. Na końcu oceanu czekał Nowy Jork.

Czas mi się wywrócił. Nic nie następowało we właściwej porze: śniadanie, obiad, cocktail popołudniowy i kolacja zmieniły, zdawałoby się, kolejność. Byłem Europejczykiem żyjącym według czasu europejskiego. Chciałem zobaczyć się z Ludwigiem Lorensenem, zanim zobaczę się z kimkolwiek innym, ale nie mogłem zdobyć się choćby na to, by do niego zatelefonować.

Zastałem korespondencję w przeważającej części nijaką. Rachunki do zapłacenia, niewiele poza tym. Długa, sympatycznie wyglądająca koperta z „Globusa” zawierała czek na sumę nadspodziewanie dużą, większą, niżby zapłacili temu niemieckiemu fotografowi, nawet gdyby on asystował Joan Terrill przez cały czas jej pracy. Chodziłem po swojej pracowni i patrzyłem na swoje rzeczy, pozwalając, by wszystko powoli stawało się dla mnie znowu rzeczywiste; praca pozostawiona w połowie nie wydawała mi się ważna, na biurku leżała książka z zaznaczoną stronką, na której przed wyjazdem przerwałem czytanie, ale nie mogłem sobie przypomnieć, o czym jest ta książka.

Ludwig wiedział, kiedy mam przyjechać. Z pewnością nie liczył na to, że zatelefonuję od razu, czułby się jednak zlekceważony, gdyby musiał czekać zbyt długo. Patrzyłem na aparat telefoniczny, dziwnie mi obcy, aż wreszcie nakręciłem numer. Głos Ludwiga był chłodny, obojętny, zawodowy.

- Kirk, to dobrze, że wróciłeś. Jak się czujesz po zmianie czasu?
- Jak pijany, ale tobie chcę ten czas poświęcić.
- Doskonale. Siedzę tutaj. A więc za pół godziny.
- Za trzy kwadransy, powiedzmy. Przejdę się pieszo.
- Maszeruj żwawo. Czekam.

Z chwilą gdy już się do czegoś zobowiązałem, poczułem się swojsko. W myśl rady Ludwiga maszerowałem żwawo, chociaż śródmięście zdumiewało mnie:

przecież zniknęło z mojego życia, ulotniło się bez śladu, a oto znowu jest. Wszystko jak przedtem: hałas, dym i zaduch, spieszący się ludzie. Coś we mnie opierało się temu, ale wiedziałem, że ten rytm znów mnie poniesie i że będę go akceptował tak samo, jak cały ten świat, i że nierzeczywiste będzie wszystko tamto.

Galeria Lorensona górowała wyniośle nad przechodzącymi ludźmi: dostojna w swoim nastroju ekskluzywności kosztownej i znakomitej. Nowy windziarz, Murzyn o jasnej skórze, był człowiekiem powściągliwym i zainteresował się mną tylko dlatego, że jechałem na czwarte piętro.

Czwarte piętro było takie jak zawsze i zresztą czemuż by nie miało być takie? Moja nieobecność trwała krótko, bardzo krótko. Ludwig wstał od biurka, kiedy wszedłem. Stracił trochę na wadze i worki, które miał pod oczami, uwydatniały się przez to jeszcze bardziej. Uśmiechnął się i wyciągnął rękę.

— Kirk, ta podróż ci posłużyła. Wyglądasz wspaniale. Aż żałuję, że nie pojechałem z tobą.

— Ja też żałuję. Chociaż nie jestem pewny, czy Friedheim by ci się spodobało.

— Znienawidziłbym Friedheim. Nie lubię małych miasteczek, nawet tutaj w kraju. Jestem twoim dłużnikiem, Kirk, jeśli chodzi o listy. Ja nigdy nie odpisuję.

— Były rzeczy, które chciałem ci napisać.

— I zrobiłeś to świetnie. Czy były i inne rzeczy?

— Niestety, nie. Nic istotnego.

Patrzyliśmy na siebie ponad biurkiem. Ten hulaka Antonella da Messiny patrzył na nas ze ściany. Czarujący łajdak! Jakaś słaba woń unosiła się w powietrzu. Nie napisałem Ludwigowi o Janie. To nie byłoby interesujące dla niego. Ani o proboszczu parafii Friedheim, ani o Joan Terrill.

— Odkryłeś coś w związku z tym malarzem, Rohlmannem?

— Mały obrazek w kościele. Pisałem ci.

— Madonna. Wczesna praca. Owszem. I nic poza tym?

— On umarł we Friedheim, a nie w Trewirze. Tyś wiedział o tym. Nie powiedziałeś mi.

— Informacje mogą być błędne. Człowiek zbiera wiele informacji, a potem je sortuje.

— Rohlmann mieszkał we Friedheim na Kirschbaumstrasse, małej krótkiej uliczce.

— Ach tak! — Ludwig uśmiechnął się. — Będziesz pisać jego biografię?

— Nie.

— A więc żaden z tych szczegółów ci się nie przyda.

— Raczej nie. Czy ty nie możesz mi powiedzieć czegoś więcej?

Ludwig potrząsnął głową. Jego zainteresowanie samym Bonifacym Rohlmannem, człowiekiem i malarzem, zawsze było małe. Siedział splatając ręce, stykając czubki palców i patrzył na mnie.

Wiedziałem, że wstępne uprzejmości już się skończyły. On może miał nadzieję, że ja natrafie na jakąś zapomnianą kopalnię starych obrazów czy też na trop prowadzący do nich, ale tylko słabą nadzieję. Gdyby posiadał kilka Rohlmannów, interesowałby się tym malarzem, ale tylko wtedy.

— Ten obraz, który cię natchnął do podróży, ma niedobłą historię — powiedział. — Z dokumentacji wiem, że powodował kłopoty, gdziekolwiek go pokazano, i że Rohlmann uniknął śmierci w Trewirze, ukrywając się u kogoś, o kim słyszeli moi znajomi w Würzburgu. — Ludwig rozplótł ręce. — Stamtąd, być może, wyszła pogłoska, że Rohlmann został spalony w Trewirze. To nie ma znaczenia. Ten obraz powoduje kłopoty, poważne kłopoty. Nie można go wystawiać. — Usta mu się ściągnęły. — Kosztował mnie dużo, bo aż trzech przyjaciół.

— Nie mogę uwierzyć, że utraciłeś przyjaźń Neila Carltona.

— To on utracił moją. Nieważne zresztą. Powziąłem pewną decyzję, dosyć ciężką dla mnie. Spędza mi sen z powiek. Ale już się zdecydowałem. Nie będę wystawiał tego obrazu. Spalę go, tak samo jak miasto Friedheim spaliło tego malarza.

— Nie. Nie wolno ci!

— Wolno. To jest mój obraz. Moja własność.

— Nie można być właścicielem dzieła sztuki. Można być tylko opiekunem. Nigdy niczym więcej.

— To nie jest dzieło sztuki. To jest coś złego, więc trzeba to zniszczyć.

— Ludwig — powiedziałem. — Ja muszę zobaczyć ten obraz jeszcze raz, muszę.

Popatrzył na mnie przeciągle, na pół się uśmiechając.

— Wiedziałem, że po przyjeździe z Friedheim będziesz chciał go zobaczyć. Leży ci to na sercu. Utraciłem trzech przyjaciół. Z czterech, którzy widzieli ten obraz, zostałeś mi tylko ty. Pisałeś do mnie długie listy, jesteś moim przyjacielem. Jeżeli chcesz zobaczyć ten obraz jeszcze raz, proszę bardzo. Potem go już nie zobaczy nikt.

— Dziękuję ci, Ludwig.

Czułem się marnie, idąc z nim przez długi korytarz, a przecież oczekiwanie ożywiło mnie. Ludwig nacisnął kontakt elektryczny w tym samym klasztornie pustym pokoju, w którym zobaczyłem obraz Rohlmana po raz pierwszy.

Nic się nie zmieniło. Duże płótno unosiło się w świetle, padającym od dołu. Ludwig stanął tyłem do obrazu. Zauważyłem to, ale zaraz przestałem myśleć o nim i o wszystkim innym. Był tylko ten obraz przede mną.

Stałem od strony wschodniej przy niskim murku dziedzińca i słaby blask porannego słońca padał blado zza moich pleców. Byli gniewni ludzie na dziedzińcu i rzymscy żołnierze próbowali utorować przejście. I pośrodku ta samotna postać, czarne chmury na północnym zachodzie, wiatr targający odzież tych ludzi, marsz-

czący wodę w szeregu kałuż. Postać samotnego człowieka dominowała nad całą tą ruchliwą sceną.

Jezus Chrystus, stojąc pośrodku dziedzińca, wyglądał tak jak w misterium pasyjnym Friedheim. W białej szacie poplamionej krwią stał ni nogach rozstawionych i trzymał się prosto z widocznym wysiłkiem. Stał oszołomiony po biczowaniu. Tłum obrzucał go wyzwiskami i kamieniami. Ogromna godność była w Jego postaci. Z trudem oderwałem wzrok od Niego.

Motłoch był taki jak motłoch wszędzie: rozhisteryzowany, wzburzony, bezmyślny, okrutny. Półkole, jakie tworzył, naruszali swym naporem rzymscy żołdacy. Niechętnie poszukałem tego tchórzliwego, podstępnego osobnika, sięgającego po kamień, żeby nim rzucić z bezpiecznej pozycji za tłumem, ale ta podła twarz była obca. Mnie już na obrazie nie było.

Przymrużyłem oczy i spojrzałem znowu. Widziałem po prostu motłoch świetnie namalowany, żywy, jak ci aktorzy we Friedheim, może jeszcze bardziej realny. I nagle zobaczyłem ją.

Stała w drugim rzędzie — Joan Terrill z twarzą wykrzywioną nienawiścią, z ręką odrzuconą do tyłu. Zamierzała się kamieniem na bezbronnego Człowieka, pod strażą Rzymian. To właśnie była ta dziewczyna o miłej twarzyczce, niepewna siebie, pobożna dziewczyna, która patrząc na misterium pasyjne płakała. Zobaczyłem ją teraz rozjuszoną, jak wszyscy inni wokoło, nienawistną, bezduszną. Zabrzmiał mi w uszach głos proboszcza Friedheim.

„Jest pan grzesznikiem, co do tego nie mam wątpliwości. Nigdy nie spotkałem człowieka, który nie byłby grzesznikiem.”

Pojałem prawdę tego, kiedy ksiądz Schecker to powiedział, czemuż bym więc teraz miał się zdumiewać, znajdując kogokolwiek znanego mi w tym wrzeszczącym motłochu? Nadal wpatrywałem się w Joan. Jakież czary sprawiają, że ona jest na tym obrazie? Czy uznać to za rzutowanie moich myśli, czy za coś innego? Nie rozumiałem, dlaczego widzę właśnie ją. I zabrzmiał mi w uszach jej głos tak jak przed chwilą głos księdza.

„Zawsze chciałam mieć tylko jednego jedyne człowieka — mówiła Joan — jedno jedyne przeżycie. Gotowa byłam czekać. Ja nie mogłam być przypadkowa.”

— Ona jest moją drugą połową — powiedziałem. Bezwiednie powiedziałem to na głos. Ludwig odwrócił głowę.

— Co? Coś ty powiedział?

— Nie wolno ci spalić tego obrazu, Ludwig.

Zgasił światło i obraz zniknął.

— Jesteś moim przyjacielem — odrzekł. — Ale nie będziesz decydował, co mi wolno, a czego nie wolno.

Poszedł przede mną korytarzem — ostatnio nieco schudł. Podłoga pod nim aż dudniła. Kiedy weszliśmy do jego gabinetu, zatrzymał się z dala od biurka i fotela, gotów mnie pożegnać.

— Jeżeli spalisz ten obraz, Ludwig — powiedziałem — zrobisz tak, jak by postąpił ten duży, głupi Rzymianin. On nie wie, dlaczego odpycha ludzi na bok, i nie obchodzi go to. Ty nie wiesz, czy przypadkiem nie zdarzy się, że ktoś za dziesięć lat czy za pięćdziesiąt zrozumie ten obraz i odkryje całą prawdę o tym malarzu. Nie! My ten obraz spalimy czym prędzej. To łatwiejsze niż zrozumienie.

— Przestań! Nie mów tak! Nie mogłem spać, kiedy zastanawiałem się nad spaleniem go. Ja nigdy nie chcę niczego palić. Ten wielki Rzymianin, ten bydlak z mieczem! Mdło mi się robiło, kiedy widziałem, że on ma moją twarz.

— Pamiętam — powiedziałem.

Ludwig przeszedł za biurko i ciężko usiadł w fotelu.

— To jest rzecz zła. Czego chcesz ode mnie? Żebym to przechował na wieki?

— Nie. Ty nie wiesz, co jest złe. Nie wiadomo, co jest złe ani czy w ogóle zło istnieje. Ja tylko chcę, żebyś ty ten obraz zabezpieczył. To jeden z wielkich obrazów świata.

— Jak zabezpieczyć? Po co? Gdzie? Tego nie można wystawić.

Siedziałem w fotelu naprzeciw niego. Nie chciałem, żeby on z powodu tego obrazu utracił jeszcze jednego przyjaciela. Nie chciałem sam utracić przyjaciela. To była chwila pełna napięcia.

— Ludwig — powiedziałem — jeżeli ten obraz ma swoje miejsce gdziekolwiek na świecie, to we Friedheim. Jedyne poza tym zachowane obrazy Bonifacego Rohlmanna jest właśnie tam. I prochy Rohlmanna są tam na cmentarzysku zarazy.

— Małego niemieckiego miasteczka nie stać na taki obraz.

— Nie stać. Ale ciebie stać na to, żeby go nie sprzedać. Jest pewien ksiądz, który przechował tego drugiego Rohlmanna. Może on weźmie i ten obraz pod swoją opiekę. Jeżeli teraz czy kiedykolwiek da się jednak ten obraz wystawić, to będzie hojny dar, dobroczynność Ludwiga Lorensa. Jeżeli miasteczko spali go, jak spaliło Bonifacego Rohlmanna, przynajmniej nie spalisz go ty.

Ludwig ze skupieniem patrzył na mnie. Siedział wyprostowany i zanim się odezwał, przejął znów panowanie nad rozmową. Czułem to, chociaż nie potrafiłem określić, na czym to polega. Wstał powoli.

— Zastanowię się, Kirk.

Wtedy wiedziałem, że dopiąłem swego, bo wiedziałem, że on potrzebuje czasu tylko na podjęcie tej decyzji, nie pod moim naciskiem. Odprowadził mnie do drzwi windy i przez chwilę trzymał mi rękę na ramieniu.

— Krótko ciebie nie było — powiedział. — A wróciłeś jakiś dojrzały. Do końca roku daleko. Chcę zobaczyć obrazy, które jeszcze w tym roku namalujesz.

— Zobaczysz je, Ludwig — zapewniłem.

Zjechałem windą w dół pod obojętnym okiem milczącego nowego windziarza, którego nazwiska nie znałem. Przyćmiona dostojna cisza panowała na parterze galerii i tym piekielniejszy hałas otoczył mnie na ulicy. Poszedłem w kierunku południowym.

Musiałem zobaczyć się z Neilem Carltonem. I kiedyś miałem zobaczyć się z Joan. Do końca roku daleko — powiedział Ludwig. Tak, daleką drogę życia mam przed sobą: to wszystko, co jeszcze nie napisane, nie namalowane, nie wypowiedziane. Ruchliwa, pędząca, napierająca horda ludzi porwała mnie i przyspieszyła moje kroki. Byłem u siebie.